1–2/2020

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik styczeń–kwiecień 1–2 (68) / 2019 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)

KONIEC ZŁOTEGO WIEKU?

Aleksandra Hnatiuk

O polityce, Izraelu, Polsce i Litwie

Etgar Keret

Imigracja ze Wschodu w Polsce

Szymczycha | Zasztowt

Lubka | Héjj | Nizovtseva

Dobra passa w kinematografii

Agnieszka Bryc

Historia na współczesnym froncie

ISSN 1899-5543

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA



Wystawa
UkraINNA
na przełomie roku
2020 — 2021

Galeria Międzynarodowego
Centrum Kultury
Kraków, Rynek Główny 25
wtorek — niedziela
10.00 — 18.00
www.mck.krakow.pl



Międzynarodowe
Centrum
Kultury

eprasa.pl

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 6f35c91f82

eprasa.pl 6f35c91f82

Drodzy Czytelnicy!

Nierzadko rozlegają się dzisiaj głosy, że Polska może przestać być Zachodem i zmierza na Wschód. Warto jednak zadać prowokacyjne pytanie, czy Wschód już nie zadomowił się ponownie nad Wisłą. Od siedemdziesięciu pięciu lat Polska nie była tak etnicznie różnorodna jak obecnie. W ostatnich latach imigracja do Polski przede wszystkim obywateli Ukrainy, ale także Białorusi, Rosji, państw Kaukazu Południowego i Azji Centralnej osiągnęła rozmiary bezprecedensowe. Na ulicach polskich miast rozbrzmiewają języki Szewczenki, Puszkina, Rustawelego i Firdausiego. Można też skosztować znakomitych wareników z Ukrainy, pysznych chaczapuri z Gruzji lub świetnej uzbeckiej czorby.

Nowi mieszkańcy Polski tutaj pracują, ale również współtworzą polskie państwo i kulturę. O ich pozytywnym wkładzie w polską gospodarkę często mówią przedsiębiorcy. Napawa on optymizmem, choć nie należy również zapominać, że pracownicy ze Wschodu spotykają się z uprzedzeniami i dyskryminacją ze strony niektórych Polaków, co jest zjawiskiem wysoce nagannym.

Patrząc historycznie, obecność kultur wschodnich nie jest także dla Polski między Bugiem a Odrą niczym nowym. Dzięki dzisiejszej imigracji na powrót ożyło wielowiekowe – choć nie zawsze łatwe – doświadczenie wielokulturowości. O tej cesze Rzeczypospolitej przypominają teksty Eugeniusza Mironowicza i Grzegorza Kuprianowicza, polskich historyków białoruskiego i ukraińskiego pochodzenia. Dziedzictwo Rusi w granicach dzisiejszej Polski wciąż czeka na ponowne odkrycie przez Polaków, podobnie jak niezwykle ciekawe tendencje współczesnej kultury ukraińskiej, o których opowiada w wywiadzie Ola Hnatiuk.

Uważamy, że warto docenić siłę współczesnej kultury Europy Środkowo-Wschodniej, dlatego zdecydowaliśmy się pokazać osiągnięcia kinematografii regionu. Aż sześć recenzowanych w tym numerze filmów znalazło się na krótkiej liście do Oscara. Zachęcamy Państwa szczególnie do odkrycia nowego kina ukraińskiego, przeżywającego swój renesans. Sztuka wyzwala w nas empatię, a współcześnie bardzo jej potrzebujemy, również po to, by nie zapomnieć o prześladowanych. Do tej grupy mają nieszczęście zaliczać się krymscy Tatarzy, o czym pisze Nedim Useinow.

Gdy oddajemy ten numer do druku, nasz region, podobnie jak reszta świata, boryka się z pandemią COVID-19. Przed nami bardzo trudny czas, gdyż powszechne obecnie narodowe egoizmy niosą ze sobą mnóstwo dodatkowych zagrożeń i niepewności. Nie pozwólmy, by z ich powodu zanikły w nas potrzeba solidarności i chęć zgłębiania wiedzy o kulturach naszych sąsiadów.

Zespół Kolegium Europy Wschodniej

eprasa.pl 6f35c91f82

Spis treści

Wywiady

Rozmowa z Olą Hnatiuk **W poszukiwaniu złotego wieku** 7
Rozmowa z Etgarem Keretem **Etgar Keret: „Nasza rzeczywistość jest przesiąknięta polityką. To wyzwanie czasów, w których żyjemy”** 19

Publicystyka i analiza

Agnieszka Bryc **Historia na bardzo współczesnym froncie** 29
Jarosław Kociszewski **Chłodne kalkulacje i diaspora. Rosja i Izrael na Bliskim Wschodzie** 37
Adam Balcer i Grzegorz Michalski **Nieprzewidywalna rywalizacja czy asymetryczny sojusz? Rosja i Turcja z Syrią w tle** 44
Nedim Useinow **Dużo słów, mniej treści. Polska polityka wobec Krymu pod okupacją Rosji** 52
Rigels Halili **Bałkany Zachodnie, Unia Europejska, Polska – nie czy ani kiedy, ale po co?** 60

Temat numeru

Dariusz Szymczycha **Polskie „chamy” i ukraińskie „pany”. Rewolucja na rynku pracy?** 73
„Nowi warszawiacy / Nowe warszawianki” 81
Anton Saifullayeu i Tadeusz Giczan **Niewidzialni Inni. Białoruska imigracja w Polsce** 89
Konrad Zasztowt **Goście z Kaukazu i Azji Centralnej: gastarbeiterzy, restauratorzy i dysydenci** 97
Izabella Chruślińska **Polscy Ukraińcy – współobywatele czy ledwo tolerowany margines?** 113

Historia

Grzegorz Kuprianowicz **„Kresy Zachodnie”. Ukraińskie dziedzictwo wschodnich ziem III Rzeczypospolitej** 121
Eugeniusz Mironowicz **Białorusini w Polsce – naród w hibernacji** 132
Rozmowa z Robertem Łatypowem **W Rosji postępuje polityzacja pamięci o represjach** 141

eprasa.pl 6f35c91f82

Kultura

Andrij Lubka **Ukraińskie kino. Dzieje sukcesu pewnej reformy** 148
Rozmowa ze Sciapanem „Nextą" Puciłą **Społeczeństwo obywatelskie na Białorusi już jest. Ale niewidoczne** 154

Recenzje

Naum Trajanovski **Podwójny macedoński kandydat do Oscara** 162
O filmie *Kraina Miodu* Tamary Kotevskiej i Ljubomira Stefanova
Irena Bilińska **Dekalog zła** 165
O filmie *Malowany Ptak* Václava Marhoula
Dominik Héjj **Na przekór węgierskiej pamięci o Holokauście** 168
O filmie *Ci którzy pozostali* Barnabása Tótha
Anna-Maria Nizovtseva **Nowatorska ekranizacja klasyki** 171
O filmie *Prawda i sprawiedliwość* Tanela Tooma
Wojciech Siegeń ***Wysoka dziewczyna* – o wojnie inaczej** 174
O filmie *Wysoka dziewczyna* Kantiemira Bałagowa

eprasa.pl 6f35c91f82

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Laurynas Vaičiūnas (p.o. redaktora naczelnego), Adam Balcer, Magdalena Jankowska, Magdalena Pawłowicz

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl 6f35c91f82

W poszukiwaniu złotego wieku

Z profesor Olą Hnatiuk, ukrainistką, literaturoznawcą i tłumaczką rozmawia Adam Balcer

ADAM BALCER: W relacjach polsko-ukraińskich kwestie dotyczące interpretacji przeszłości, pamięci i polityki historycznej odgrywają ważną rolę, wydaje się, że często nieproporcjonalnie dużą. Z drugiej strony hasło „Zostawcie historię historykom" nie działa i nie można od tych kwestii uciec. Dlaczego tematyka historyczna jest tak wyraźnie obecna w naszych relacjach?

OLA HNATIUK: Hasło „Zostawcie historię historykom" źle mi się kojarzy. Przypomina czasy słusznie minione i żądania kolektywu robotniczego: „Studenci do nauki, literaci do pióra, syjoniści do Syjonu". Oczywiście nie pochwalam dyletantyzmu, wyrażam tylko przekonanie, że to historycy w pierwszej kolejności ulegają pokusie instrumentalizacji. Prawie rok temu, przygotowując dyskusję o publicznych rolach historyka, postawiłam tezę, która wydaje mi się na tyle ważna, że ośmielę się ją powtórzyć: do tradycyjnego dylematu historyka, jak lawirować między Scyllą nauki a Charybdą polityki, doszła pokusa ucieczki od wyzwania globalizacji w historię narodową, a co za tym idzie – martyrologię. Innymi słowy, z jednej strony Polska przystępuje do Unii Europejskiej, z drugiej – wszelkimi możliwymi środkami wspiera narrację ultrapatriotyczną.

Warto przy tym zaznaczyć, że historia odgrywa znacznie większą rolę w debacie publicznej i polityce po stronie polskiej niż ukraińskiej. Od momentu, gdy w Polsce nastąpił zwrot w stronę historii, w relacjach z Ukrainą zaczęło iskrzyć. Moim zdaniem pierwsze ćwierćwiecze po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Ukrainę to najlepszy okres w historii relacji polsko-ukraińskich. Nie ma sensu szukanie w zamierzchłej przeszłości złotego wieku, a jeśli już go szukamy, wystarczy obejrzeć się za siebie. Właśnie minął.

Kiedy zaczął się zwrot w stronę historii? W 2015 roku, gdy PiS doszedł do władzy?

Nie. Zaczął się wcześniej i wynikał ze złudzenia, któremu ulegli polscy politycy, że można lepiej ułożyć nasze relacje z Rosją. Część klasy politycz-

eprasa.pl 6f35c91f82

nej, w ślad za Stanami Zjednoczonymi, uwierzyła, że należy dokonać resetu w stosunkach z Moskwą. Polski reset miał firmować Radosław Sikorski. Celem tej operacji było uwiarygodnienie Polski w oczach Zachodu w roli eksperta od spraw wschodnich. Tymczasem wyszło dokładnie odwrotnie. Jak można było przypuszczać, że to się uda? Przecież rosyjska dyplomacja ma doskonałą pamięć! Rosyjskie media nie omieszkały przypomnieć, co robił Sikorski w latach osiemdziesiątych w Afganistanie. Ten pomysł dowodzi słabości polskiej polityki. Popełniono kardynalny błąd w ocenie rosyjskich intencji i zasadniczy błąd w szacowaniu polskich możliwości. Przekonanie, że my, Polacy, jesteśmy wybitnymi ekspertami od Wschodu, legło w gruzach, w oczach rosyjskich dyplomatów naraziliśmy się na śmieszność, a w oczach mniej nam życzliwych zostało zinterpretowane jako przejaw polskiej megalomanii. Przyniosło także szkodę dla relacji polsko-ukraińskich. Ukraińcy uznali, że zostały one złożone na ołtarzu stosunków Warszawy z Moskwą.

Jakby tego było mało, w tym samym czasie wprowadzono dla Ukraińców wymóg wizowy, a to już zauważyli nie tylko analitycy, ale i zwykli obywatele. Niemniej jednak dostrzegli także wielki sukces polskiej transformacji – wzrost poziomu i jakości życia. Mimo zachmurzenia na froncie politycznym sympatia Ukraińców dla Polaków i Polski rosła z każdym rokiem. Niestety, po „resecie" z Rosją zaufanie ukraińskich polityków stopniało. Zaczęliśmy roztrwaniać wielki kapitał, o który najtrudniej – kapitał zaufania. W 2010 roku zniknął też pracowicie tworzony wizerunek Polski jako „adwokata Ukrainy w Europie". To nie Jarosław Kaczyński pierwszy powiedział, że „z Banderą do Europy nie wejdziecie". Słowa te po raz pierwszy padły z ust eurodeputowanego Platformy Obywatelskiej Pawła Zalewskiego na tak ważnym forum międzynarodowym, jakim jest Parlament Europejski. Oczywiście dziś donośniej brzmi głos Kaczyńskiego jako lidera rządzącej partii politycznej, ale ja nie mam kurzej pamięci.

À propos pamięci. Mówiąc, że dla Ukraińców historia nie jest aż tak ważna, nie miałam na myśli ukraińskiej amnezji historycznej, by użyć określenia autorstwa Mykoły Riabczuka. Chodzi mi o to, że Ukraina i Ukraińcy stoją przed poważnymi wyzwaniami, więc muszą unikać niepotrzebnych konfliktów, a za taki uważają polsko-ukraiński konflikt pamięci.

Innym błędem, często popełnianym zarówno przez polskich historyków, jak i publicystów, jest mitologizacja pojednania polsko-niemieckiego. Uznano je za wzór dla pojednania polsko-ukraińskiego. Warto przypomnieć, że pojednanie między Polakami a Niemcami, rozpoczęte z polskiej inicjatywy listem biskupów z 1965 roku, nie było bezproblemowe. Po obu stro-

eprasa.pl 6f35c91f82

nach napotykało na społeczny i polityczny opór. Co ważne, było oparte na wartościach chrześcijańskich i dokonywane przez instytucję obdarzaną największym zaufaniem – Kościół. Nie przypadkiem tak istotna była msza w Krzyżowej w 1990 roku (a więc ćwierć wieku później) i przekazany w jej trakcie znak pokoju między kanclerzem Helmutem Kohlem i premierem Tadeuszem Mazowieckim. W moim przekonaniu wykorzystanie tego modelu w relacjach polsko-ukraińskich, przy najlepszych intencjach obu stron, nie miało szans. Po pierwsze, należy pamiętać, że kiedy w 1987 roku, rok przed uroczystościami milenijnymi chrztu Rusi-Ukrainy, głowa Kościoła greckokatolickiego, kardynał Myrosław Lubacziwski oraz kardynał Józef Glemp wraz z polską hierarchią Kościoła rzymskokatolickiego podpisali deklarację, Kościół greckokatolicki był w podziemiu, a zatem do grekokatolików na Ukrainie to przesłanie nie dotarło. Po drugie, w odróżnieniu od pojednania polsko-niemieckiego Cerkiew prawosławna, podporządkowana moskiewskiemu patriarchatowi i władzy sowieckiej, była przeciwnikiem dialogu z grekokatolikami. Do dziś zresztą, choć sytuacja gruntownie się zmieniła, Cerkiew prawosławna nie uczestniczy w dialogu polsko-ukraińskim. Po trzecie, Ukraińcy są znacznie bardziej indyferentnym religijnie społeczeństwem niż Niemcy z ówczesnej RFN, a tym bardziej niż Polacy kilkadziesiąt lat temu. Oczywiście w greckokatolickiej Galicji Wschodniej czy na prawosławnym Wołyniu religia jest obecna w życiu społecznym, ale i tak nieporównywanie mniej niż po polskiej stronie granicy. Ponadto te obwody zamieszkuje niecałe siedem milionów ludzi, czyli niewiele ponad 15 procent populacji całego kraju. Na pozostałym terytorium znacznie słabsze są i religijność, i znajomość historii konfliktu polsko-ukraińskiego w okresie międzywojennym i II wojny światowej.

Tu dochodzimy do kwestii zasadniczej: przyjęcie modelu polsko-niemieckiego jako wzoru dla polsko-ukraińskiego pojednania oznacza świadome bądź podświadome podstawienie Ukraińców w miejsce Niemców. A to przeczy prawdzie historycznej. Ukraińcy podczas II wojny światowej walczyli po stronie aliantów. Liczba ofiar wśród żołnierzy Armii Czerwonej tylko przy szturmie linii Dniepru (w tych jednostkach zdecydowanie przeważali Ukraińcy) pięciokrotnie przewyższa łączną liczbę poległych żołnierzy polskich w trakcie II wojny światowej. To powiedziawszy, podpadam pod restrykcje znowelizowanej ustawy o IPN-ie, dlatego dodam, że nie wybielam zbrodni popełnionych na ludności cywilnej przez oddziały, w których służyli Ukraińcy, ani przez ukraińskie podziemie. Tak samo nie zamierzam wybielać zbrodni popełnionych przez formacje, w których służyli Polacy, ani przez polskie podziemie na

eprasa.pl 6f35c91f82



Włodzimierz Hnatiuk

Nie zgadzam się z określeniami „trudne sąsiedztwo" czy „krwawe ziemie", używanymi nietrafnie dla opisu pogranicza polsko-ukraińskiego. Za dużo było publicystyki historycznej, za mało badań historycznych.

eprasa.pl 6f35c91f82

ukraińskiej ludności cywilnej. Twierdzę jedynie, że sprowadzenie całego obrazu Ukraińców podczas II wojny światowej do zbrodni popełnionych na obszarze Wołynia czy Galicji Wschodniej jest poważnym nadużyciem.

Wracając do pojednania: gesty na wszystkich poziomach zostały uczynione. Przywódcy polscy i ukraińscy, Aleksander Kwaśniewski i Łeonid Kuczma, potem Juszczenko i Kwaśniewski, potem Lech Kaczyński, zrobili nieporównanie więcej niż Kohl i Mazowiecki w Krzyżowej. Mimo to dzisiaj w Polsce uważa się, że pojednanie polsko-niemieckie się dokonało, a polsko-ukraińskie – nie. Jak już powiedziałam, uważam to porównanie za z gruntu fałszywe. Powiem przewrotnie, w jednym tylko widzę podobieństwo: granie na resentymentach Polaków przeciw Niemcom i Ukraińcom zaczęło się mniej więcej w tym samym momencie. Jak to się stało, że w 2005 roku podczas kampanii prezydenckiej uruchomiono „dziadka z Wehrmachtu"? Zdarzyło się to rok po przystąpieniu Polski do UE, a w trakcie procesu akcesyjnego adwokatem Polski były przecież Niemcy. Ich wsparcie opierało się, przynajmniej po części, na symbolicznym początku nowych, przyjaznych relacji polsko-niemieckich – geście Mazowieckiego i Kohla. Twierdzę, że o grze na antyniemieckich resentymentach zadecydowało, oprócz kalkulacji politycznej, osiągnięcie przez Polskę strategicznego celu, jakim było przystąpienie do UE. Poczuliśmy się bezpiecznie. Zbyt bezpiecznie. Od kiedy zabrakło celu strategicznego, polska polityka zagraniczna, także wobec Ukrainy, stała się jedną z kart rozgrywanych w polityce wewnętrznej. W Polsce zwyciężyło myślenie w kategoriach narzuconych przez kalendarz wyborczy, natomiast myślenie w kategoriach interesu państwa odeszło w przeszłość. Miejmy nadzieję, że nie bezpowrotnie.

Jaki popełniliśmy najpoważniejszy błąd czy zaniechanie w dialogu polsko-ukraińskim?

Zacznijmy od tego, że mamy poważne dokonania – i w sferze politycznej, i kultury i nauki, i społeczeństwa obywatelskiego. Tu Polska odegrała ogromną rolę i całe rzesze młodych, a także niezbyt już młodych Ukraińców z wdzięcznością o tym wspominają. Oprócz błędu strategicznego, jakim było oparcie się na fałszywej analogii pojednania polsko-niemieckiego, błędem taktycznym elit obu państw był brak instytucjonalizacji dialogu. Niestety, po naszej stronie, silniejszej przecież i zamożniejszej, zabrakło wyobraźni i woli politycznej, by przejawiać inicjatywę w budowaniu instytucji skierowanych do Ukrainy. Upadła inicjatywa uniwersytetu polsko-ukraińskiego, upadł pomysł stworzenia w Kijowie placówki PAN-u z prawdziwego zdarzenia; w obu przypadkach zwyciężyło wąskie

eprasa.pl 6f35c91f82

myślenie kadrowe. Zerwano dialog historyków. Czego zatem możemy spodziewać się po elicie politycznej, skoro elity intelektualne zawiodły?!

Na pewno cezurą w relacjach polsko-ukraińskich był Majdan. W Polsce popularna stała się opinia, że od rewolucji godności głównym procesem dotyczącym tożsamości i pamięci historycznej Ukraińców był wzrost poparcia dla UPA i jej bezkrytyczna idealizacja w polityce historycznej. Niemal nie dostrzega się innych, ważniejszych zjawisk zachodzących w ukraińskiej pamięci. Jednocześnie w Polsce wizerunek UPA stał się prawie wyłącznie negatywny. Paradoksalnie bardziej zniuansowany był kilkanaście lat temu. Wewnętrzna dyskusja w Polsce na temat relacji polsko-ukraińskich w XX wieku oraz dotyczącej ich narracji przyjętej przez naszą historiografię jest ograniczona. Dzisiaj obowiązują pewne kanony, dogmaty. W efekcie mam wrażenie, że polsko-ukraiński dialog historyczny zamienia się w dwa monologi.

W sferze historii jest znacznie gorzej. To już nawet nie monologi, lecz przekrzykiwanie się, a niekiedy obrzucanie wyzwiskami. Przegłosowanie przez Sejm w 2016 roku uchwały, w której użyto określenia „ludobójstwo", ucięło okres dwóch monologów. Gwoździem do trumny była nowelizacja ustawy o IPN-ie na początku 2018 roku. Oficjalnie cofnęliśmy się do okresu międzywojennego i dwóch kategorii: etniczni Polacy – kto i na jakiej podstawie będzie decydował o przynależności do tej grupy?! – i nie-Polacy. Wywołało to ogromne napięcie w relacjach polsko-izraelskich i polsko-amerykańskich, wybuchł polityczny i etyczny skandal. Ukraińskiego wymiaru w Polsce nie zauważono. Pisałam o tym na początku 2018 roku na łamach „Więzi", za co zebrałam wyłącznie cięgi. Kilka miesięcy później wszczęto pierwsze i jak dotąd jedyne śledztwo prokuratury. Wymierzone było przeciw doktorowi Grzegorzowi Kuprianowiczowi, polskiemu historykowi ukraińskiego pochodzenia, który ośmielił się wygłosić przemówienie w trakcie uroczystości z udziałem prezydenta Poroszenki w Sahryniu. A co byśmy powiedzieli, gdyby to samo spotkało Polaka z ukraińskim obywatelstwem, który wziął udział w uroczystościach zorganizowanych jednostronnie przez kancelarię prezydenta Andrzeja Dudy i zabrał głos w imieniu Polaków – mieszkańców Wołynia? To haniebna historia. Uważam, że procedura i tryb uchwalenia tej nowelizacji w Sejmie RP powinny być przedmiotem dochodzenia. Dziecinnie śmieszne były reakcje IPN-u w stylu „to nie my, to oni".

Co Pani myśli o często głoszonej w Polsce tezie, że przede wszystkim to polityka pamięci Ukrainy po

eprasa.pl 6f35c91f82

Majdanie przyczyniła się do pogorszenia relacji?

Nie odwracajmy kota ogonem. To nieprawda, że ukraińska polityka pamięci po 2014 roku sprowadza się do kultu Bandery, choć nie zamierzam go bronić. To nie jest mój bohater i na ten temat wielokrotnie wypowiadałam się w ukraińskich, a także polskich mediach. Prawdą jest natomiast, że do pogorszenia relacji doszło na poziomie prezydenckim w 2015 roku. Twierdzenie, że wina leży po stronie ukraińskiej, to symptom moralności Kalego. Wracamy do punktu wyjścia: pierwsze problemy wywołało nadanie Banderze tytułu bohatera Ukrainy dekretem Juszczenki w 2010 roku. Wcześniejszy dekret dotyczący Szuchewycza nie wywołał w Polsce takiej wrzawy, czego jako żywo nie potrafię zrozumieć. Nie do pojęcia dla mnie jest podejmowanie w lipcu 2013 roku wiceprzewodniczącego Partii Regionów Wadyma Kołesniczenki przez wicemarszałka Sejmu RP. Dostrzegam w tym naoczny dowód na kunktatorstwo: okazało się, że możliwe jest paktowanie na najwyższym szczeblu z agentami rosyjskimi w imię uzyskania wyimaginowanych korzyści.

Jak jest źle, mogłam się przekonać, biorąc udział w audycji TOK FM w Teatrze Studio w lutym 2014 roku, jeszcze w trakcie Majdanu. Głównym tematem rozmowy był ukraiński nacjonalizm, a celem – rozbrojenie tego mitu. Niestety, rozmowa toczyła się wyłącznie wokół nacjonalizmu. W tym czasie było już kilkanaście ofiar. Zginęły bezbronne osoby. Miałam wówczas poczucie nierzeczywistości: w Warszawie z zacięciem dyskutuje się o rzekomym ukraińskim nacjonalizmie, a w Kijowie z każdą minutą zbliża się tragedia. Następnego dnia do protestujących na Majdanie zaczęto strzelać jak do kaczek. Nigdy tego nie zapomnę.

Znacznie więcej Polaków pamięta o Wołyniu niż na przykład o antypolskiej akcji ZSRR. Co więcej, długie i złożone relacje z Ukraińcami dzisiaj postrzegamy głównie przez pryzmat Wołynia. W historii znajdziemy nie tylko konflikty polsko-ukraińskie, ale także wyjątkową koegzystencję, przenikanie się kultur. Jakie Pani wybrałaby wydarzenia czy postacie z naszej wspólnej historii, aby zbudować pozytywną opowieść?

Powtórzę swoją wcześniejszą wypowiedź: przed 1990 rokiem nie było złotego wieku w relacjach polsko-ukraińskich. I w XIX wieku, i zwłaszcza w ubiegłym działali ludzie dialogu, „architekci porozumienia" (to tytuł serii wykładów, które wygłosiłam przed ukraińską publicznością), byli też wizjonerzy, jak Jerzy Giedroyc i święty Jan Paweł II. Z drugiej strony nie zgadzam się z określeniami „trudne sąsiedztwo" czy „krwawe ziemie", używanymi nietrafnie dla opisu pogranicza polsko-ukraińskiego. Za

eprasa.pl 6f35c91f82

dużo było publicystyki historycznej, za mało badań historycznych. Za dużo spotkań pod szyldem „trudne sprawy". Formuła tych spotkań była moim zdaniem błędna, ponieważ opierała się na podziale uczestników na dwa obozy: polski i ukraiński. Historyków posadzono niczym dyplomatów pod koniec wojny po przeciwnych stronach przy stole negocjacyjnym, żeby rozmawiać o warunkach zawieszenia broni albo traktatu pokojowego.

Te próby zakończyły się fiaskiem. Zamiast je podejmować, powinniśmy byli przyjąć perspektywę wspólnych projektów badawczych. To naturalne, że mamy różne perspektywy, różne narracje historyczne, różnych bohaterów. Gorzej, że mamy do czynienia z asymetrią narracji historycznych. Sporo zrobiono po obu stronach, byśmy więcej o sobie wiedzieli, ale wciąż jeszcze przyjmujemy, że nasz punkt widzenia jest właściwy, a punkt widzenia sąsiada – wykrzywiony. Może nad tym warto się zastanowić, zamiast proponować: „Postawcie pomnik Piłsudskiemu w Kijowie, a my postawimy Petlurze w Warszawie". A może najpierw zaczekajmy, aż pomnik Petlury stanie w Kijowie? Nikt w Warszawie nie zadał sobie trudu, żeby choć sprawdzić, czy w Kijowie istnieje taki pomnik. Co gorsza, nikt z autorów takich „genialnych" propozycji nie przeczytał analizy wprost stworzonej dla nich. Wybitni znawcy problematyki, profesor Tomasz Stryjek i profesor Joanna Konieczna-Sałamatin, przeprowadzili badania dotyczące ukraińskich bohaterów historycznych. Jasno wykazali, że Ukraińcy nie są zgodni w ocenie roli Petlury w historii Ukrainy i postrzegają ją raczej negatywnie.

Według mnie Ukraina jest dla Polski po Niemczech najważniejszym sąsiadem. Czy nie ma Pani wrażenia, że zachodzące po rewolucji godności przemiany w ukraińskiej kulturze, sztuce, literaturze, kinematografii, nowe zjawiska, są raczej słabo znane w Polsce nawet wśród polskiej inteligencji? Jakie motywy i tematy obecne w ukraińskiej kulturze są szczególnie ciekawe i wartościowe, a zarazem nie pasują do stereotypowych wyobrażeń na temat Ukrainy w Polsce?

To zagadnienie na odrębną rozmowę. O ile kultura polska jest żywo obecna na ukraińskiej mapie kulturalnej, zarówno w jej elitarnych przejawach, jak i w wariancie pop, a to dzięki sprawnie do niedawna działającemu systemowi promocji, o tyle kultura ukraińska w Polsce wciąż jest słabo dostępna i mało znana. Wynika to między innymi z tego, że państwo ukraińskie nie wspierało promocji kultury za granicą. W ostatnim pięcioleciu nastąpiła zmiana, powołano instytucje kultury odpowiedzialne za promocję, zarówno w kraju, jak i poza nim. Rzeczywiście mamy ciekawe

eprasa.pl 6f35c91f82

zjawiska, na przykład kino ukraińskie. Na początku lat dziewięćdziesiątych startowało ono z mocnej pozycji, miało duży dorobek z czasów sowieckich. Wystarczy przypomnieć znakomitą ekranizację powieści Mychajła Kociubynskiego *Cienie zapomnianych przodków*, którą zawdzięczamy ukraińsko-ormiańskiemu reżyserowi Serge'owi Paradżanowowi. Po 1991 roku ukraińskie kino długo pozostawało prowincjonalne, nie trafiało nawet do ukraińskiego widza, nie mówiąc o publiczności za granicą. Dopiero stworzenie po rewolucji godności instytutu kinematografii i wprowadzenie zasady konkursów przy rozdzielaniu dofinansowania umożliwiło wreszcie rozwój ukraińskiej kinematografii. Ostatnie pięć lat to istny boom. Powstało kilka bardzo dobrych filmów, na przykład *Cyborgi* Achtema Seitabłajewa czy *Do domu* Narimana Aliewa. Ten ostatni film to debiut, wybrany przez ukraińską akademię filmową na kandydata Ukrainy do Oscara. Fascynujący jest wyraźny rys krymsko-tatarski w tematyce oraz wśród twórców. Dla mnie osobiście najciekawszym eksperymentalnym ukraińskim filmem artystycznym był *Mamaj* Ołesia Sanina, poetycka opowieść o stepowym pograniczu zamieszkanym przez Kozaków i Tatarów.

Teatr wymaga mniejszych nakładów finansowych i menedżerskich, więc lepiej dał sobie radę w chudych latach, gdy większość przedsięwzięć zrealizowano dzięki entuzjazmowi, przy nikłych bądź zerowych dotacjach państwowych, jak choćby teatr prowadzony przez Wołodymyra Kuczynskiego we Lwowie (obecnie Teatr Akademicki im. Łesia Kurbasa). Moim zdaniem w ciągu ostatnich piętnastu lat Vlad Troicki, z teatrem Dach i festiwalem Gogol-fest, udowodnił, że można zrobić naprawdę dużo bez pomocy państwa. Sukces jego zespołu Dachabracha to wyjątkowe zjawisko na scenie muzycznej etno, nie tylko w skali Europy Środkowo-Wschodniej. Po upadku ZSRR ukraińska literatura szybko odbiła się od dna. Już na początku lat dziewięćdziesiątych powstały znakomite książki Jurija Andruchowycza: *Rekreacje*, *Moscoviada* i *Perwersja*. To naprawdę wielkie powieści. W Polsce takich nie było. Nie mieliśmy wówczas w Polsce pisarza, który nie babrałby się w przeszłości, tylko z wielkim talentem, prześmiewczym spojrzeniem i żywą energią opowiedziałby o współczesnych problemach społeczeństwa w trakcie bolesnej transformacji. Sarkazm i autoironia Andruchowycza wpisują się w tradycję ukraińskiej burleski, której początków możemy szukać u Iwana Kotlarewskiego. Rozpoznać można też pewne wątki z Gogola. Ta tradycja burleski i groteski jest słabo znana w Polsce. Po sukcesie Andruchowycza przyszedł czas na młodsze pokolenie. Jednym z jego najbardziej rozpoznawalnych przedstawicieli jest

eprasa.pl 6f35c91f82

Serhij Żadan – poeta, prozaik, lider zespołu rockowego. Jego *Internat* to chyba największa powieść w ostatnim dwudziestoleciu. Oczywiście chciałoby się, żeby publikowano w Polsce więcej przekładów z ukraińskiego, żeby kultura ukraińska była wyraźniej obecna, ale w tym celu niezbędna jest przemyślana i długofalowa polityka promocji ze strony państwa ukraińskiego.

Jak Pani już zauważyła, w kinie ukraińskim wyraźnie widać „ślad" krymsko-tatarski. Moim zdaniem to część szerszego zjawiska przebudowy tożsamości ukraińskiej po Majdanie. Jakie są według Pani najważniejsze motywy tej przemiany?

Myślę, że te procesy nie zaczęły się w 2013 roku. Korzenie tkwią znacznie głębiej. Najważniejszy proces to odejście od budowania tożsamości narodowej opartej na formule etnicznej w stronę formuły obywatelskiej. Formuła etniczna powstała w XIX wieku, w okresie budowy nowoczesnego narodu ukraińskiego. Utożsamianie narodu z ludem (choć w zgoła innych celach) wspierano także za czasów ZSRR. W Polsce natomiast nowoczesna tożsamość narodowa rozwinęła się poprzez romantyzację wielkiej historii, złotego wieku, różnych mitów ukształtowanych w XIX wieku. W projekcie ukraińskim tego wszystkiego nie było. Oczywiście odwoływano się do dziedzictwa Rusi Kijowskiej i nade wszystko do kozaczyzny, ale jednocześnie nie czuło się ciągłości historii, dlatego pojawiła się potrzeba romantyzacji ludu. W Polsce też nastała chłopomania, lecz koniec końców arcydziełem literatury polskiej, kamieniem węgielnym, jest *Pan Tadeusz*. W efekcie z chłopów zrobiono tu szlachciców i każdy Polak chce albo musi przymierzyć się do kontusza. A przecież Polskę zamieszkiwali w olbrzymiej większości chłopi i chodzili w sukmanach.

Potężny wpływ na kształt ukraińskiej tożsamości miało straszliwe doświadczenie XX wieku. Można je porównać z gigantyczną maszynką do mielenia mięsa: masowy terror, zbrodnie ludobójstwa. Naród ukraiński w zasadzie nie powinien już istnieć, a jednak jest. Pokusa oparcia ukraińskiej tożsamości o etniczność była silna jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych, wtedy na przykład powróciła kozakomania. Do dzisiaj pamiętam obraz Wiaczesława Czarnowiła, legendy antykomunistycznej opozycji demokratycznej: przywdział szarawary, co miało przysporzyć mu popularności w wyborach prezydenckich.

Niemniej przy całym znaczeniu mitu kozackiego współczesne społeczeństwo ukraińskie opiera się przede wszystkim na lojalności wobec państwa, którego istnienie zostało zagrożone przez agresję Rosji. Głównymi cechami ukraińskości nie są język, religia ani jedna, wspólna historia. Jaką wspólną historię mają młodzi ukraińscy pisarze Serhij Żadan i Andrij

eprasa.pl 6f35c91f82

Lubka? Ługańsk od Użhorodu dzieli prawie półtora tysiąca kilometrów – tyle, ile Warszawę od Mediolanu czy Zagrzebia. Mieszkańcy tak odległych miejsc muszą mieć zupełnie inne doświadczenia historyczne. Czy jednoczy wspólny wróg? Owszem, ale nie wszystkich. Wciąż procentowo więcej Polaków niż Ukraińców uważa Rosjan za wrogów, choć to nie Polska, a Ukraina jest w stanie wojny z Rosją.

Na skutek migracji Ukraińców do Polski po raz pierwszy od ponad siedemdziesięciu lat mamy w Polsce większą grupę nie-Polaków. Często mówimy o wymiarze ekonomicznym i społecznym tej migracji, mnie interesuje natomiast, jakie znaczenie ma nowa społeczność ukraińska w Polsce dla tutejszej kultury i tożsamości.

Trudno powiedzieć, do jakiego stopnia trwałe jest to zjawisko, a w kulturze znajdują odzwierciedlenie przede wszystkim trwałe tendencje. Co więcej, za chwilę może się zdarzyć gwałtowny odpływ ukraińskich migrantów. Monolit – mam na myśli społeczeństwo jednolite pod względem kulturowym i etnicznym – stworzony wskutek II wojny światowej i polityki PRL-u trwa. To pytanie do antropologów, może też do socjologów: jak bardzo polskie kultura i społeczeństwo są otwarte? O ile u Ukraińców projekt komunistyczny poprzez przymusowe wymieszanie etniczne mimo wszystko umożliwił budowę obywatelskiej tożsamości narodowej, to w Polsce reżim komunistyczny doprowadził do wzmocnienia wymiaru etnicznego. Wcześniej etniczna formuła polskości też oczywiście była obecna. Ideologia narodowej demokracji oraz praktyka II RP opierały się na podziale na dwie kategorie obywateli: etnicznych Polaków i pozostałych mieszkańców – gorszego sortu. Z dwóch projektów asymilacji: wersji *soft*, czyli asymilacji państwowej, i *hard*, asymilacji narodowej, praktykowano przede wszystkim *hard*. Jeśli spojrzymy na mapę Wołynia w 1918 roku i pierwsze wybory parlamentarne w 1922 roku, to na posłów w 90 procentach wybrano kandydatów narodowości ukraińskiej i żydowskiej. W ciągu dwudziestu lat sytuacja zmieniła się diametralnie. Polacy zaczęli dominować nie tylko wśród posłów, ale także w administracji i szkolnictwie. Widać to także w zmianach struktury etnicznej regionu, a nastąpiły one w efekcie przemyślanych działań państwa polskiego.

Czy według Pani mamy w Polsce pomysł na integrację ukraińskich imigrantów, nie tylko gospodarczą, ale także kulturową czy tożsamościową?

Woli politycznej nie widać, bo migracja jako zjawisko jest postrzegana negatywnie. Praca – tak; osiedlanie się na stałe – nie bardzo. Nie powstały programy integracyjne na poziomie

eprasa.pl 6f35c91f82

centralnym, choć zjawisko migracji w ostatnich pięciu latach narastało. Wiele ciekawych projektów integracyjnych opracowano natomiast na poziomie samorządowym, poczynając od tak podstawowych rzeczy jak automaty biletowe w komunikacji miejskiej wyposażone w menu także po ukraińsku. Ale samorząd powinien mieć wsparcie ze strony władz centralnych. Dotyczy to różnych sfer, w szczególności oświaty. Polska szkoła jest nieprzygotowana do edukacji cudzoziemców na szerszą skalę, nie ma programów adaptacyjnych dla uczniów. Dyrektorzy placówek robią, co mogą, by ułatwić uczniom adaptację, ale – powtarzam – tu chodzi o działania państwa, a nie jednostek.

Na poziomie obywatelskim wiele jest cennych i obopólnie korzystnych inicjatyw. Istnieje też wiele szerzej zakrojonych programów, w tym stypendia twórcze, dzięki którym powstało wiele znakomitych projektów kulturalnych, edukacyjnych i naukowych. Problem zaczyna się tam, gdzie w grę wchodzi „wielka polityka" realizowana przez ludzi pozbawionych wyobraźni i wizji.

Ola Hnatiuk jest profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, autorką między innymi książki *Odwaga i strach* (Wojnowice 2015), przetłumaczonej na języki ukraiński i angielski, redaktorką i tłumaczką kilkudziesięciu książek w językach polskim i ukraińskim. W 2012 roku za działalność obywatelską otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Adam Balcer jest dyrektorem programowym w Kolegium Europy Wschodniej, autorem książek, licznych raportów i artykułów poświęconych Europie Środkowo-Wschodniej oraz krajom basenu Morza Czarnego i Azji Centralnej.

eprasa.pl 6f35c91f82

Etgar Keret: „Nasza rzeczywistość jest przesiąknięta polityką
To wyzwanie czasów, w których żyjemy”

Z Etgarem Keretem, izraelskim pisarzem, rozmawia Nikodem Szczygłowski

Z Etgarem Keretem spotkałem się zaledwie kilka dni przed Bożym Narodzeniem oraz Chanuką, w północnej części śródmieścia Tel Awiwu. Był ciepły wieczór, słońce dopiero co zaszło po niemal upalnym dniu, od wybrzeża Morza Śródziemnego dochodziły przyjemne powiewy chłodu. Palmowa aleja, lśniąca panorama wieżowców, neony, intensywny ruch na ulicy Ha Yarkon wzdłuż plaż miejskich. Białe miasto rozpuszczało się w zmroku niczym mleko w filiżance kawy.

W dzień miasto tętniło życiem. Wypełniały je codzienne, zwykłe historie – dokładnie takie, jakie po mistrzowsku tworzy jeden z najbardziej znanych pisarzy współczesnego Izraela. Rozmowy na przystankach autobusowych, dialogi w jadłodajniach przy falafelu, zjawiające się znikąd elektryczne hulajnogi i skutery, emerytki ze staroświeckimi parasolkami po rosyjsku omawiają na ławeczkach na promenadzie dawno zapomniane czasy w Odessie czy Leningradzie, w starej Jaffie wąsaci arabscy właściciele kawiarenek usilnie próbują namówić grupy japońskich turystów na szaurmę lub humus, rozebrani do pasa chłopcy grają w squasha przy hotelu Crown Plaza na Gordon Beach.

Etgar Keret wykłada w wyższej szkole filmowej w Tel Awiwie, jest również znany jako dziennikarz i scenarzysta. Młode pokolenie uważa go za równego gościa, a krytycy okrzyknęli mianem skandalisty. Słynie jako mistrz krótkiej formy, jego książki są tłumaczone na wiele języków i wydawane w wysokich nakładach, według jego scenariuszy powstało już ponad pięćdziesiąt filmów.

eprasa.pl 6f35c91f82

NIKODEM SZCZYGŁOWSKI: „Dwoje ludzi siedzi w pokoju i nagle pukanie do drzwi…" – tak zaczyna się jedno z najbardziej znanych Pana opowiadań[1]. Oto siedzimy we dwóch w pokoju i… może wydarzy się coś, z czego powstanie kolejne opowiadanie. Jest Pan nazywany mistrzem krótkiej prozy. Czy to Pana sposób na odbiór otaczającej rzeczywistości?

ETGAR KERET: Właśnie w ten sposób pracuje mój mózg, tak odbieram rzeczywistość. Kiedyś zostałem zapytany, dlaczego nie piszę powieści. Odpowiedziałem, że pisanie jest dla mnie niczym wybuch, a nie umiem wybuchać powoli. Forma krótkiego opowiadania jest dla mnie czymś intuicyjnym. Otaczający nas świat robi się coraz bardziej fragmentaryczny, coraz bardziej skonfliktowany ze sobą – prawdziwej narracji jest w nim coraz mniej. Kilka tygodni temu poproszono mnie o napisanie opowiadania, na które składałoby się zaledwie osiem słów, i ja to zrobiłem: „Życie to krótkie opowiadanie, chciałbym, aby było powieścią".

Urodził się Pan w sierpniu 1967 roku, zaledwie nieco ponad miesiąc od zakończenia wojny sześciodniowej. Czy wśród wspomnień z dzieciństwa ma Pan również wydarzenia związane z wojną Jom Kipur oraz obydwiema wojnami libańskimi? Czy tego typu doświadczenia są swego rodzaju wyróżnikiem pokolenia Izraelczyków, do którego Pan należy?

Temat wojny rzeczywiście jest mocno związany z moim dzieciństwem. Myśląc o poszczególnych wydarzeniach z tamtego okresu w moim życiu, zawsze się zastanawiam, czy to było przed kolejną wojną, czy po niej. Wojna była niczym trzęsienie ziemi, wymusiła pewne przewartościowania, zrozumienie, że to, w co wierzymy i co odbieramy jako pewien ład panujący w świecie, jest tylko iluzją. Tego typu doświadczeń, chociaż wyjątkowo istotnych w moim życiu, nikomu jednak nie życzę.

Moja matka przeżyła Holokaust. Pozostawiła mnie i mojemu rodzeństwu zrozumienie jednej prostej rzeczy – mianowicie, że ład społeczny jest zjawiskiem wyjątkowo kruchym. Pamiętam, jak w dzieciństwie chodziliśmy razem do restauracji z okazji urodzin. Pewnego razu – wydaje mi się, że były to urodziny mojego brata – dąsałem się, że jedzenie mi nie smakuje. Mama powiedziała: „Spójrz na innych gości w restauracji: wszyscy siedzą przy stołach, każdy ma nóż i widelec, każdy je z własnego talerza i nikt nie próbuje odebrać ci twojego jedzenia. Każdy ma nóż, ale nikt nie próbuje nim cię zadźgać. Umówmy się, że to jest dobry dzień".

Mając doświadczenia wojenne, inaczej dostrzegasz iluzję ładu społecznego. Zdawałoby się, że ład społeczny opiera się na najprostszych rzeczach: nie parkuj auta w niedozwolonych miejscach, bo dostaniesz mandat; nie kradnij cudzych

[1] Etgar Keret, *Nagle pukanie do drzwi*, [w:] tegoż, *Nagle pukanie do drzwi*, przełożyła Agnieszka Maciejowska, W.A.B., Warszawa 2012, s. 5.

eprasa.pl 6f35c91f82

portfeli, bo trafisz do więzienia. Jeśli raptem wszyscy postanowią, że ich te zasady nie dotyczą, hulaj dusza, społeczeństwo tak naprawdę nie będzie miało odpowiednich środków, by zapobiec anarchii. Porządek społeczny jest oparty na umownych ustaleniach, czerwonych liniach, których nie wolno przekraczać, lecz w warunkach wojny te zasady szybko przestają działać. Na tym właśnie polega różnica.

W Izraelu często ktoś zajmuje cudze miejsce do parkowania. Potem wraca do samochodu i – również wcale nie tak rzadko – zastaje przestrzelone opony. Tak mszczą się ci, którzy mają doświadczenie z wojska; możliwe, że zachowywali się tak już wcześniej, na przykład na terytoriach okupowanych. Nie zdają sobie sprawy, czym jest odpowiedzialność społeczna. Tak naprawdę zawsze jest to więc kwestia wyboru.

W Pana utworach często występuje motyw użycia broni, nierzadko opisuje Pan sceny przemocy. Czy to nieodłączne składowe życia we współczesnym Izraelu?

Tak, przynajmniej w znaczącym stopniu. W jednym z moich opowiadań chłopak pokłócił się z dziewczyną. Ona zatrzaskuje mu przed nosem drzwi ich mieszkania, zamyka się w nim, partnerowi każe się wynosić. Chłopak stoi na klatce schodowej i przypomina sobie, jak w wojsku uczono go wyłamywać drzwi. Ostatecznie jednak rezygnuje z rozwiązania siłowego, dochodzi do wniosku, że kocha dziewczynę, i idzie spać do rodziców. Pod tym względem dwudziestodwulatkowie z Izraela doprawdy różnią się od swoich rówieśników z Polski czy Litwy. W Izraelu każdy w tym wieku ma za sobą doświadczenie trzech lat służby w wojsku, szkolenia z krav magi, potrafi posługiwać się bronią – dotyczy to obu płci – możliwe, że widział, jak na jego oczach kogoś zastrzelono, może nawet sam kogoś zastrzelił. Po tym wszystkim dalej żyje na pozór normalnie – stoi w kolejkach, chodzi do kina, do filharmonii – lecz jego mózg funkcjonuje już w konkretnie wytrenowany sposób, więc wybuch przemocy może nastąpić w każdej chwili, nieoczekiwanie, i przybierać rozmaite formy.

„Wczoraj w nocy umarł Rabin. Przejechał go skuter z przyczepą. Rabin zginął na miejscu"[2]. Tak zaczyna się Pana opowiadanie z podtekstem politycznym *Rabin umarł*. Czy aspekty polityczne w oczywisty sposób wpływają na kulturę Izraela, wliczając w to literaturę?

Literatura dowolnego kraju zawiera pewne elementy polityczne, ponieważ kiedy mowa jest o polityce, zawsze w grę wchodzą emocje. W Izraelu nie da się rozmawiać o prawicy bez wspominania o strachu, nie możemy także mówić o lewicy, nie wspominając o poczuciu winy.

[2] W opowiadaniu chodzi o kota o imieniu Rabin. To aluzja do zamachu na Icchaka Rabina (1922–1995), znanego izraelskiego polityka, dwukrotnego premiera. Etgar Keret, *Rabin umarł*, [w:] tegoż, *8% z niczego*, przełożyła Agnieszka Maciejowska, W.A.B, Warszawa 2011, s. 124.

eprasa.pl 6f35c91f82

Piszę nie po to, by przekazać jakieś przesłanie polityczne, ponieważ tego typu przekazy zawsze mają charakter redukcyjny. Jestem jednak przekonany, że nie mógłbym napisać niczego, co ma związek z naszą rzeczywistością, a jednocześnie byłoby w pełni pozbawione jakichkolwiek elementów politycznych. Jest to po prostu DNA otaczającej nas rzeczywistości.

Pewien krytyk określił Pana mianem osoby, która „pragnęła zostać raczej szalonym naukowcem niż pisarzem". Pana styl pisania, posługiwania się hebrajszczyzną, jest uważany za wyjątkowo innowacyjny. Matka z kolei określała Pana jako „polskiego pisarza na uchodźstwie". Z którym z tych określeń może się Pan zgodzić?

Z żadnym. Dokładam znacznych starań, żeby moje pisanie było czymś więcej niż tylko opowiadaniem historyjek. Jestem również przekonany, że mama, nazywając mnie „pisarzem na uchodźstwie", tak naprawdę miała na myśli głębszy sens. Pozostawiając na boku dyskusję o mojej polskiej tożsamości, chciałbym powiedzieć, że w pewnym sensie rzeczywiście mocno czuję przynależność do uchodźstwa. Z tej pozycji potrafię bowiem spojrzeć na otaczających mnie ludzi z miłością lub żalem, lecz również łatwiej jest mi zauważyć, kiedy ich zachowanie odbiega od tego, co określamy jako normę – i odpowiednio je nazwać. Odbieram te zachowania jako „cudzoziemskie", a muszę przyznać, że wielu rzeczy w Izraelu, mimo że tu mieszkam, nie potrafię zrozumieć. Na przykład nie rozumiem ludzi, którzy twierdzą, że kochają zwierzęta, i zarazem je jedzą, tak samo jak nigdy nie rozumiałem ludzi, którzy mają dobry, nawet przyjazny stosunek do arabskich pracowników, a zarazem są otwartymi rasistami, nie znoszą Arabów w ogóle, mówią: „Wiecie, ci akurat to dobrzy ludzie, ale Arabowie ogólnie rzecz biorąc…". Słysząc takie rozmowy, zawsze czuję się nieswojo.

Literatura Izraela w języku hebrajskim należy do najmłodszych na świecie, aczkolwiek korzeniami sięga wyjątkowo głęboko. Na nowych banknotach szekli widnieją twarze znanych i zasłużonych dla literatury Izraela postaci: Racheli Bluwstein, Szaula Czernichowskiego, Lei Goldberg. Pan reprezentuje – z grubsza rzecz biorąc – trzecie pokolenie pisarzy, którzy mieszkają i tworzą w Eretz Yisrael. Czy izraelska literatura wciąż czuje się młodo?

Tym, co w izraelskiej literaturze możemy określić jako pierwiastek „młodości", jest właśnie pragnienie innowacyjności. Mówię teraz o wszystkich wspaniałych ludziach, którzy tworzyli i tworzą tu, w tym kraju. Od innych literatur odróżnia nas brak możliwości spojrzenia wstecz na swoich „ojców założycieli" z perspektywy dłuższego czasu. Nasze pokolenie wciąż jest kształtowane przez rozmaite wpływy kulturalne i tworzy swoistą mieszankę – niemal wszyscy są dziećmi emigrantów,

eprasa.pl 6f35c91f82

w najlepszym razie to trzecie pokolenie zamieszkałe w Izraelu. W tym kraju zaledwie kilku pisarzy nie jest dziećmi lub wnukami emigrantów. Przykładowo, na literaturę francuską czy nawet amerykańską możemy spojrzeć z perspektywy stuleci. Francuzi mogą powiedzieć: „Nasze opinie o Houellebecqu się różnią, ale Balzac i Voltaire znaczą wiele dla nas wszystkich". My takiej możliwości nie mamy, ponieważ Izrael jest krajem imigrantów, jego kultura została przywieziona z diasporą i składa się na nią wiele rozmaitych elementów zapożyczonych z kultury polskiej lub rosyjskiej, ale również ze świata arabskiego, a nawet Ameryki Łacińskiej.

Niedawno w Polsce ukazała się książka Karoliny Przewrockiej-Aderet *Polanim*. Zawiera historie pochodzących z Polski Izraelczyków, również historię Pana rodziny. Co dla Pana znaczy posiadanie polskiego obywatelstwa oraz niezwykła popularność Pana twórczości w Polsce?

Kiedy podczas wojny zginęła moja babcia oraz cała jej rodzina, wliczając dzieci – braci i siostry mojej matki – w życiu mojej mamy dokonał się przełom. Powiedziała wtedy swojemu ojcu, że dłużej nie wytrzyma – chce wyjść na ulicę, żeby pierwszy napotkany nazista ją zastrzelił. Ojciec mamy, później zginął w polskim powstaniu warszawskim, odpowiedział: „Nie możesz tego zrobić. Powinnaś żyć, żeby zachować pamięć o naszej rodzinie, żeby jej tradycje pozostały żywe". Po tym wszystkim, co musiała przecierpieć moja mama, z czym musiała się zmierzyć, przyjazd do Polski przysporzył mi silnych emocji. Mama była sierotą, przymierała głodem – jak wiele żydowskich dziewczynek bez grosza przy duszy i żadnej rodziny pozostałej przy życiu w powojennej Polsce.

Dziś jestem witany przez prezydenta Warszawy, przy ulicy Chłodnej mam Dom Kereta… Cieszę się, że razem z mamą spełniliśmy życzenie dziadka – ludzie odbierają nas, nasze dziedzictwo i historię, takimi, jacy jesteśmy, akceptują nasze polskie korzenie, nasz związek z tym miejscem.

Wspomniał Pan o Domu Kereta. W 2012 roku właśnie przez ten projekt dokonało się Pana symboliczne osiedlenie w Warszawie – rodzinnym mieście Pana matki. Charakterystyczna instalacja na rogu ulic Chłodnej i Żelaznej nazywana jest także najwęższym domem świata. Jakie były cele tego pomysłu i w jaki sposób dołączył się Pan do jego realizacji?

Muszę wyznać, że moja rola była raczej pasywna, ponieważ na pomysł wpadł architekt Jakub Szczęsny. On również zaprojektował budynek i doprowadził do jego powstania.

Pewnego dnia Jakub zatelefonował do mnie i powiedział, że podczas spaceru zwrócił uwagę na piękną przedwojenną kamienicę, stojącą w bezpośrednim sąsiedztwie bloku z wielkiej płyty. Doszedł do wniosku, że szczelina między budyn-

eprasa.pl 6f35c91f82

kami (wziął pod uwagę również ich lokalizację) symbolizuje żydowską spuściznę kulturową, której zabrakło w powojennej Polsce. Wraz ze zniknięciem Żydów w Polsce zmieniły się również mentalność, sztuka itp. Pomyślał wówczas o mnie, współczesnym twórcy żydowskim, i postanowił wypełnić szczelinę pomiędzy tymi dwoma budynkami – przeszłością przedwojenną i powojenną. Ponieważ jest tam niewiele miejsca, nowy dom musiał był być bardzo wąski i mały, zarazem jednak funkcjonalny – cechy te w założeniu także nawiązują do moich opowiadań.

Polska kultura często jest odbierana również w szerszym kontekście – nie ogranicza się do granic współczesnej Polski i bierze pod uwagę rozmaite aspekty historyczne. Kulturę Rzeczypospolitej Obojga Narodów współtworzyli Polacy, Litwini i inne narody tego wielonarodowego państwa, przy istotnym wkładzie rozmaitych elementów kultury żydowskiej. Pańska rodzina ze strony ojca pochodzi z Litwaków, na Litwie powszechne jest mniemanie, że w Izraelu takie pochodzenie nobilituje. Ile jest prawdy w tym twierdzeniu?

Byłem na Litwie w 2012 roku, kiedy ukazała się tam moja książka. Ten wyjazd był ciekawy i doświadczyłem w jego trakcie wielu pozytywnych emocji, podobali mi się ludzie, spotkania. Mój ojciec pochodził z Baranowicz, współcześnie to Białoruś, ale historycznie Wielkie Księstwo Litewskie, więc rzeczywiście można powiedzieć, że w moich żyłach płynie też parę kropel krwi litwackiej.

Wspomnienia, które często łączą dziś z Litą [Litwa po hebrajsku – przyp. N.S.] ludzi definiowanych przez pochodzenie lub doświadczenia historyczne związane z tym obszarem, są przede wszystkim obciążone pewnym kompleksem sztetli, kultury tworzonej w jidysz i całą tego otoczką, a także, niestety, antysemityzmem. Niegdysiejsi mieszkańcy tych terenów przynieśli ze sobą również lęki, że mogą być nienawidzeni z powodu swojej odmienności. Musimy być szczerzy – mówiąc o historii Litwaków, nie możemy pominąć tego aspektu.

Znane są opinie, że w Izraelu mamy obecnie do czynienia ze „zmęczeniem" aszkenazyjskich elit. Ludzie, którzy tworzyli Izrael od podstaw, odwoływali się do pewnych europejskich wzorców kulturowych i mieli – nazwijmy to w ten sposób – zachodnią wizję rozwoju kraju. Ile z tych założeń pozostało do dzisiaj, zwłaszcza w dziedzinie kultury?

To zabrzmi paradoksalnie, ale większość naszych prawicowych liderów dokłada obecnie znacznych starań, żeby odciąć się od tego, co Pan określił jako przynależność do elit europejskiego pochodzenia. Dziwne zjawisko, ale prawdziwe. Nasz premier, który przecież także ma europejskie korzenie, niedawno oznajmił, że zrobił sobie test DNA, i wyszło mu 2,5 procent krwi jemeńskiej.

eprasa.pl 6f35c91f82



Maciej Landsberg

Jeśli chodzi o mnie, głęboko wierzę w wielokulturowość.

(*uśmiecha się*) Zgadzam się więc, że odcinanie europejskich korzeni rzeczywiście się dokonuje – jest to wręcz swego rodzaju rewolucja i trwa już od jakiegoś czasu. Pomiędzy Mosze Arensem a jego oponentem ze środowiska Mizrahi, Dawidem Levym, trwała swego czasu walka polityczna. Levy często nazywał Arensa profesorem, zapewne po to, by poniżyć go w oczach swoich zwolenników. To brzmiało absurdalnie, gdyż Arens rzeczywiście pochodził ze środowiska akademickiego. Podobnych przykładów jest znacznie więcej. Obecna minister kultury, Miri Regev, krytycznie wypowiedziała się publicznie na temat obecności utworów Czechowa na liście lektur szkolnych. „Kim jest ten Czechow?" – pytała. „Nie jest nawet Żydem, to Rosjanin. Dlaczego musimy czytać jego utwory?"

Jeśli chodzi o mnie, głęboko wierzę w wielokulturowość. W izraelskich szkołach rzeczywiście dużo uwagi poświęca się polskim lub rosyjskim autorom, lecz znacznie mniej literaturze chociażby Maroka. Zgadzam się całkowicie, że wcześniejsza ideologia pozostawiła nam pewien rodzaj pogardy dla innych kultur, pozbawionej jednak właściwej treści. Zamiast zaproponować coś nowego, mainstream zgłasza pretensje: „Kim wy jesteście, żebyście nam mówili, co powinniśmy robić i czym się interesować?". Ostatnio pewna pisarka, chyba pochodzenia afroamerykańskiego, ogłosiła *challenge* – nie czytać książek napisanych przez białych mężczyzn. Cóż, jeśli ktoś szufladkuje samego siebie jako kogoś, kto czegoś nie czyta, to rzeczywiście wiele mówi o tej osobie. Znam sporo ludzi, którzy nie czytają książek napisanych przez białych mężczyzn – ponieważ w ogóle nie czytają książek. Jeśli pozwolimy, żeby nasza agenda kulturalna była oparta na propozycji umownego palenia książek w celu zastąpienia ich innymi, znajdziemy się na drodze donikąd.

Zbiór Pana opowiadań *Tęskniąc za Kissingerem* ukazał się w 1994 roku (po polsku w 2008 roku). Od tego czasu rzeczywiście sporo się na świecie zmieniło, aczkolwiek tytuł książki wciąż brzmi niemal proroczo. Czy także dzisiaj mamy powody, by tęsknić za wcześniejszym ładem świata?

Szczerze mówiąc, często łapię się na tym, że tęsknię za „starymi, dobrymi czasami", gdy sieci społecznościowe jeszcze nie zdominowały naszego życia i ludzie czytali więcej książek. Po prostu wówczas byłem młodszy. (*śmieje się*) To normalne. Kiedy moi rodzice byli w moim wieku – a skończyłem już pięćdziesiąt dwa lata – patrzyli na nasze pokolenie z trwogą i politowaniem, chciałbym więc uniknąć tej pułapki. Zdaję sobie jednak sprawę, że żyjemy obecnie w czasie wyzwań: struktury demokracji liberalnej ulegają zmianom, sztuka została zastąpiona przez rozrywkę, ludzie są coraz bardziej pasywni, coraz bardziej pogrążeni w konsumpcji, również w zakresie kultury. Patrząc z perspektywy historycznej, w sensie technologicznym uczyniliśmy znaczny postęp, lecz z punktu widzenia kultury –

eprasa.pl 6f35c91f82

niekoniecznie. Nie chcę przez to powiedzieć, że sprawy na świecie idą ku gorszemu. Przeciwnie, muszę wyznać, że czuję się raczej szczęśliwy, gdyż urodziłem się w najlepszych w historii ludzkości czasach. Pomijając okropne doświadczenia II wojny światowej, obecnie żyjemy w świecie, w którym kobiety mają prawo głosu, uznawane są prawa mniejszości, nowoczesne technologie w znacznym stopniu ułatwiają nam życie, nawet niezamożnych ludzi stać na antybiotyki i mogą uniknąć śmierci spowodowanej przez powszechne niegdyś choroby. Należy jednak wyraźnie zaznaczyć, że te właśnie dobre czasy borykają się z problemami wynikłymi ze wspomnianych wyzwań. Może to poprowadzić nas w kierunku nowego ładu światowego, lecz może też jakikolwiek ład zburzyć.

W opowiadaniu *Ostatnie opowiadanie i koniec* przywołuje Pan opowieść o diable, który przyszedł, żeby odebrać twórcy jego talent. „»Czy wiesz, co teraz będziesz robił?« – pyta zmartwiony diabeł na odchodne, już stojąc w drzwiach. »Nie za bardzo, pewnie uda mi się częściej chodzić nad morze, spotykać z przyjaciółmi – takie rzeczy. A ty?« »Praca« – powiedział diabeł". Czy nadejdzie taki dzień, kiedy Etgar Keret będzie po prostu spotykał się z przyjaciółmi i spacerował nad morzem?

Opowiem, jak doszło do napisania tej historii. Pewnego wieczoru siedziałem w barze nieopodal mojego domu. Podszedł do mnie wielki facet, położył mi rękę na ramieniu i zaproponował: „Chodź, napijesz się ze mną". Odpowiedziałem: „Dzięki, ale mam już dość, właśnie zbierałem się do wyjścia". On na to: „Zaproponowałem ci, żebyś się ze mną napił. Czyżbyś chciał mnie obrazić?". Popatrzyłem na niego – wielki facet, wiesz – i się zgodziłem. Zaczęliśmy więc pić i rozmawiać, gość opowiadał, że pracuje jako komornik. Lubi swój zawód, nie musi przesiadywać w biurze i ma mnóstwo wolnego czasu – czasami po prostu wchodzi do mieszkań dłużników i zabiera stamtąd cenne rzeczy. Pomimo jego starań miałem wrażenie, że tak naprawdę nie znosi tego zajęcia. Ciągnął, jak to wchodząc do czyjegoś domu, zawsze próbuje wyczuć, które rzeczy mają największą wartość dla gospodarzy. „Czasami – mówił – biorę biżuterię, ale pewnego razu zabrałem kolekcję płyt jazzowych. I uwierz mi, facet płakał, błagał mnie, żebym mu ich nie zabierał. Zawsze staram się grać na ludzkich słabościach, odpowiednio je zidentyfikować". Powiedziałem: „Gdybyś przyszedł do mnie, mógłbyś zabrać wszystko, nie jestem przywiązany do rzeczy". Roześmiał się: „Wszyscy tak mówią".

W domu ogarnęła mnie paranoja. Zacząłem po pijaku myśleć, które rzeczy bałbym się stracić. Rozglądałem się, krążyłem po mieszkaniu, ale nic takiego nie znalazłem. Rzeczywiście nie jestem przywiązany do rzeczy. Zmęczony usiadłem i napisałem historię o tym, że najbardziej boję się utraty zdolności do pisania. Pisanie to dla mnie doskonały sposób, by coś

eprasa.pl 6f35c91f82

stworzyć, naprawić. Jeśli kiedyś nadejdzie dzień, w którym niczego nie trzeba będzie opisywać, gdyż wszystko będzie doskonałe, wówczas być może powiem: „Do diabła z pisaniem", i po prostu będę żył dalej, długo i szczęśliwie.

Etgar Keret – izraelski pisarz, poeta, scenarzysta, reżyser filmowy. Słynie jako mistrz krótkiej formy, jego debiutancki zbiór opowiadań *Rury* ukazał się w 1991 roku, a kolejne zbiórki – *Tęskniąc za Kissingerem*, *Pizzeria Kamikadze*, *Nagle pukanie do drzwi* oraz *8% z niczego* przyniosły międzynarodową sławę. Ma również obywatelstwo polskie ze względu na historię rodzinną, która łączy go z Warszawą. Od 2012 roku istnieje tu instalacja artystyczna Dom Kereta.

Nikodem Szczygłowski jest pisarzem i tłumaczem. Mieszka w Wilnie.

eprasa.pl 6f35c91f82

Historia na bardzo współczesnym froncie

Agnieszka Bryc

Rosja znajduje się w stanie wojny z Zachodem. Wojny nie konwencjonalnej, lecz hybrydowej, prowadzonej różnorodnymi środkami i we wszystkich sferach, w tym polityki historycznej. Polska, choć deklaratywnie krytyczna wobec Rosji, może okazać się jednym z najsłabszych ogniw po stronie Zachodu.

W Rosji w tworzenie modeli rozwoju sytuacji międzynarodowej zaprzęgnięte zostały najważniejsze akademickie instytuty badawcze, wydziały w resortach cywilnych oraz strukturach bezpieczeństwa. Wygląda wręcz na to, że przyszłość Rosji i świata projektują wszyscy, od Rosyjskiej Akademii Nauk, przez MGiMO, Rosyjski Instytut Studiów Strategicznych, po agencje i instytucje rządowe oraz wojskowe. Za najbardziej przewidywalny scenariusz rosyjscy progności uznają długofalową, wielowymiarową konfrontację z Zachodem. Ich wspólnym mianownikiem jest teza, że Zachód chce osłabić Rosję, pozbawiając ją tradycyjnej strefy wpływów w przestrzeni poradzieckiej, a nawet rozsadzić ją od środka. Zakładają przy tym, że choć obecnie Rosja pozostaje stroną słabszą, to będzie jej sprzyjać postępujący „zmierzch" Zachodu i przesuwanie się globalnego centrum w kierunku Azji. W ramach tej konfrontacji Rosja będzie szukała słabych ogniw po stronie Zachodu. Jednym z nich może być Polska. A przecież nad Wisłą dominuje przekonanie, że jesteśmy impregnowani na rosyjskie wpływy.

Koniec wieku Ameryki

Diagnoza Rosjan nie jest niczym odkrywczym. W stosunkach międzynarodowych teoria cyklów hegemonicznych określa jako fazę dekoncentracji hegemonii stan, w którym słabnący hegemon wciąż przewodzi, a wzrastający w potędze konkurent jest jeszcze zbyt słaby, żeby przejąć przywództwo. To ostatnia faza cyklu. Rosjanie od lat postrzegają świat przez pryzmat wielkich cykli, geopolityki i *Realpolitik*. Uznali przemianę zachodzącą obecnie w układzie sił globalnych (wzrost gospodarczej, politycznej i militarnej potęgi Chin, relatywne osłabienie Stanów Zjednoczonych) za świetną okazję do zmiany swojej pozycji na arenie międzynarodowej.

eprasa.pl 6f35c91f82

Według szacunków rosyjskich futurologów Stany Zjednoczone w najbliższej perspektywie utrzymają globalne przywództwo, niemniej już w połowie XXI wieku wyraźnie osłabną. Kluczowe znaczenie będzie mieć nie tyle sfera militarna, ile ekonomiczna, społeczna oraz kulturowa. Innymi słowy, „koniec wieku Ameryki" nastąpi wraz z dewesternizacją, czyli gdy Zachód przestaną spajać wartości dotychczas uznawane za źródło jego potęgi (demokracja liberalna, prawa człowieka i mniejszości, rządy prawa, wolny rynek). Stany Zjednoczone stracą czar *American dream*, a Europa status „najlepszego miejsca do życia". Na atrakcyjności zyska alternatywa wobec Zachodu, na którą składają się promowane przez Rosję „tradycyjne" wartości, oligarchiczny i klientelistyczny model kapitalizmu, wertykalna władza autorytarna. Wyłoni się wówczas świat postamerykański, a Rosja ma w nim szansę stać się trwałą częścią globalnego „koncertu mocarstw". Utrzymać się w nim jednak można – w ocenie Kremla – wyłącznie grając twardą siłą (*hard power*). Zgodnie z tym tokiem rozumowania koncyliacyjna postawa Jelcyna była błędem, ponieważ polityka XX i XXI wieku nie różni się w swoich mechanizmach od XIX-wiecznej rywalizacji wielkich mocarstw i przypomina raczej Hobbesowską wojnę wszystkich ze wszystkimi, lub Leninowskie „kto kogo".

Według rosyjskich futurologów Stany Zjednoczone w najbliższej perspektywie utrzymają globalne przywództwo, niemniej już w połowie XXI wieku wyraźnie osłabną.

Groźby muszą być wiarygodne

Zapowiedź nowej, kontestującej Zachód strategii Rosji wybrzmiała podczas monachijskiego wykładu Władimira Putina w 2007 roku. W swoim przemówieniu prezydent Federacji Rosyjskiej otwarcie obwinił Stany Zjednoczone i ich sojuszników o wykorzystywanie dominacji na arenie międzynarodowej, narzucanie własnych interesów „reszcie świata" oraz uczynienie porządku pozimnowojennego dysfunkcjonalnym. Logika oficera KGB nakazywała jedno: „groźby muszą być wiarygodne", więc rok później eskalacja na Kaukazie zakończyła się wojną z Gruzją. Putin potwierdził, że – w odróżnieniu od jego poprzednika, Borysa Jelcyna – nie można ignorować jego stanowiska, a tym samym rosyjskich interesów.

W istocie agresja przeciwko Gruzji była jasnym przekazem dla Stanów Zjednoczonych i reszty Zachodu: „Przestrzeń poradziecka jest rosyjską strefą wpływów, a bronić jej będziemy nawet przy użyciu siły". W ten sam sposób Moskwa postrzegała ukraińskie rewolucje (pomarańczową w 2004 roku i godności na przełomie lat 2013/2014) na Majdanie. W przekazie propagandowym wyraźnie przedstawia-

eprasa.pl 6f35c91f82

ła je jako inspirowane przez Zachód, w celu „wyłuskania" Ukrainy z rosyjskiej strefy wpływów. Stąd decyzja o wciągnięciu państwa ukraińskiego w konflikt zbrojny w Donbasie oraz aneksja Krymu w 2014 roku. Taktyka ta daje Kremlowi poczucie, że Kijów uwikłany w konflikt z sąsiadem nie ma szans na akcesję do NATO, natomiast integracja z Unią Europejską może być przeciągana w nieskończoność.

Rosyjscy stratedzy liczą, że Zachód albo zniechęci się nieudolnymi reformami Kijowa, niemożnością odsunięcia oligarchów od władzy czy porażką w zwalczaniu korupcji, albo wprost opowie się za opcją *Russia first*. Prosta kalkulacja *Realpolitik* wskazuje bowiem w opinii Kremla, że bez Moskwy nie można rozwiązać przynajmniej kilku fundamentalnych problemów bezpieczeństwa międzynarodowego.

Mało optymizmu

Podejrzliwość wobec Zachodu nie jest niczym nowym w rosyjskich elitach władzy. Aktualna strategia za iskrę zapalną uważa jednak serię kolorowych rewolucji w byłych republikach radzieckich, poczynając od rewolucji róż w Gruzji (2003) i pomarańczowej na Ukrainie (2003/2004), a na tulipanowej w Kirgistanie (2005) i dżinsowej na Białorusi (2006) kończąc. Nieprzypadkowo więc każdy kolejny masowy ruch społeczny, jak arabska wiosna (2010–2011), protesty Rosjan na placu Błotnym (2011), czy rewolucja godności (2013–2014), Moskwa uznawała za inspirowany przez Stany Zjednoczone oraz wymierzony w rządy im nieprzychylne, za to pozytywnie nastawione do Rosji.

Gdy w 2007 roku Putin negował porządek pozimnowojenny, sytuacja gospodarcza pozwalała mu na kontestację i asertywność w polityce zagranicznej. Stan ten trwał, dopóki globalny kryzys finansowy (wybuchł zaraz po zakończeniu wojny z Gruzją, a jego apogeum przypadło na rok 2009) nie pozbawił Rosji nadwyżki finansowej, co jednak w żadnej mierze nie osłabiło politycznych ambicji Kremla. Drugi cios gospodarka rosyjska otrzymała w momencie, gdy państwa Zachodu solidarnie nałożyły na nią sankcje w latach 2014–2015, po nielegalnej aneksji Krymu przez Federację Rosyjską, agresji na Donbas i zestrzeleniu malezyjskiego samolotu pasażerskiego. Restrykcje te nastroiły rosyjskich ekonomistów pesymistycznie, nie przewidują oni – nawet w perspektywie najbliższej dekady – powrotu na szybką ścieżkę wzrostu gospodarczego. Warto przy tym pamiętać, że słabość rosyjskiej gospodarki wynika z jej charakteru struk-

Nieprzypadkowo każdy kolejny masowy ruch społeczny, jak arabska wiosna, protesty na placu Błotnym, czy rewolucja godności, Moskwa uznawała za inspirowany przez Stany Zjednoczone.

eprasa.pl 6f35c91f82

turalnego. Rosja jako jedyny kraj z grupy BRIC w 2009 roku doświadczyła głębokiej recesji, natomiast wyraźne spowolnienie rozpoczęło się już w roku 2013, przed sankcjami Zachodu. Recesja, jeśli nie wręcz kilkuletnia depresja globalnej gospodarki wywołana przez pandemię koronawirusa, nie ominie również Rosji. Może ona być dla Moskwy szczególnie bolesna w sytuacji równoczesnej wojny handlowej z Arabią Saudyjską. Cena rosyjskiej ropy (Ural) spadła z ponad sześćdziesięciu dolarów za baryłkę na początku bieżącego roku do dwudziestu dolarów pod koniec marca.

Frustrację społeczną i krytykę rządzących wywołują pogłębiające się ubóstwo Rosjan, spadek realnych dochodów, korupcja władz, manipulacje wyborcze, niedopuszczanie opozycji do wyborów regionalnych i lokalnych lub ograniczenie jej udziału.

Mało optymistyczne są dla włodarzy Kremla również ostatnie notowania poparcia dla prezydenta Putina, co sugeruje słabnącą legitymizację jego władzy. Zdecydowanie wyczerpał się „efekt Krymu", czyli poparcia dla prezydenta, które po aneksji półwyspu osiągnęło maksymalny poziom – 87 procent. Obecnie wskaźnik ten, według badań Centrum Lewady, spadł do 63 procent. Walnie przyczyniło się do tego ogłoszenie przez Putina – w 2018 roku, w dniu inauguracji mistrzostw świata w piłce nożnej – skrajnie niepopularnej reformy emerytalnej. Frustrację społeczną i krytykę rządzących wywołują pogłębiające się ubóstwo Rosjan, spadek realnych dochodów, korupcja władz, manipulacje wyborcze, niedopuszczanie opozycji pozasystemowej do wyborów regionalnych i lokalnych lub bardzo duże ograniczenie jej udziału, nie wspominając o przejęciu kontroli nad Runetem (rosyjski internet). Znaczenie ma także narastające znużenie Putinem, sprawującym władzę od dwóch dekad. Dzięki ostatnim poprawkom konstytucyjnym potencjalnie będzie mógł być głową państwa nawet do 2036 roku, czyli do osiemdziesiątego czwartego roku życia.

Pasmo porażek

Problemów nastręczają władzom zwiększające się stagnacja i zastój w gospodarce. Niezbędne są więc sukcesy, a o te Kremlowi coraz trudniej. Ostatnie dwa lata nie były zresztą pasmem zwycięstw. W 2018 roku skandal wokół otrucia Sergieja Skripala podważył wizerunek potężnych i sprawnych służb rosyjskich. Pretorianie Kremla, „maładcy" z GRU, ośmieszyli nie tylko swoją formację, ale i państwo. Nie pomogły wywiady udzielane samej szefowej propagandowej stacji RT (dawniej Russia Today) Margaricie Simonian. Kreml musiał zainwestować w kampanię społeczną gloryfikującą dziedzictwo Czeka.

eprasa.pl 6f35c91f82

Następnie, zimą 2019 roku, władzom rosyjskim przyszło się zmierzyć z przyziemnym, acz bulwersującym opinię publiczną problemem – tak zwaną reformą śmieciową. Chodziło o nowy system gospodarowania odpadami. Przewiduje on obciążenie kosztami obywateli; nic dziwnego, że wywołał protesty w co najmniej czterdziestu czterech miejscowościach. W czerwcu 2019 roku, ponownie pod presją społeczną, władze musiały wycofać się ze sprawy Gołunowa – prowokacji polegającej na podrzuceniu narkotyków podczas zatrzymania znanemu dziennikarzowi portalu Meduzy. Niedługo potem przyszło Kremlowi tuszować manipulacje w „sprawie 27 lipca", czyli aresztowania ponad tysiąca demonstrujących w centrum Moskwy. Ludzie ci zebrali się, by wyrazić poparcie dla kandydatów opozycji w wyborach do władz stolicy Rosji.

Przez całe lato władze musiały również się tłumaczyć, dlaczego nie radzą sobie z trawiącymi Syberię pożarami. A już szczególnie niesprzyjający był koniec 2019 roku, naznaczony nie tylko wizerunkowym sukcesem Wołodymyra Zełenskiego po grudniowym spotkaniu z Putinem w Paryżu, ale też trudnymi negocjacjami z Aleksandrem Łukaszenką w sprawie dalszej integracji Białorusi z Rosją, i wreszcie upokorzeniem Rosji przez Światową Organizację Antydopingową (wykluczyła rosyjskich sportowców z imprez sportowych na następne cztery lata).

Nie chodzi o historię

Najbliższą okazją do odnotowania sukcesu, przynajmniej symbolicznego, będą dla Kremla obchody siedemdziesiątej piątej rocznicy zwycięstwa nad nazistowskimi Niemcami, zaplanowane na 9 maja 2020 roku, choć najprawdopodobniej ich międzynarodowy wydźwięk propagandowy poważnie osłabi wymuszona przez pandemię nieobecność najważniejszych polityków zagranicznych, a może nawet konieczność rezygnacji z tej masowej imprezy. Nieustanne odwoływanie się do historycznych zwycięstw militarnych ZSRR, wybielanie historii (na przykład negowanie zbrodni carskiej i bolszewickiej Rosji, w tym ludobójstw na małych narodach), ucieczka od dyskusji na temat własnych współczesnych problemów (tematy zastępcze), pełni w rosyjskiej polityce dwie funkcje: służy wewnętrznej konsolidacji oraz zewnętrznej destabilizacji.

W wymiarze wewnętrznym taktyka ta pozwala konsolidować społeczeństwo, wzmacniać jego poczucie tożsamości i lojalności wobec władz oraz odciągnąć uwagę ludzi od porażek władz i aktualnych wyzwań, takich jak chociażby kryzys ekonomiczny. W wymiarze zewnętrznym można natomiast skutecznie wykorzystywać narrację historyczną do realizacji strategicznych celów polityki zagranicznej. W tym celu Kreml inicjuje spory na tle historycznym, kierowane zwłaszcza pod ad-

eprasa.pl 6f35c91f82

resem państw wrażliwych na rosyjskie manipulacje i prowokacje. Nie trzeba daleko szukać, gdyż gotowa zareagować na każdy fałsz historyczny prezydenta Putina jest zawsze Polska.

Polska nie rozliczyła własnych historycznych „spraw trudnych" (na przykład zaangażowania części polskiego społeczeństwa w Holokaust), dlatego reaguje nadmiernie emocjonalnie przy każdej próbie odmiennej od własnej interpretacji przeszłości, a także pozwala, by polityka historyczna dominowała nad zagraniczną. Nic dziwnego, że Polacy ulegają kremlowskim prowokacjom historycznym. Ten sam mechanizm zadziałał, kiedy premier Mateusz Morawiecki podjął dyskusję z prezydentem Putinem w kwestii przyczyn II wojny światowej oraz antysemityzmu w okresie dwudziestolecia międzywojennego i dał się wciągnąć w grę, której reguły ustalił Kreml. Szkoda, bo przecież politycy znad Wisły powinni mieć świadomość, że Putinowi nie chodzi w żadnej mierze o historię; liczy się wyłącznie bieżąca i bardzo realna polityka.



Politycy znad Wisły powinni mieć świadomość, że Putinowi nie chodzi w żadnej mierze o historię; liczy się wyłącznie bieżąca i bardzo realna polityka.

Jej skuteczności dowiódł przebieg obchodów siedemdziesiątej piątej rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz, zorganizowanych w Jerozolimie przez instytut Yad Vashem wspólnie z Europejskim Kongresem Żydów. Jego prezydentem jest Mosze Kantor, rosyjski oligarcha powiązany z Putinem. Organizatorzy nie zgodzili się na zmianę planów i umożliwienie prezydentowi Andrzejowi Dudzie wystąpienia z przemową podczas głównej ceremonii; zaproponowali mu zabranie głosu podczas kolacji. W odpowiedzi prezydent RP odwołał swój udział w uroczystościach w Yad Vashem. W efekcie obchody stały się *one man show* prezydenta Putina. Uroczystości w obozie Auschwitz, które miały być polską kontrpropozycją, zgromadziły znacznie mniej delegacji, i to wyraźnie niższej rangi.

Lekcja do odrobienia

Władze w Warszawie powinny starannie odrobić lekcję z Jerozolimy. Izraelski rząd nie dał się wciągnąć w rosyjską narrację przedstawiającą Polskę jako sojusznika Hitlera, ale w odróżnieniu od Niemiec czy Stanów Zjednoczonych nie stanął w obronie Polski. W mediach izraelskich wzmianki o sporze polsko-rosyjskim ograniczyły się do suchych faktów; sprawy w zasadzie nie komentowano. Jedynie media liberalne (na przykład „Haaretz") skrytykowały rząd Izraela za brak reakcji na wypowiedzi Putina o Polsce.

eprasa.pl 6f35c91f82

Postawę Izraela należy tłumaczyć wyraźnym pogorszeniem relacji polsko-izraelskich po przegłosowaniu poprawek do ustawy o IPN-nie oraz istotnym znaczeniem Rosji dla Izraela na Bliskim Wschodzie, ale także w polityce wewnętrznej. Niecałe dwa miesiące po wizycie Putina w Yad Vashem Beniamin Netanjahu skapitalizował to zdarzenie podczas wyborów do Knesetu. Wizyta rosyjskiego prezydenta pozwoliła Likudowi przejąć część głosów Żydów rosyjskojęzycznych (12 procent elektoratu w Izraelu).

Polityka Polski wobec Rosji jest tak przewidywalna, że z perspektywy Kremla „okazja czyni złodzieja" i nie sposób jej nie wykorzystać. Kompleks na tle historii nie jest jedyną słabością polskich elit, a Rosjanie wszystkie je wykorzystują, i to w sprawach dla siebie zasadniczych. Wspomniane na początku tego artykułu prognozy rosyjskich analityków uwzględniają realną szansę na skuteczne osłabianie Unii Europejskiej. W ich ocenie scenariusz dalszej dezintegracji UE obejmuje dwa warianty. Pierwszym będzie opuszczenie wspólnoty przez państwa Europy Środkowej i Wschodniej. Za znamienny przykład służy Polska ze swoimi hasłami „odzyskiwania suwerenności" i „wstawania z kolan". Drugi wariant, opcja „dwóch prędkości", spowoduje przesunięcie eurosceptycznych państw środkowoeuropejskich na peryferie polityki europejskiej, i tym samym ich status będzie *de facto* przypominać ten państw stowarzyszonych.

Wystarczy inspirować

Rosjanie przewidują, że kraje Europy Środkowej, zwłaszcza V4, będą szukać nowych punktów oporu, choć ich możliwości pozostaną ograniczone. Albo uznają przywództwo Niemiec i pozostaną w UE, albo przeorientują się strategicznie na Eurazję, Rosję i Chiny. Przy czym, o ile – jak podejrzewają – Polska może próbować konstruować osie subregionalne, o tyle Czechy, Węgry i Słowacja, jeśli będą miały wybór, zawsze postawią na Berlin, nie na Warszawę. Innym słowy, Rosja nie musi wykonywać specjalnych operacji, aby Polska ześlizgnęła się na geopolitycznym przesmyku z Zachodu na Wschód. Wystarczy inspirować, pobudzać i stymulować.

Rosjanie przewidują, że kraje Europy Środkowej, zwłaszcza V4, będą szukać nowych punktów oporu, choć ich możliwości pozostaną ograniczone.

Katalog możliwości jest tu ogromny, i to głównie dzięki Polakom. Po pierwsze, wewnętrzna polaryzacja, której wykreowaniu bardzo pomogły działania partii obecnie rządzącej, doprowadziła do głębokich podziałów politycznych, wręcz trybalizacji polskiego społeczeństwa. W efekcie tak zwany odcinek polski stał się jeszcze łatwiejszy

eprasa.pl 6f35c91f82

do „zarządzania emocjonalnego" przez Rosję. Po drugie, przyzwalanie przez polski rząd na daleko idącą manifestację postaw nacjonalistycznych, wrogich wszystkim „obcym" – imigrantom, Żydom, Ukraińcom, muzułmanom, LGBT, liberałom, „lewakom", ekologom, inteligencji, weganom itp. – daje Rosji możliwość uczynienia rosnących w siłę środowisk skrajnie prawicowych „końmi trojańskimi", co przetestowała już skutecznie we Francji czy Włoszech.

Po trzecie wreszcie, Moskwie radość sprawia antyeuropejska narracja rządu Prawa i Sprawiedliwości, a krytyka „brukselskiego lewactwa", „zgniłego Zachodu" czy „szkodliwej ideologii gender" powoduje, że Polska i Rosja – nawet jeśli Warszawa zdecydowanie temu zaprzecza – grają do tej samej bramki. Z boku wyglądają na współpiewców tradycyjnych wartości oraz silnej władzy. Polski rząd zwłaszcza „reformami" wymiaru sprawiedliwości udowadnia, że coraz mniej łączy go z liberalną Europą. Według premierów i prezydentów najważniejszych krajów UE, unijnych komisarzy oraz zdecydowanej większości eurodeputowanych polski rząd podważa fundamentalne dla UE zasady państwa prawa oraz łamie konstytucję. Nie dziwi więc, że nawet jeśli politycy PiS-u są pryncypialnie krytycznie nastawieni do Rosji, to siłą rzeczy sprawowanie przez nich władzy jest dla Kremla szansą na osłabienie UE, a nawet rozsadzenie jej od wewnątrz.

Agnieszka Bryc jest doktorem nauk o polityce, adiunktem na Wydziale Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

eprasa.pl 6f35c91f82

Chłodne kalkulacje i diaspora
Rosja i Izrael na Bliskim Wschodzie

Jarosław Kociszewski

Izraelskich polityków i wojskowych, także tych z sowieckimi korzeniami, nie cieszy powrót Rosji na Bliski Wschód. Chłodno akceptują jednak fakty, dostosowują się do nich, a tam, gdzie mogą – korzystają.

W Jerozolimie na pustym, zaniedbanym placu stoi pomnik ofiar oblężenia Leningradu. Wysoki na 8,5 metra monument z kamienia i brązu upamiętnia setki tysięcy ofiar brutalnej walki o miasto w czasie II wojny światowej, ale także pokazuje stan relacji między Izraelem i Rosją, od poziomu pięknej symboliki po twardą i racjonalną praktykę.

Ceremonia z 23 stycznia 2020 roku, element kontrowersyjnego forum upamiętniającego ofiary Holokaustu, robiła wrażenie. Pomnik, na którym płonie wieczny ogień, osłonięto wielkim namiotem dla gości. Byli wśród nich nie tylko politycy, w tym prezydenci Izraela Reuwen Riwlin i Rosji Władimir Putin oraz premier Izraela Beniamin Netanjahu, ale także siedemdziesięciu świadków tamtych zdarzeń, rosyjskich Żydów obecnie mieszkających w Izraelu. Padło wiele pięknych słów o przyjaźni, potrzebie współdziałania i konieczności niedopuszczenia do podobnych tragedii w przyszłości.

Dzień później namiot, ogrodzenia i podesty zniknęły, po przeciętej wstędze także nie pozostał ślad, tylko nad błotnistym zboczem, przypominającym budowlany śmietnik, górował samotny monument. Jego otoczenie z czasem zapewne zostanie uporządkowane i zmieni się w jeden z licznych jerozolimskich skwerów. O pompie towarzyszącej odsłonięciu pomnika nikt nie będzie pamiętał.

Wspólna uroczystość z udziałem przywódców Izraela i Rosji poświęcona historii obrazuje instrumentalne traktowanie przeszłości przez obie strony. Każda z nich zupełnie inaczej rozkłada akcenty i odmiennie postrzega II wojnę światową: z perspektywy polityki historycznej państwa żydowskiego był to przede wszystkim okres

eprasa.pl 6f35c91f82

Zagłady, Rosjanie zaś wspominają Wielką Wojnę Ojczyźnianą. Na szczytach władzy przeszłość jest głównie narzędziem mobilizowania własnej opinii publicznej, kształtowania relacji zewnętrznych lub argumentowania swoich racji.

Nie może więc dziwić, że pomnik został odsłonięty przy okazji pobytu prezydenta Putina na Forum Holokaustu, zorganizowanym w jerozolimskim instytucie Yad Vashem z okazji siedemdziesiątej piątej rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz. Netanjahu i Putinowi nadarzyła się świetna okazja do zaprezentowania się przed własnymi obywatelami w roli przywódców światowego formatu, porozmawiania o sytuacji na Bliskim Wschodzie, a prezydent Rosji wykonał kilka ruchów mających na celu zmniejszenie międzynarodowej izolacji jego kraju.

Rusi'im

Niemniej monument swoją rolę odegrał. Odsłaniając go, premier Netanjahu zapłacił symboliczną cenę za spotkanie z prezydentem Putinem na własnym terenie, a w zamian zyskał kilka punktów w polityce wewnętrznej, która od roku obraca się wokół trzech kolejnych kampanii wyborczych do Knesetu (w marcu 2020 Likud wygrał wybory z wynikiem 30 procent głosów; to wzrost o 4 punkty procentowe w stosunku do głosowania we wrześniu 2019 roku), a co najważniejsze, miał okazję porozmawiać z gospodarzem Kremla o sytuacji na Bliskim Wschodzie, w szczególności w Syrii i Iranie.

Weterani II wojny światowej, obwieszeni orderami za służbę w szeregach Armii Czerwonej, stali się elementem izraelskiego krajobrazu od czasów „wielkiej imigracji rosyjskiej" w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Do Izraela przyjechało wtedy ponad milion *olim*, imigrantów. Początkowo tworzyli wyraźnie widoczną, osobną grupę „Rosjan", *Rusi'im*, jak mówią hebrajskojęzyczni Izraelczycy, z własnymi mediami i partiami politycznymi. Symbolem tamtych lat jest Natan Szaranski, sowiecki dysydent, a później izraelski polityk, lider i założyciel „rosyjskiej" partii Israel Ba'aliya, z której wywodzi się obecny przewodniczący Knesetu Juli Edelstein.

Jego historia ilustruje drogę *Rusi'im* – to określenie obejmuje imigrantów ze wszystkich republik i zakątków byłego ZSRR, także Czerniowiec, miasteczka na terenie dzisiejszej Ukrainy, w którym urodził się Edelstein – do ważnej funkcji politycznej w Izraelu, pełnionej z ramienia jednej z lokalnych partii. Teraz od niego w dużym stopniu będzie zależeć dalszy przebieg procesu i los premiera Nentanjahu.

Co czwarty „Rosjanin" wyjechał po jakimś czasie z Izraela. Ci, którzy zostali, „rozlali się" po wszystkich sektorach i obszarach społeczeństwa, od społeczności aszkenazyjskich po sefaradyjskie. Są wśród nich ludzie religijni i świeccy. W ciągu jednego pokolenia pod względem poziomu życia statystycznie dogonili średnią izra-

eprasa.pl 6f35c91f82

elską, a wielu z nich dołączyło do elit i przyczyniło się do rozwoju nowej ojczyzny. Co prawda część starszych nadal słabo mówi po hebrajsku, niektórzy w ogóle nie znają tego języka, ale już ich dzieci czy wnuki są „zwykłymi" Izraelczykami. Służą w wojsku, narzekają na koszty mieszkań i utrzymania, zastanawiają się, jaki start-up założyć, żeby resztę życia spędzić w Stanach Zjednoczonych.

W rezultacie ich siła polityczna jako spójnej grupy wyraźnie spadła, czego dowodem są zamierające media rosyjskojęzyczne i ugrupowania polityczne. Na placu boju został już tylko Nasz Dom Izrael (Israel Beitejnu), założony przez Awigdora Libermana, imigranta z Mołdawii. Zaczynał jako ochroniarz w kiszyniowskiej dyskotece, później był kierowcą Beniamina Netanjahu, a wspiął się aż na stanowisko ministra obrony i spraw zagranicznych i został człowiekiem, bez którego trudno utworzyć rząd. Jego przypadek to już jednak anachronizm.

Prezent od Putina

Gdyby „Rosjanie", około 12 procent elektoratu w Izraelu, głosowali jako spójna grupa, mogliby liczyć na kilkanaście miejsc w studwudziestoosobowym parlamencie i staliby się trzecią siłą polityczną kraju. Tymczasem zaledwie około 40 procent spośród nich głosuje na Nasz Dom Izrael. Efekt: kilka mandatów, które Liberman jednak niezwykle sprawnie przekłada na nieproporcjonalnie dużą siłę polityczną. Jego ugrupowanie jest niezbędne dla utworzenia jakiegokolwiek rządu. Co czwarty *Rusi* popiera Likud Beniamina Nentajahu, a reszta głosów rozkłada się między liczne partie polityczne – od skrajnej prawicy po partię pracy i ugrupowania religijne. Z takiego rozkładu głosów wynika, że „Rosjanie" mają bardziej prawicowe poglądy niż reszta Żydów w Izraelu.

Ogromne rozdrobnienie sceny politycznej państwa żydowskiego powoduje, że przywódcy nie zabiegają o wielkie grupy elektoratu. Wystarczają im kilkuprocentowe ruchy dające pojedyncze mandaty, następnie wykorzystywane podczas trudnych, niemal niemożliwych (jak w ostatnim roku) rozmów koalicyjnych.

Rusi'im nie po to wyjeżdżali z ZSRR, a później z Rosji, żeby teraz odbudować ją nad Morzem Środziemnym. Są skłonni co najwyżej pielęgnować poczucie kulturowej wyższości czy sentyment do kraju młodości, ale nie przekłada się to na lojalność wobec Kremla.

Sukces integracji fali imigracji rosyjskiej powoduje, że nie stała się ona przyczółkiem Moskwy w kraju będącym najważniejszym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. *Rusi'im* nie po to wyjeżdżali z ZSRR, a później już z Rosji, żeby teraz odbudować ją nad Morzem Śród-

eprasa.pl 6f35c91f82



Reuters/Nir Elias/Forum

Plakat wywieszony na siedzibie Likud

ziemnym. Są skłonni co najwyżej pielęgnować poczucie kulturowej wyższości czy sentyment do kraju młodości, ale nie przekłada się to na lojalność polityczną wobec Kremla.

Prezydent Putin najwyraźniej rozumie, że ludzie ci są Izraelczykami, a nie jego narzędziem wpływów. Świadczy o tym „prezent", który sprawił premierowi Netanjahu przed kwietniowymi wyborami. Pięć dni przed głosowaniem, które odbyło się 9 kwietnia 2019 roku, Rosjanie przekazali w Moskwie Izraelczykom szczątki żołnierza zaginionego podczas wojny w Libanie w 1982 roku. Zabity w bitwie z Syryjczykami Zachary Baumel spoczywał w nieoznaczonym grobie w Damaszku. Mogiłę odnaleźli i otworzyli żołnierze rosyjscy wspierający prezydenta Asada.

Symbole przyjaźni

Powrót zaginionych żołnierzy czy choćby ich szczątków jest ważny dla Izraelczyków. Beniamin Netanjahu wykorzystał te sentymenty dla wzmocnienia swojej kampanii wyborczej, podobnie jak gesty prezydenta Trumpa, który dwa tygodnie wcześniej uznał aneksję Wzgórz Golan przez państwo żydowskie. Pozorujący przyjaźń i wspólnotę interesów gospodarz Kremla złożył z kolei 23 stycznia 2020 roku w Jerozolimie obietnicę Yaffie Issachar, matce młodej Izraelki skazanej w Moskwie za posiadanie narkotyków, że z jej córką Naamą wszystko będzie dobrze. Dziewczyna rzeczywiście wróciła do Izraela dwa tygodnie później.

eprasa.pl 6f35c91f82

W zwróceniu szczątków Baumela czy uwolnieniu Issachar chodzi nie tylko o to, że Putin może konkurować o przyjaźń z Izraelczykami na równi z Trumpem. Podkreśla także znaczenie relacji między Rosją a Izraelem. Daleko wykraczają one poza fakt, że w państwie żydowskim mieszkają setki tysięcy ludzi żywiących sentyment do kraju pochodzenia czy ojczyzny rodziców.

Symbolami przyjaźni wymieniają się przywódcy znani z zimnej kalkulacji interesów. Wykonują pojednawcze gesty nie dlatego, że opierają na nich swoją politykę, tylko dlatego, że dzięki nim łatwiej zyskują aprobatę dla realnych i racjonalnych działań, ale także przykrywają niekiedy bardzo poważne rozbieżności. To część złożonej gry na poziomie regionalnym, niezależnej od sentymentów i emocji, które co najwyżej są metodą uzyskania społecznego poparcia.

W ciągu ostatnich pięciu lat Beniamin Netanjahu aż jedenaście razy odwiedził Moskwę. Odbył dwukrotnie więcej spotkań z Putinem niż z prezydentami Stanów Zjednoczonych. Wyraźnie widać, jak ważne dla Izraela są relacje z Rosją. Kluczem do zrozumienia koordynacji działań stwarzającej pozory zbliżenia jest sytuacja w Syrii.

Wspólny interes pomimo rozbieżności

Na początku 2015 roku trzykrotny minister obrony Izraela Moshe Arens (zmarł w 2019 roku) powiedział, że wojna domowa w Syrii zniweczyła największe zagrożenie egzystencjalne dla państwa żydowskiego, czyli armię syryjską z dużymi zapasami broni chemicznej mającymi równoważyć przewagę Sił Obronnych Izraela (IDF). Rzeczywiście, siły zbrojne Damaszku straciły *gros* zdolności bojowej, a składy broni masowego rażenia w większości zostały zneutralizowane.

Rosnącym zagrożeniem zaczęli być umacniający się w Syrii Irańczycy, ale na przerzut broni z Teheranu dla milicji szyickich, a zwłaszcza dla libańskiego Hezbollahu, IDF odpowiadały regularnymi nalotami. Czarny scenariusz, z perspektywy Izraela, zaczął się ziszczać jesienią 2015 roku. Wówczas Moskwa interweniowała po stronie prezydenta Baszara Hafiza al-Asada i *de facto* uchroniła go przed upadkiem.

Pierwszy raz od rozpadu ZSRR i końca zimnej wojny dało się odczuć znaczącą obecność Rosjan na Bliskim Wschodzie. Izraelczyków najbardziej zaniepokoiło rozmieszczenie w Syrii nowoczesnych systemów obrony przeciwlotniczej, potencjalnie groźnych dla swobody działania IDF. Kombinacja S-400, S-300, Pancyr, systemów walki elektronicznej, a na dodatek fizyczna obecność Rosjan i wynikająca z niej presja polityczna mogłyby okazać się barierą nie do pokonania nawet dla lokalnego mocarstwa, którym jest państwo żydowskie.

Kontaktom wojskowym i dyplomatycznym towarzyszyły incydenty z rzadka relacjonowane przez prasę, w rodzaju informacji o spotkaniu maszyn bojowych nad

eprasa.pl 6f35c91f82

Morzem Śródziemnym czy poderwaniu w powietrze myśliwców z gwiazdą Dawida z chwilą, gdy samolot z czerwoną gwiazdą na skrzydłach zbliżał się do Wzgórz Golan. Do najpoważniejszego zdarzenia doszło we wrześniu 2018 roku. Syryjska obrona przeciwlotnicza zestrzeliła rosyjski samolot wywiadowczy Ił-20 z piętnastoma żołnierzami na pokładzie. Moskwa obarczyła odpowiedzialnością Izraelczyków; uznała, że atakujące Syrię samoloty IDF posłużyły się rosyjską maszyną jak żywą tarczą.

Od początku widać było jednak, że obu stronom zależy na uniknięciu otwartego konfliktu. Moskwa nie miała ochoty ryzykować i ponosić kosztów otwartego konfliktu w regionie, nieuniknionego, gdyby weszła w spór z lokalną potęgą. Izraelczycy także rozumieją, że to nie Rosja jest ich wrogiem, a rzucenie wyzwania Kremlowi przyniesie więcej strat niż zysków. Dlatego po każdym incydencie, pomimo ostrej wymiany słów, dochodziło do kolejnej rundy konsultacji pogłębiających koordynację działań. Spotykali się oficerowie i politycy, w tym prezydent Putin z premierem Netanjahu.

Co więcej, Rosjanie i Izraelczycy odkryli także wspólny interes: ograniczenie wpływów Irańczyków w Syrii (Jerozolima najchętniej całkiem by się ich stamtąd pozbyła). Moskwa ma własne interesy w Iranie, więc nie może i do końca nie chce otwarcie przeciwstawiać się Teheranowi, jednak osłabienie obecności szyickich bojowników nie jest przez Kreml niemile widziane. Z kolei Izrael obecnie postrzega Iran jako największe, wręcz egzystencjalne zagrożenie, i aktywnie mu się przeciwstawia: regularnie atakuje pozycje i transporty broni przeznaczone dla Hezbollahu i innych milicji szyickich, w tym sił Al-Kuds, wchodzących w skład Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej.

Współpraca, ale bez sympatii

Wspólny interes jest realizowany za wyraźną, choć milczącą zgodą Rosjan na izraelskie naloty na irańskie cele w Syrii. Rosjanie mogliby, gdyby chcieli, powstrzymać albo przynajmniej znacznie utrudnić działania IDF. Rozmieszczone w Syrii systemy S-400 nie są używane do przechwytywania samolotów izraelskich, sytuacji nie zmieniają nawet dostarczone Syrii S-300. Jedyny F-16 z gwiazdą Dawida zestrzelony nad Syrią został strącony przez S-200 w lutym 2018 roku po tym, jak pilot zbagatelizował syryjskie możliwości.

Nieskuteczne okazują się nawet systemy Pancyr. Izraelczycy zaczęli je niszczyć, zanim sukcesami w zwalczaniu tych artyleryjsko-rakietowych zestawów przeciwlotniczych zdążyli pochwalić się Turcy. Co więcej, Syryjczycy wydają się często strzelać do fantomowych celów tworzonych w wyniku izraelskich ataków elektronicznych w czasie, gdy rzeczywiste ciosy kinetyczne spadają zupełnie gdzie indziej. Obsadze-

eprasa.pl 6f35c91f82

nie stosunkowo nowoczesnych systemów dostarczonych Damaszkowi przez rosyjskich żołnierzy lub przynajmniej lepsze przeszkolenie załóg oraz zintegrowanie całego systemu zapewne poprawiłoby jego efektywność, ale Moskwa nie podejmuje działań w tym kierunku.

Strony najwidoczniej uzgadniają działania, ale tylko wtedy, gdy jest to konieczne. Świadczą o tym zakłócenia systemów nawigacyjnych GPS pasażerskich samolotów lądujących na lotnisku Bena Guriona w Tel Awiwie. W połowie 2019 roku Izraelczycy poinformowali, że jest to zapewne następstwo wojny elektronicznej prowadzonej przez Moskwę w Syrii, czyli rozmieszczenia w bazie lotniczej Humajmim urządzeń zakłócających działanie dronów, które zagrażają głównej bazie rosyjskiej w regionie. Ministerstwo Obrony Federacji Rosyjskiej wszystkiemu zaprzeczyło, co też nikogo nie dziwi.

Prezydent Putin użył wojny w Syrii do podbudowania mocarstwowej roli Rosji na arenie globalnej, do wzmocnienia jej wiarygodnego wizerunku jako protektora swoich protegowanych albo przynajmniej wizerunku kraju w świecie.

Izraelskich polityków i wojskowych, także tych z sowieckimi korzeniami, nie cieszy powrót Rosji na Bliski Wschód. Starsi pamiętają rolę Moskwy w zbrojeniu i szkoleniu wrogich im armii i organizacji w czasach zimnej wojny. Przywódcy państwa żydowskiego nie tęsknili za powrotem Rosjan na Bliski Wschód i nie zmieniła tego również wielka fala imigracji *Rusi'im*.

Kreml działa jednak we własnym interesie i wykorzystuje nadarzające się okazje. Prezydent Putin użył wojny w Syrii do podbudowania mocarstwowej roli na arenie globalnej, do wzmocnienia wiarygodnego wizerunku Rosji jako protektora swoich protegowanych albo przynajmniej wizerunku kraju w świecie. Izraelczycy nie są z tego zadowoleni, ale w charakterystyczny dla nich racjonalny sposób chłodno akceptują fakty, dostosowują się do nich, a tam, gdzie mogą – korzystają.

Jarosław Kociszewski jest dziennikarzem i publicystą zajmującym się tematyką międzynarodową, wieloletnim korespondentem Polskiego Radia na Bliskim Wschodzie.

eprasa.pl 6f35c91f82

Nieprzewidywalna rywalizacja czy asymetryczny sojusz?
Rosja i Turcja z Syrią w tle

Adam Balcer, Grzegorz Michalski

Wyjątkowe zbliżenie Rosji z Turcją – członkiem NATO od blisko siedemdziesięciu lat – wywołało na Zachodzie obawy przed powstaniem strategicznego sojuszu Ankary i Moskwy. Ostatni kryzys w Idlibie pokazał jednak także, że poważnym wyzwaniem dla tego aliansu może być rosnąca nieprzewidywalność Turcji.

W ostatnich kilku latach doszło do bezprecedensowego zacieśnienia współpracy Turcji z Rosją w różnych sferach, w tym po raz pierwszy na taką skalę w sektorze bezpieczeństwa. W efekcie na Zachodzie liczni politycy, eksperci i dziennikarze zaczęli stawiać pod znakiem zapytania wiarygodność Turcji jako członka NATO. Te wątpliwości wzmacnia coraz bardziej autorytarny charakter reżimu prezydenta Turcji Recepa Tayyipa Erdoğana, który uważa putinowską Rosję za wzór do naśladowania.

Choć Turcja, przy wszystkich swoich poważnych problemach wewnętrznych, pozostaje regionalnym mocarstwem, to relacje turecko-rosyjskie mają charakter asymetryczny. Wynika to z zasadniczej różnicy potencjałów ekonomicznych i militarnych na korzyść Rosji oraz jej nieporównywalnie mocniejszej pozycji na arenie międzynarodowej. Moskwa ma bowiem znacznie lepsze relacje z wieloma czołowymi graczami regionalnymi (Iranem, Izraelem, Egiptem, Arabią Saudyjską, Grecją, Francją) niż Turcja. Dzięki tym „przewagom konkurencyjnym" Kreml może umiejętnie „racjonalizować koszty", czyli działać zgodnie z koniunkturą regionalną i światową (rozgrywa sprzeczności między głównymi graczami), a także „deszyfrować" ograniczenia, zamiary, interesy i ambicje prezydenta Erdoğana w polityce wewnętrznej oraz zagranicznej. Spadające poparcie społeczne dla partii rządzącej i trudna sytuacja ekonomiczna powodują, że dla prezydenta Erdoğana te dwie polityki przenikają się w bardzo dużym stopniu.

eprasa.pl 6f35c91f82

Skuteczność rosyjskiej polityki wobec Turcji pokazał ostatni kryzys w Idlibie w północnej Syrii. W jego trakcie armia prezydenta Syrii Baszszaara al-Asada, wsparta przez Iran i zagranicznych szyickich najemników, ale także Rosję, odbiła znaczną część ostatniego większego regionu kontrolowanego przez różne organizacje zbrojne (od dżihadystów do lokalnych milicji). Przeciwników Asada ocaliła przed kompletną klęską interwencja Turcji – ich jedynego protektora. Zadał on znaczące straty Syryjczykom i ich szyickim sojusznikom. Była to największa turecka operacja wojskowa za granicą od czasu interwencji w irackim Kurdystanie w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Turcja straciła w jej wyniku niemal siedemdziesięciu pięciu żołnierzy w ciągu kilku tygodni. Większość z nich zginęła w trakcie rosyjskich nalotów. Walki wywołały także największą jednorazową falę uchodźców podczas wojny w Syrii – z domów uciekło milion osób. Dziś koczują w trudnych warunkach na zamkniętej granicy turecko-syryjskiej.

Ewentualny upadek Idlibu spowodowałby wzrost liczby uchodźców w północno-zachodniej Syrii aż do czterech milionów osób. Ludzie ci z pewnością próbowaliby przedostać się do Turcji. Już dzisiaj przebywa w niej najwięcej uchodźców na świecie – także ponad cztery miliony. W efekcie prezydent Erdoğan musiał interweniować, ale był na placu boju sam, a przeciwko sobie miał stojące za Asadem Rosję i Iran. W tej sytuacji pozostało mu tylko udać się do Moskwy i podpisać niekorzystny dla Turcji rozejm. Nieprecyzyjne sformułowania i radykalnie odmienne interesy sygnatariuszy powodują, że jego utrzymanie może być dużym wyzwaniem.

Dryf od Zachodu

Najbliższe miesiące będą kluczowe dla relacji rosyjsko-tureckich. Pokażą bowiem, czy bolesna lekcja instrumentalizacji i pogłębiania międzynarodowej (samo)izolacji Turcji, udzielona Ankarze przez Kreml, doprowadzi Erdoğana do samokrytycznej refleksji. Czy rozpocznie on równoważenie asymetrycznych relacji z Rosją poprzez odbudowę współpracy Turcji z Zachodem? Jeśli tak, będzie to trudny proces. Autorytarny system polityczny panujący w Turcji nie przynosi stabilizacji wewnętrznej, powoduje natomiast coraz większe problemy. Ta sytuacja skutkuje w polityce zagranicznej Erdoğana stosowaniem pokerowej licytacji (na przykład operacją w Idlibie) i wprowadzaniem na dużą skalę elementów sektarianizmu (na przykład wspieraniem sunnickich organizacji dżihadystycznych w Syrii) w celu konsolidacji najtwardszego elektoratu.

Wyzwaniem dla zbliżenia Turcji z UE i NATO jest także głęboko zakorzeniona w tureckiej kulturze politycznej podejrzliwość wobec Zachodu. Ma ona źródła w historii. Imperium Osmańskie się rozpadło, gdy większość terytorium zajęły mocar-

eprasa.pl 6f35c91f82

stwa zachodnie oraz ich państwa-klienci. Kurczeniu się imperium towarzyszyły nierzadko wzajemne czystki etniczne, zbrodnie i ludobójstwa. Miliony muzułmanów musiały poszukać schronienia w Anatolii. Co więcej, najważniejszym mitem założycielskim kemalistowskiej Republiki Turcji stała się wojna wyzwoleńcza (1919–1922). Była walką przeciw rozbiorowi kraju, postanowionemu w traktacie z Sèvres (1920), podpisanym przez Osmanów ze zwycięską ententą. Badania socjologiczne pokazują, że w podświadomości historycznej Turków kryje się syndrom Sèvres, czyli lęk przed podziałem kraju na skutek działań wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Paradoksalnie Kemal Atatürk, wykonując zdecydowany zwrot na Zachód, jednocześnie kultywował pamięć o walce z zachodnimi „imperialistami" i ich „marionetkami".

Putin ustawił na Kremlu delegację turecką pod pomnikiem carycy Katarzyny II, a Erdoğana usadził pod pomnikiem żołnierzy rosyjskich pokonujących Turków podczas wojny 1877–1978.

Podejrzliwość wobec Zachodu wzrosła zdecydowanie w ostatnich latach pod rządami Erdoğana, który oparł swój reżim na ideologicznej mieszance islamskiego (sunnickiego) tureckiego nacjonalizmu i konserwatywnego autorytarnego populizmu. Taki miks sprzyja napięciom z zachodnimi liberalnymi demokracjami, a z drugiej strony – zbliżeniu z dyktatorskim Putinem. Niechęć do Zachodu znalazła wyraz w selektywnej oficjalnej polityce tożsamościowej i historycznej Turcji Erdoğana. Nie chce on pamiętać, że Zachód nie był monolitem w relacjach z Imperium Osmańskim. Ono zaś też przez wieki prowadziło podboje i – co ważniejsze – kluczową rolę w jego rozbiciu odegrała Rosja. Potęga tej ostatniej została przecież zbudowana na zwycięskich wojnach z „chorym człowiekiem Europy", jak car Mikołaj I nazwał Imperium Osmańskie. Prezydent Putin ustawił na Kremlu delegację turecką pod pomnikiem carycy Katarzyny II (trzy zwycięskie wojny i traktat gwarantujący Rosji ingerencję w sprawy wewnętrzne Turcji), a Erdoğana usadził pod pomnikiem żołnierzy rosyjskich pokonujących Turków podczas wojny 1877–1978. Tymi gestami pokazał, że Moskwa inaczej niż Turcja rozkłada akcenty w polityce historycznej.

Rosja wokół...

Od końca XVII wieku do początku XX wieku Rosja stoczyła z Turcją jedenaście wojen i olbrzymią większość z nich wygrała. Nieraz brała Turcję w kleszcze od północy przez Morze Czarne, od zachodu poprzez Bałkany i Morze Egejskie oraz od wschodu poprzez Kaukaz. W trakcie zimnej wojny sytuacja Turcji stała się jeszcze trudniejsza, gdyż ZSRR założył bazę w Syrii, dzięki czemu zyskał dostęp do Tur-

eprasa.pl 6f35c91f82

cji także od południa. Od rozpadu ZSRR Turcja po raz pierwszy od XVI wieku nie graniczy z Rosją na lądzie. Wojska sowieckie wycofały się z Gruzji, Azerbejdżanu i Bałkanów, jednak Rosja zachowała bazy w Syrii oraz Armenii. Stopniowo rosyjska obecność wojskowa znacznie wzrosła w obu krajach.

Rosjanie kontrolują dzisiaj w dużym stopniu granice lądowe Syrii oraz na całym terytorium Armenii. Ponadto w efekcie wojny z Gruzją w 2008 roku (kontrola Abchazji) oraz aneksji Krymu i agresji przeciw Ukrainie w Donbasie w 2014 roku, Moskwa zdecydowanie umocniła pozycję militarną na Morzu Czarnym. Wyjście na otwarte, ciepłe morze, czyli uzyskanie maksymalnej swobody żeglugi dla rosyjskiej marynarki wojennej w basenie Morza Śródziemnego, od wieków jest dla Moskwy celem o żywotnym znaczeniu. Turcja wraz z jej cieśninami Bosfor i Dardanele (przepływ regulowany przez Konwencję z Montreux z 1936 roku) była i będzie w tym kontekście kluczowym krajem w polityce Kremla.

W drugiej połowie XX wieku rozwój sowieckiego sektora energetycznego sprawił, że Turcja zyskała na znaczeniu jako kraj tranzytowy przy przesyle ropy i gazu, i to w skali Eurazji. Warto przypomnieć, że wojskowa obecność Rosji w Syrii daje Moskwie możliwość kontroli tras dostaw około 50 procent nośników energetycznych transportowanych do Europy przez wschodni basen Morza Śródziemnego.

Wyłuskiwanie Turcji

Historia relacji rosyjsko-tureckich to nie tylko konflikty. Przed końcem XVII wieku Rosjanie walczyli przede wszystkim z Tatarami krymskimi i lennikami osmańskimi, nie zaś z Turkami. W trakcie wojny wyzwoleńczej Atatürk miał kilku przeciwników, a tylko jednego sojusznika – Lenina. Nawet w trakcie zimnej wojny doszło do zbliżenia sowiecko-tureckiego. Nastąpiło to po nałożeniu w sierpniu 1974 roku przez NATO embarga na Turcję w odpowiedzi na „operację pokojową" na Cyprze. Ten sam schemat „solidaryzowania" się z Turcją Putin zastosował wobec Erdoğana w 2016 roku, dzień po próbie zamachu stanu. Udzielił wówczas prezydentowi Turcji bezwarunkowego wsparcia, zniósł (choć stopniowo) sankcje gospodarcze nałożone po zestrzeleniu przez Turków rosyjskiego myśliwca w 2015 roku.

Kolejny „tradycyjny" środek nacisku Rosji na Turcję, stosowany już w czasach carskich, a szczególnie sowieckich, to kwestia kurdyjska. Prawie połowa Kurdów na Bliskim Wschodzie mieszka w Turcji – to blisko 20 procent populacji tego kraju i olbrzymia większość w jego wschodniej części. Możliwość powstania na terytoriach Iraku i Syrii „kurdyjskiego pasa" Ankara uważa za żywotne zagrożenie dla bezpieczeństwa Turcji i jej integralności. Powstanie i rozwój przy wsparciu Stanów Zjednoczonych na północny Iraku wzdłuż granicy z Turcją autonomii kurdyjskiej,

eprasa.pl 6f35c91f82

a szczególnie trwająca od 2014 roku ścisła współpraca Stanów Zjednoczonych z syryjskimi Kurdami (Rożawą), stały się zarzewiem poważnych napięć w relacjach Ankary z Waszyngtonem.

Co więcej, prezydent Barack Obama krytykował masowe represje, które Erdoğan zastosował po zamachu stanu w 2016 roku. Do dzisiaj Amerykanie nie zgodzili się na wydanie muzułmańskiego myśliciela Fethullaha Gülena, oskarżanego przez Ankarę o kierowanie zamachem. Erdoğan zbudował dobrą personalną relację z prezydentem Donaldem Trumpem, ale Turcja ma fatalne stosunki z Kongresem i trudne z administracją prezydencką. Równocześnie w martwym punkcie znalazły się negocjacje akcesyjne Turcji z UE, fiaskiem zakończyła się turecka polityka „zera problemów z sąsiadami". Ankara przeszacowała własne siły w Azji Centralnej, na Bałkanach czy Kaukazie oraz nie dała modelowego przykładu państwom arabskim. Jednocześnie bezkompromisowo forsowała swoje interesy na Bliskim Wschodzie, przez co wyraźnie pogorszyła relacje z ważnymi graczami regionalnymi.

Piętrzące się problemy i poczucie osamotnienia spowodowały, że Turcja zaczęła szukać lewara. Padło na wyjątkowe zbliżenie z Rosją także w sferze militarnej, czego najważniejszym przejawem był zakup przez Turcję rosyjskiego systemu S-400. W odpowiedzi amerykański Kongres wyłączył Turcję z programu produkcji najnowszej generacji myśliwców F-35 oraz nałożył na ten kraj sankcje. Rosja wykorzystała możliwości, jakie stworzyła samoizolacja Turcji. Włączyła Ankarę do „astańskiego triumwiratu" (Rosja, Iran, Turcja), odpowiedzialnego za proces pokojowy w Syrii. W ten sposób ją nobilitowała, a prezydenta Erdoğana wzmocniła na arenie wewnętrznej. Równocześnie znacząco wzrosły w Turcji rosyjskie wpływy w sferze medialnej (tureckojęzyczne Sputnik i RT) oraz eksperckiej (think-tanki sprzyjające Rosji). Te działania zaczęły uwiarygodniać Rosję w społeczeństwie tureckim jako wartego zaufania partnera, obarczonego podobnymi problemami z Zachodem. Ten ostatni przecież „zatracił podstawowe tradycyjne wartości moralne", jest „imperialistyczny" i „gra wobec obu narodów podwójnymi standardami". Wspólną ideową platformą dla zbliżenia Rosji i Turcji stała się także wizja Eurazji jako połączenia Europy i Azji, z którego wynika nowa, lepsza wartość. Eurazjatyzm jako alternatywa (lub antyteza) dla orientacji zachodniej zyskuje obecnie poparcie w Turcji i sugeruje pokrewieństwo cywilizacyjne z Rosją.

Gospodarcza asymetryczna współzależność

Kolejną polisą zabezpieczającą relacje turecko-rosyjskie przed kryzysem są rosnące więzi ekonomiczne między oboma krajami. Związki te (inwestycje, handel, turystyka, sektor budowlany) tworzą jednak asymetryczną współzależność korzyst-

eprasa.pl 6f35c91f82

niejszą dla Rosji. Jest ona drugim najważniejszym partnerem handlowym Turcji (udział w całym handlu rosyjskim – 7 procent), ale turecki eksport do Rosji jest pięć razy mniejszy niż rosyjski do Turcji. Równocześnie Rosja jest najważniejszym rynkiem dla tureckich firm budowlanych. Łączna wartość realizowanych przez nie w ostatnich dekadach kontraktów wynosi osiemdziesiąt miliardów dolarów.

Rosji pierwsze wyraźne efekty dywersyfikacji zakupów gazu i ropy przez Turcję.

W 2019 roku Turcję odwiedziło ponad siedem milionów Rosjan, czyli ponad 15 procent wszystkich turystów w tym kraju; całkowity wkład turystyki do PKB Turcji wynosi zaś ponad 12 procent. Najściślejsze związki łączą jednak Turcję z Rosją w wymiarze energetycznym. Działania Ankary na rzecz przekształcenia Turcji w energetyczny hub Eurazji oraz rosyjska strategia wyłączenia Ukrainy z tranzytu do Europy poprzez rozbudowę omijającej ją infrastruktury dają Turcji szansę na odegranie tej niezwykle ważnej roli. Ankara ryzykuje równocześnie, że współpracując z Moskwą, pozostanie energetycznie zależna od Rosji. Uruchomienie w grudniu 2019 roku gazociągu Turkish Stream może odwrócić na korzyść Rosji pierwsze wyraźne efekty dywersyfikacji zakupów gazu i ropy przez Turcję. Rozpoczęcie w 2018 roku budowy przez rosyjską firmę pierwszej w Turcji elektrowni atomowej (jej koszt szacuje się na dwadzieścia pięć miliardów dolarów) to kolejny przykład rosnącej asymetrycznej więzi między oboma krajami w energetyce.

Syryjska pułapka

Najważniejszym narzędziem nacisku Rosji na Turcję jest konflikt syryjski. Zajmuje on ze względu na kwestię kurdyjską oraz problem uchodźczy pierwsze miejsce w tureckiej polityce zagranicznej. Znaczenie Syrii dla Turcji rośnie, co pokazują cztery operacje sił tureckich w Syrii („Gałązka Oliwna" w 2018 roku, „Tarcza Eufratu" w 2018 roku, „Źródło Pokoju" w 2019 roku, „Wiosenna Tarcza" w 2020 roku). Zginęło w nich łącznie ponad trzystu żołnierzy tureckich. Pokazują także, jak bardzo niekorzystny dla Turcji układ sił powstał w Syrii. „Gałązkę Oliwną" i „Tarczę Eufratu" przeprowadzono za przyzwoleniem Rosji, a nawet z jej wsparciem powietrznym. Moskwa zrealizowała swój cel pogarszania stosunków między Stanami Zjednoczonymi i Turcją, a zarazem zachowała kontrolę nad areną działań wojennych.

Interwencje wojskowe Turcji zagroziły nawet bezpośrednią konfrontacją między siłami tureckimi i amerykańskimi na obszarach administrowanych przez kurdyjskie siły zbrojne. W wyniku operacji „Źródło Pokoju" wojska rosyjskie i syryjskie weszły do kurdyjskiej części kraju, Moskwa uzyskała status jednego z kluczowych protekto-

eprasa.pl 6f35c91f82

rów syryjskich Kurdów, Turcja musiała natomiast zaakceptować rolę Rosji jako najwyższego arbitra mediującego między Damaszkiem, Teheranem, Ankarą i Rożawą.

Operacja „Tarcza Wiosny" w Idlibie była rozpaczliwą próbą zdobycia przez Turcję pozycji równoprawnego gracza wobec Rosji. Moskiewskie uzgodnienia między Putinem a Erdoğanem potwierdziły jednak przeszacowanie przez Ankarę własnych możliwości samodzielnego oddziaływania na Moskwę, choć wskazały jej istotne zdolności wojskowe. Sytuacja w regionie Idlibu może ewoluować w niebezpiecznym dla Ankary kierunku zamrożonego konfliktu, czyli specjalności Rosji.

Zbliżenie tak, sojusz raczej nie

Zasadniczym celem Rosji Putina jest osłabianie ukierunkowania Turcji na Zachód oraz jej izolowanie na arenie międzynarodowej poprzez podważenie jej sojuszniczej wiarygodności w NATO. Obecny kryzys uchodźczy w regionie Idlibu jest pochodną chłodnej kalkulacji Rosji wobec Turcji. Dzięki uchodźcom Putin uzyskał istotną kontrolę nad częścią politycznego kapitału Erdoğana. Kreml przyzwolił na ograniczoną turecką operację w tej prowincji, co umożliwiło zaspokojenie bieżących oczekiwań nacjonalistycznego elektoratu Erdoğana. Turecka klęska w Idlibie mogłaby się przełożyć na krach reżimu Erdoğana, a to nie leży w interesie Kremla. Rosja jest beneficjentem rozczarowania Ankary Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską. Od początku nie mogły spełnić oczekiwań Turcji, ona zaś liczyła na ich bezwarunkowe poparcie w sprawie Idlibu.

Sterowalność relacjami z Turcją przez Moskwę może jednak okazać się problematyczna. Erdoğan boryka się z coraz poważniejszymi problemami wewnętrznymi.

Na korzyść Rosji działają także napięcia unijno-tureckie w kwestii uchodźczej. Wywołał je Erdoğan, szantażując Brukselę otwarciem granicy turecko-greckiej dla uchodźców przebywających w Turcji. Moskwę szczególnie cieszy radykalne zaostrzenie relacji Turcji z Grecją. Przyzwolenie Rosji na turecki atak przeciwko wojskom Asada jest także sygnałem dla Damaszku, że bez pomocy Moskwy pozostanie on sam na sam ze zdecydowanie silniejszą Turcją.

Dotychczasowe sukcesy Rosji w poszerzaniu pęknięć w relacjach Turcji z zachodnimi sojusznikami będą zachęcać Moskwę do kontynuacji dotychczasowej strategii, zwłaszcza że relacje amerykańsko-tureckie mogą ulec zdecydowanemu pogorszeniu, jeśli Trump przegra jesienne wybory. Sterowalność relacjami z Turcją przez Moskwę może jednak okazać się problematyczna. Erdoğan boryka się z coraz poważniejszymi wewnętrznymi problemami społecznymi, ekonomicznymi i poli-

eprasa.pl 6f35c91f82

tycznymi, więc może być coraz mniej przewidywalny w polityce zagranicznej. Małe zwycięskie wojny postrzega jako świetny temat zastępczy oraz metodę, by bronić swojej pozycji w kraju (stosuje szantaż patriotyczny, ogranicza prawa obywatelskie). Nie przypadkiem liczba tureckich operacji w Syrii narasta wprost proporcjonalnie do problemów wewnętrznych w Turcji.

Rosja nie ma potencjału ekonomicznego, by pomóc tureckiej gospodarce balansującej na krawędzi kryzysu. Badania opinii publicznej przeprowadzone w Turcji w trakcie walk w Idlibie pokazały, że Rosja nie może schować się za Asadem, a historyczne uprzedzenia wobec Rosjan są silne wśród Turków. Pomimo unikania przez Erdoğana bezpośredniej krytyki Putina ponad 70 procent Turków zadeklarowało, że za śmierć żołnierzy tureckich odpowiada Rosja, a jedynie 15 procent obwiniło Asada. Rosja może nie zapewnić kontroli nad zamrożonymi konfliktami, dysponuje bowiem *know-how* dla obszaru postsowieckiego, a sytuacja w Syrii jest bardziej złożona. Mocno zaangażował się tam wojskowo Iran i jego szyiccy „podwykonawcy", militarnie są obecni także inni gracze (na przykład Stany Zjednoczone, lotnictwo Izraela). Te wszystkie czynniki mogą znacząco utrudnić podniesienie relacji turecko-rosyjskich do poziomu strategicznego partnerstwa.

Grzegorz Michalski jest byłym wieloletnim ambasadorem i byłym konsulem generalnym RP w Turcji.

Adam Balcer jest dyrektorem programowym Kolegium Europy Wschodniej.

eprasa.pl 6f35c91f82

Dużo słów, mniej treści
Polska polityka wobec Krymu pod okupacją Rosji

Nedim Useinow

Aneksja Krymu przez Rosję, poważne wyzwanie dla bezpieczeństwa Polski, spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem Warszawy, nie wywołała jednak w ramach zaplanowanej strategii podjęcia działań, które znacząco wsparłyby także krymskich Tatarów.

Aneksja Krymu przez Federację Rosyjską zaskoczyła świat w takim stopniu, że jej powstrzymanie okazało się niemożliwe. Polska klasa polityczna również nie była przygotowana do właściwego zareagowania na dynamiczną sytuację w lutym – marcu 2014 roku. Kiedy w Moskwie przystąpiono do operacji „krymska wiosna", w Kijowie polski minister spraw zagranicznych Radek Sikorski odgrywał rolę w reżyserowanym zza kulis przez Kreml spektaklu pozorowanych negocjacji z prezydentem Ukrainy Wiktorem Janukowyczem. Ten ostatni uciekł z Ukrainy tuż po podpisaniu porozumienia z Sikorskim oraz szefami MSZ Niemiec i Francji z 21 lutego, w którym strony uzgodniły między innymi zawieszenie protestów w zamian za ustąpienie skompromitowanego prezydenta. Pochopnie okrzyknięta w Warszawie dyplomatycznym sukcesem mediacja z udziałem szefa polskiej dyplomacji w istocie okazała się fiaskiem już w momencie podpisania umowy. Rosjanie zaczęli wykorzystywać dokument do propagandowej akcji, że winę za konflikt zbrojny ponosi Zachód, gdyż nie potrafił zapewnić przestrzegania wynegocjowanych ustaleń.

W kolejnych miesiącach rząd RP reagował mniej impulsywnie, choć dynamika wydarzeń gwałtownie przyspieszała aż do wybuchu konfliktu zbrojnego na wschodzie Ukrainy. Polskie stanowisko wobec aneksji Krymu wypracowywano w ramach wspólnych kroków dyplomacji unijnej, NATO i Rady Bezpieczeństwa ONZ. Warta odnotowania jest także postawa społeczeństwa obywatelskiego, które nie pozostało obojętne na dramat sąsiada. Oceniając z perspektywy kilku minionych lat polską politykę wobec okupowanego Krymu, odnosi się jednak wrażenie, że cechuje ją brak długofalowej wizji i politycznej woli decydentów, by kreować rzeczywistość pożądaną z punktu widzenia polskiej racji stanu. Taka postawa wydaje się zanie-

eprasa.pl 6f35c91f82

dbaniem, ponieważ jako kraj mający najdłuższą w Unii Europejskiej wspólną granicę z Ukrainą, od sześciu lat toczącą na swoim terytorium wojnę z Rosją, Polska musi wypracować strategię polityczną zmierzającą do przywrócenia i utrzymania stabilności w tym kluczowym dla siebie regionie Europy.

Razem z innymi

Unia Europejska od 2014 roku sukcesywnie wprowadzała sankcje wobec Rosji za bezprawną aneksję Krymu. Obejmują one między innymi środki dyplomatyczne, działania indywidualne w postaci zamrożonych aktywów i ograniczenia podróży, restrykcje w stosunkach gospodarczych z okupowanym regionem, sankcje gospodarcze. W odpowiedzi Moskwa nałożyła embargo na różne rodzaje towarów i usług importowanych z Zachodu. Kontrsankcje szczególnie uderzyły w polski sektor rolno-spożywczy. W efekcie zamierzonych działań strony rosyjskiej w przededniu wyborów samorządowych (2014), prezydenckich i parlamentarnych (2015) w Polsce wiele firm odnotowało znaczne straty. Uderzając w interesy wpływowych grup biznesu, Kreml dążył do podniesienia kosztów nakładanych sankcji. Liczył na opór wspomnianych środowisk wobec decyzji unijnych polityków. Mimo dużych sporów w sferze publicznej i wielu obaw o wyniki polskiego eksportu rząd w Warszawie nie ugiął się wtedy pod presją i kontynuował wspieranie europejskich sankcji, demonstrując w ten sposób poparcie dla Kijowa. Ta stanowczość wkrótce się opłaciła, czas bowiem pokazał, że polscy eksporterzy żywności stosunkowo bezboleśnie zastąpili rosyjski rynek alternatywnymi kierunkami. I choć nie obeszło się bez pojedynczych bankructw, końcowy wynik okazał się korzystny dla polskiej gospodarki (dywersyfikacja rynków zbytu).

Na płaszczyźnie dyplomatycznej Polska kontynuowała politykę nieuznawania aneksji Krymu, czego dowodzą regularne oświadczenia MSZ i innych urzędów państwowych z okazji kolejnych rocznic okupacji. Polska była też jednym z inicjatorów rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 27 marca 2014 roku na temat integralności terytorialnej Ukrainy. Przyjęcie uchwały poprzedziły nieudane próby rozwiązania „kryzysu krymskiego" przez Radę Bezpieczeństwa ONZ. Na jej decyzje Rosja każdorazowo nakładała weto. Rezolucja, choć nie miała siły wiążącej, stała się ważnym dokumentem międzynarodowym; do jego postanowień odwołują się rządy państw i instytucje, między innymi OBWE, Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy czy Unia Europejska.

Z punktu widzenia polskiej racji stanu aneksja Krymu nie tylko podważyła fundamenty prawa międzynarodowego. Miała także daleko idące następstwa dla bezpieczeństwa w Europie Środkowo-Wschodniej. Długofalową konsekwencją okupa-

eprasa.pl 6f35c91f82

cji Półwyspu Krymskiego stanie się bowiem zmiana równowagi sił w basenie Morza Czarnego. Marynarka Wojenna Rosji *de facto* przejmuje kontrolę nad dwoma akwenami – Azowskim i Czarnym – dystansując flotę turecką. W perspektywie najbliższej dekady Rosja prawdopodobnie uzyska przewagę nad łącznym potencjałem wszystkich nadczarnomorskich państw NATO, co w połączeniu z doniesieniami o umieszczaniu na Krymie rakiet dalekiego zasięgu stwarza bezpośrednie zagrożenie dla Polski.

Ważnym osiągnięciem Polski było regularne podnoszenie kwestii ukraińskiej w obradach gromadzenia Generalnego ONZ w czasie polskiej kadencji w latach 2018–2019.

W tym kontekście duże znaczenie ma rozwijanie współpracy z Rumunią – czy to w ramach wschodniej flanki NATO, unijnych inicjatyw – na przykład Partnerstwa Wschodniego, czy w kontaktach bilateralnych – we wzmacnianiu potencjału gospodarczego i militarnego Ukrainy jako sojusznika pomagającego zrównoważyć potęgę rosyjską. Warto przypomnieć, że rumuńską Dobrudżę, historycznie silnie powiązaną z Krymem, zamieszkuje największa społeczność tatarska w Europie. Niestety, obecnie polskie władze nie potrafią w wystarczającym stopniu wykorzystać potencjału współpracy z Rumunią. Wystarczy spojrzeć na liczbę wizyt dwustronnych na wysokim szczeblu, umów podpisanych przez rządy Polski i Rumunii oraz ich wspólnych inicjatyw, znacznie mniejszą niż w przypadku Warszawy i Budapesztu.

Polska dysponuje ograniczonymi możliwościami prowadzenia samodzielnej polityki wobec okupowanego Krymu, dlatego aktywnie włącza się w inicjatywy wspólnoty międzynarodowej. Symbolicznym, ale jednak ważnym osiągnięciem było regularne podnoszenie kwestii ukraińskiej w obradach Zgromadzenia Generalnego ONZ w czasie polskiej kadencji w latach 2018–2019. Warszawa tradycyjnie popiera przedłużanie wspomnianych już sankcji unijnych przeciwko Rosji oraz lobbuje na rzecz ich rozszerzania. W 2018 roku szef polskiej dyplomacji Jacek Czaputowicz w trakcie wizyty w Stanach Zjednoczonych zdecydowanie potępił aneksję Krymu i powtórzył, że Polska utrzyma to stanowisko do czasu odbudowania integralności terytorialnej Ukrainy. Słowa poparcia dla wschodniego sojusznika wypowiedział po ogłoszeniu Deklaracji Krymskiej, gwarantującej nieuznawanie legalności aneksji przez stronę amerykańską.

Solidarność zwykłych ludzi i polityków

Poza ograniczonymi środkami dyplomatycznymi używanymi na poziomie rządowym należy odnotować dużo bardziej widoczną solidarność zwykłych obywate-

eprasa.pl 6f35c91f82

li, instytucji samorządowych i organizacji społecznych, którzy najpierw aktywnie włączyli się we wspieranie Majdanu, a później wyciągnęli rękę do uciekinierów z zagarniętego Krymu. Już od listopada 2013 roku w Warszawie, Gdańsku i innych miastach grupy obywateli ukraińskich wspierane przez nieobojętnych Polaków organizowały uliczne demonstracje przeciwko planom aneksji Krymu. Aktywiści między innymi rozdawali ulotki pod trójmiejskimi centrami handlowymi, licznie odwiedzanymi przez rosyjskich zakupowiczów z Kaliningradu. W ulotkach pojednawczym tonem namawiali Rosjan do sprzeciwu wobec agresywnych działań Putina i zachęcali do nieczytania kremlowskich fake newsów o Ukrainie. W tym czasie w szpitalach MSWiA w Warszawie leczyły się po ciężkich urazach dziesiątki protestujących z Majdanu, wśród nich niejeden mieszkaniec Krymu.

Wsparcie nie ustało także po aneksji Półwyspu Krymskiego w marcu 2014 roku. Władze Uniwersytetu Gdańskiego zaprosiły młodzież krymskotatarską na studia, zwolniły ją z wysokich opłat dla cudzoziemców i pomagały w adaptacji. Kiedy do Polski zaczęli przybywać uciekinierzy z Krymu, prześladowani ze względu na religię lub postawę obywatelską, znajdowali schronienie zarówno u rodzin polskich Tatarów z Podlasia, jak i w organizacjach społecznych działających na pograniczu polsko-ukraińskim. Wielu Polaków angażowało się i nadal się angażuje we wspieranie uchodźców z Krymu, którzy musieli zostawić na ojczystej ziemi cały majątek. Przykładem są choćby działania diecezjalnego funduszu dobroczynnego Caritas w Drohobyczu na Ukrainie. Kierujący funduszem Polak z Gorzowa Wielkopolskiego, z wykształcenia filozof, publicysta Brat Artur, jak nazywają go miejscowi, udzielał schronienia pierwszym uchodźcom z Krymu, a później asystował lokalnej społeczności muzułmańskiej w otwarciu krymskotatarskiego Centrum Kultury. Pomieszczenie udostępniły władze miasta, a koszty remontu i wyposażenia pokrył grant MSZ RP.

Wielu Polaków angażowało się i nadal się angażuje we wspieranie uchodźcow z Krymu, którzy musieli zostawić na ojczystej ziemi cały majątek.

Temat okupowanego Krymu podnosili na szczeblu międzynarodowym polscy eurodeputowani – na przykład organizowali konferencje i wystawy fotograficzne. Z inicjatywy Anny Fotygi w marcu 2016 roku w siedzibie Parlamentu Europejskiego odbyła się międzynarodowa konferencja poświęcona Tatarom krymskim. Udział w niej wzięli między innymi nowy ambasador Ukrainy przy Unii Europejskiej Mykola Tochytskyi, a także przedstawiciele społeczności krymskotatarskiej oraz polscy Tatarzy. W kolejnych latach młodzież szkolna z Krymu przyjeżdżała do Polski na zaproszenie Anny Fotygi w ramach wizyt studyjnych. Europosłanka wielokrot-

eprasa.pl 6f35c91f82

nie apelowała też o nieuznawanie aneksji Krymu i jest współautorką rezolucji Parlamentu Europejskiego z 2017 roku, domagającej się od Rosji zaprzestania prześladowań liderów społeczności krymskotatarskiej na okupowanym półwyspie. Wyliczając przykłady wsparcia dla krymskich Tatarów, nie sposób pominąć Nagrody Solidarności im. Lecha Wałęsy, przyznanej w 2014 roku ich przywódcy Mustafie Dżemilewowi za wybitne zasługi na rzecz demokracji.

Potrzeba strategii i inspiracji z zagranicy

Oprócz czysto ludzkiego odruchu pomagania innym musi też istnieć długofalowa przemyślana strategia polityczna, a tej Polsce najwyraźniej brakuje. Na razie polski rząd ogranicza się do wystosowywania – poniekąd istotnych – oświadczeń i deklaracji poparcia dla integralności terytorialnej Ukrainy, ale nie ma pomysłu lub odwagi na prowadzenie samodzielnej polityki krymskiej. Czas pokazał, że zachodnie sankcje nie zmuszą Putina do wycofania się z Krymu i Donbasu, a co za tym idzie, dalej będzie on stwarzał zagrożenie dla bezpieczeństwa wschodniej flanki Unii Europejskiej. Polska powinna opracować szczegółowy plan, który uwzględni zarówno instrumenty militarne, gospodarcze i polityczne, jak również działania w zakresie szeroko pojętej dyplomacji kulturalnej. Źródeł inspiracji polskie władze mogą poszukać za granicą.

Mówiąc o politycznej krótkowzroczności polskich władz państwowych w sprawie Krymu, można przywołać choćby nieuznanie deportacji Tatarów krymskich za akt ludobójstwa. Przeciwnie postąpił między innymi sejm Republiki Litewskiej – w czerwcu 2019 roku uchwalił rezolucję, dzięki której jeszcze bardziej wzmocnił postrzeganie przez Ukraińców Litwy jako adwokata ich kraju w Europie. Symboliczne znaczenie dokumentu trudno przecenić. Litewskie elity rządzące udowodniły nim swoją odwagę, ale przede wszystkim stworzyły okazję do odnotowania na najwyższym szczeblu państwowym kolejnej zbrodni przeciwko ludzkości dokonanej przez reżim sowiecki, co przy okazji otworzyło drogę do potępienia trwającej okupacji Krymu przez Rosję. Uchwalenie rezolucji poprzedziła w 2017 roku wizyta delegacji litewskich oficjeli na czele z marszałkiem parlamentu na tymczasowym przejściu granicznym z anektowanym Krymem w miejscowości Czonhar w obwodzie chersońskim. Była to pierwsza wizyta z udziałem tak wysoko postawionych gości z obcego państwa. Przybysze stanęli w odległości stu metrów od rosyjskich żołnierzy po przeciwnej stronie punktu rozgraniczenia i wznieśli litewską flagę na znak poparcia dla Ukrainy.

Litwa od lat wspiera krymskich Tatarów, a w tym roku, podczas obchodów siedemsetlecia obecności Tatarów na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, bę-

eprasa.pl 6f35c91f82

dzie miała kolejną okazję, by dać wyraz solidarności z nimi. Niedawno parlament tej republiki uchwalił decyzję o ustanowieniu roku 2021 rokiem kultury i historii litewskich Tatarów. W kwietniu 2016 roku Litwa gościła kolejne posiedzenie Rady Koordynacyjnej Światowego Kongresu Tatarów Krymskich, reprezentowanej przez delegatów z całego świata. Z tej okazji w sejmie zorganizowano międzynarodową konferencję „Łamanie praw człowieka na okupowanym Krymie", z udziałem najwyższych rangą przedstawicieli władz państwowych. Oprócz spotkań delegatów krymskotatarskich z marszałkinią litewskiego parlamentu, doszło do rozmów między innymi z posłami i wybitnymi postaciami świata nauki i kultury.

Rosyjska aneksja Krymu spowodowała wzrost zainteresowania Krymem w Turcji i w efekcie „odkrycie" krymskotatarskich przodków przez licznych Turków.

Uchwalenie przez litewski sejm rezolucji potępiającej rosyjską aneksję Krymu i deklarującej poparcie dla integralności terytorialnej Ukrainy uznano za ważny akcent symboliczny. Podjęcie krymskotatarskich przywódców Mustafy Dżemilewa i Refata Czubarowa przez prezydent Dalię Grybauskaitė zostało odebrane jako niezwykle cenny wyraz solidarności Litwy z krymskimi Tatarami. Warte odnotowania jest także przyznanie przez władze państwowego Uniwersytetu Mikołaja Römera w Wilnie tytułu doktora *honoris causa* Mustafie Dżemilewowi w uznaniu jego zasług dla pokojowej walki o prawa człowieka i demokrację.

Najliczniejsza diaspora krymskotatarska na świecie mieszka w Turcji. Jej liczba według różnych szacunków waha się od dwóch do nawet pięciu milionów ludzi, ale o bardzo różnym stopniu identyfikacji z korzeniami etnicznymi. Historia emigracji krymskotatarskich do tego kraju sięga czasów Imperium Osmańskiego. Największe fale przesiedleń trwały po pierwszej aneksji Krymu w drugiej połowie XVIII stulecia, po zakończeniu wojny krymskiej (1853–1856) i po I wojnie światowej.

Wspólnota religii, bliskość kulturowa, polityczna i językowa ułatwiły asymilację z narodem tureckim, choć nie zatarły w pełni świadomości narodowej wielu miejscowych Tatarów. Rosyjska aneksja Krymu spowodowała wzrost zainteresowania Krymem w Turcji i w efekcie „odkrycie" krymskotatarskich przodków przez licznych Turków. Dzisiaj obecność tak licznej diaspory krymskotatarskiej w Turcji jest dużym atutem, a materializuje się on przede wszystkim jako wsparcie polityczne i organizacyjne ze strony tureckiego rządu. Już w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych władze tego kraju aktywnie wspierały rozwój edukacji krymskotatarskiej na Półwyspie Krymskim – finansowały renowację szkół, wyposażały sale komputerowe i kupowały podręczniki. Dzięki środkom z pomocy rządowej i dotacjom fun-

eprasa.pl 6f35c91f82

dacji religijnych budowano meczety, udzielano tanich pożyczek na zakup domów niemajętnym Tatarom, fundowano stypendia dla uzdolnionej młodzieży. Organizacje diaspory krymskotatarskiej w Turcji przekazywały i nadal przekazują fundusze na wsparcie działalności Medżlisu – nieformalnego samorządu Tatarów krymskich.

Turcja nie uznała aneksji Krymu przez Rosję i wielokrotnie deklarowała swoją decyzję publicznie. W 2014 roku głosowała w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ za kluczową rezolucją potępiającą działania Moskwy w sprawie Krymu, jednak równocześnie Ankara nie nałożyła na Rosję żadnych sankcji. Tę postawę należy tłumaczyć turecką polityką unikania bezpośredniej konfrontacji z Moskwą oraz poszukiwania pól współpracy. Turcja pozostaje także głównym donorem pomocy humanitarnej dla krymskich Tatarów. W lutym 2020 roku prezydent Recep Erdoğan podczas spotkania z prezydentem Wołodymyrem Zełenskim w Kijowie zapowiedział sfinansowanie przez rząd turecki budowy pięciuset domów dla krymskotatarskich uciekinierów z okupowanego Krymu. Budynki mają powstać w obwodzie chersońskim, w bezpośredniej bliskości z półwyspem, aby po wycofaniu się z niego Rosjan uchodźcy mogli szybko wrócić do siebie. Teraz piłeczka znajduje się na ukraińskiej połowie boiska, rząd w Kijowie musi bowiem wydzielić odpowiednią liczbę działek pod budowę zapowiadanych mieszkań.

Co można i należy zrobić?

Trudno porównywać skalę tureckich interesów i zaangażowania na Krymie z polską obecnością w tym regionie, jednak przy odpowiedniej motywacji polski rząd z pewnością mógłby zacząć odgrywać większą rolę, stawiając na długofalowe i systemowe działania.

W 2016 roku w Belwederze prezydent Andrzej Duda spotkał się z Mustafą Dżemilewem. Rozmowa dotyczyła między innymi stypendiów dla młodzieży krymskotatarskiej, by mogła studiować na polskich uczelniach i zdobywać wiedzę przydatną dla odbudowy ukraińskiego Krymu. Niestety, na deklaracjach się skończyło i żaden młody Tatar krymski nie przyjechał nad Wisłę w ramach takiego programu stypendialnego. Gdyby ruszył on zgodnie z ustaleniami, dzisiaj trwałby trzeci rok studiów, a Polska miałaby w osobach przyszłych absolwentów – a za kilka lub kilkanaście lat liderów ukraińskiego życia politycznego – swoich nieformalnych ambasadorów.

Nasz kraj zdaje się też nie wykorzystywać potencjału swojej społeczności tatarskiej, mogącej się pochwalić ponadsześciusetletnim osadnictwem na terenach Polski, unikalną kulturą i bogatymi dziejami. Polscy Tatarzy odegrali ważną rolę w próbach wybicia się Krymu na niepodległość w latach 1917–1918, podobnie bohatersko zapisali się na kartach polskiej historii i walki o niepodległość. Polska mogłaby wzo-

eprasa.pl 6f35c91f82

rem Litwy znacznie bardziej intensywnie zaopiekować się swoimi Tatarami oraz ich dziedzictwem kulturowym i historycznym, na przykład organizować świętowanie ważnych rocznic, wspierać projekty badawcze, publikacje i koncerty, inicjować aktywną wymianę naukową czy zachęcać do integracji kulturowej Tatarów krymskich z polskimi. Takie działania niełatwo będzie jednak pogodzić z polityką tożsamości i historyczną polskich władz, prezentujących Polskę jako tradycyjne przedmurze chrześcijaństwa, a islam – jako monolit i odwieczne śmiertelne zagrożenie dla Europy.

Na szczeblu międzynarodowym należy dążyć do utworzenia w Parlamencie Europejskim stałej grupy przyjaciół Krymu. Miałaby ona zabiegać o utrzymanie sankcji wobec Rosji, regularnie przyjmować krymskich Tatarów na staże w biurach europosłów, organizować wydarzenia przypominające o trwającej okupacji Krymu i nagłaśniać masową skalę łamania praw człowieka. Ważnym elementem polskiej strategii dotyczącej zajętego przez Rosję ukraińskiego półwyspu powinno być zabieganie w organizacjach międzynarodowych o wysyłanie delegacji monitorujących sytuację na Krymie i dokumentujących przypadki łamania praw człowieka. W ramach UE i NATO Polska powinna stworzyć z krajami szczególnie zainteresowanymi sytuacją Tatarów krymskich: Turcją, Rumunią, Litwą i Kanadą, wspólne projekty (pomoc humanitarna, szkolenia, media, edukacja, nauka itd.) skierowane do tej grupy etnicznej. Jeśli nie podejmie wskazanych powyżej działań, polska polityka dotycząca Krymu będzie jak dotychczas sprowadzała się głównie do deklaracji.

Nedim Useinow jest przedstawicielem Światowego Kongresu Tatarów krymskich w Polsce oraz doktorantem w Zakładzie Islamu Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 6f35c91f82

Bałkany Zachodnie, Unia Europejska, Polska – nie czy ani kiedy, ale po co?

Rigels Halili

Zielone światło UE dla negocjacji akcesyjnych z Albanią i Macedonią Północną oznacza, że „pogłoski o śmierci procesu rozszerzenia są przedwczesne". Przy wszystkich problemach, przed jakimi stoi UE, Bałkany Zachodnie pozostaną ważnym regionem w jej polityce zagranicznej. Polska, jako adwokat rozszerzenia wspólnoty o Bałkany, powinna wiedzieć, dlaczego jest „za".

Na jednej z konferencji „Polska Polityka Wschodnia" osoba z doświadczeniem pracy w polskiej dyplomacji postawiła istotne pytanie: czy opłaca się nam integracja krajów bałkańskich z Unią Europejską? Oczywiście za zaimkiem „nam" kryły się przede wszystkim Polska i polska racja stanu, ale można to spektrum rozszerzyć na całą Unię Europejską. Z pewnością w pytaniu ujawnia się pewien egoistyczny komponent, nawet jeżeli nieuświadomiony. Paradoksalnie współbrzmi on echem dawnych i współczesnych głosów w Europie Zachodniej podających w wątpliwość sens rozszerzenia Unii Europejskiej o dziesięć krajów Europy Środkowej. Wystarczy przypomnieć spektakularną karierę „polskiego hydraulika" we Francji.

Zastanawiające zatem, że takie podejście pojawia się w kraju całkiem niedawno stygmatyzowanym jako niepasujący do UE. Oczywiście można odpowiedzieć językiem twardych danych, że rozszerzenie z 2004 roku opłaciło się Europie Zachodniej. Równie dobrze można uciec w aksjologiczne tłumaczenie, że polityka rzadko bywa moralna i nieegoistyczna. Tak czy inaczej, wspomniane pytanie z pewnością daje asumpt do ważnej dyskusji, ponieważ dotyczy przyszłych losów nie tylko obszaru dziś otoczonego ze wszystkich stron terytorium Unii Europejskiej, ale także wspólnoty, w tym Polski. Rozważmy zatem, czy, kiedy, a przede wszystkim dlaczego powinna nastąpić integracja krajów Bałkanów Zachodnich z UE. Nie da się odpowiedzieć na te pytania bez odpowiedniej wiedzy na temat sytuacji w regionie.

eprasa.pl 6f35c91f82

Bałkany Zachodnie – krótka definicja

U podstaw pojęcia „Bałkany Zachodnie" leżą dwa podstawowe kryteria: po pierwsze, dotyczy krajów usytuowanych w Europie, ale poza Unią Europejską; po drugie, kraje te w różnym stopniu i natężeniu aspirują do pełnej integracji z UE i mają prawo do złożenia wniosku o przyznanie statusu kandydata jako państwa europejskie. Dlatego w 2000 roku, kiedy po raz pierwszy pojawiło się pojęcie „Bałkany Zachodnie", UE od razu uznała państwa regionu za potencjalnych kandydatów.

Termin „Bałkany Zachodnie" nie ma podstaw historycznych, nie istnieją, niejako w opozycji, „Bałkany Wschodnie", „Południowe" ani „Północne". Można tu rysować pewną paralelę z nazwaniem Grecji krajem zachodnim w okresie zimnej wojny, a zarezerwowaniem pojęcia „Bałkany" tylko dla czterech bałkańskich krajów komunistycznych, choć nietworzących jednolitej grupy (Albania, Bułgaria, Jugosławia i Rumunia). Decydowało o tej praktyce przede wszystkim kryterium polityczne determinowane sytuacją międzynarodową, nie zaś rzeczywiste fundamentalne różnice społeczne i kulturowe. Podobnie często można trafić na pojęcie „Bałkany" używane przede wszystkim jako synonim wojny towarzyszącej rozpadowi byłej Jugosławii, przysłowiowej beczki prochu lub kotła, regionu z zasady targanego konfliktami czy brakiem stabilności. Jest to użycie z pewnością nieprecyzyjne i niewłaściwe, nieraz dowodzi świadomej lub nieświadomej orientalizacji, w rozumieniu, w jakim stosowali ten termin Edward Said czy Marija Todorowa.

Bałkany Zachodnie mają być pozbawione tego negatywnego ciężaru. Wyprodukowane i stosowane przede wszystkim w unijnej retoryce, pojęcie to wskazuje na toczący się proces polityczny i biurokratyczny (*screening*, negocjacje, wprowadzanie *acquis communautaire*) integracji tego regionu z UE. Równocześnie jednak otwiera ono pole do spojrzenia na region przez pryzmat głębokich przemian polityczno-ustrojowych czy społeczno-kulturowych, a nawet cywilizacyjnych (wielki skok modernizacyjny, przynależność do Europy terytorium zamieszkanego w większości przez prawosławnych i muzułmanów). Nasuwa się zresztą paralela z dyskusjami, jakie towarzyszyły procesowi rozszerzenia UE o kraje Europy Środkowej w 2004 roku. Obecnie, równie często jak wówczas w prasie polskiej czy węgierskiej, można natrafić w prasie albańskiej, serbskiej czy macedońskiej na podobną retorykę, utożsamiającą integrację z Unią Europejską ze skokiem cywilizacyjnym oraz powrotem do Europy. I równie często jak w Europie Środkowej pojawia się na Bałkanach Zachodnich nuta pretensji odwołująca się do mitu o przedmurzu i ratowaniu Europy przed inwazjami z Azji lub odgrywaniu istotnej roli w historii i rozwoju kultury europejskiej. Trudno nie zauważyć podobnej mieszanki megalomanii i kompleksów, ambiwalentnego stosunku do Zachodu (podziw i poczucie odrębności, czasem re-

eprasa.pl 6f35c91f82

sentymenty), wzmocnionych dzisiaj przez rozczarowanie tempem procesu rozszerzenia UE. Z drugiej strony, w każdym kraju Bałkanów Zachodnich większość ludności popiera członkostwo w Unii, ponadto w przeważającej części poparcie to ma charakter masowy.

Faktyczna integracja z Unią

Twarde dane ekonomiczne pokazują nieco inny niż retoryka publicystyczna obraz relacji Bałkanów Zachodnich z UE. Nie ulega wątpliwości, że Albania, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Kosowo, Macedonia Północna i Serbia są ściśle powiązane z gospodarką Unii Europejskiej. Z danych Eurostatu wynika, że w 2018 roku Unia Europejska była najważniejszym partnerem handlowym dla krajów Bałkanów Zachodnich zarówno w eksporcie (ponad 70 procent), jak i w imporcie (blisko 60 procent). Pozostaje ona największym inwestorem zagranicznym w regionie, a inwestycje przedsiębiorstw unijnych wyniosły w latach 2013–2018 aż dziesięć miliardów euro. W latach 2007–2015 ponad 70 procent wszystkich bezpośrednich inwestycji zagranicznych na terenie Bałkanów Zachodnich pochodziło z UE, podczas gdy inwestycje rosyjskie, tureckie i chińskie (krajów aspirujących do roli ważnych graczy lub uważanych za znaczących globalnych aktorów w tym regionie) łącznie nie przekroczyły 7 procent.

Na uniwersytetach krajów UE poza Erasmusem studiuje kilkadziesiąt tysięcy studentów z Bałkanów Zachodnich.

Choć udział inwestycji Rosji, Turcji i Chin na Bałkanach Zachodnich wzrósł w ostatnich latach, a Wielka Brytania opuściła Unię, inwestycje unijne wciąż są wielokrotnie większe niż tych trzech krajów łącznie. W ramach Instrumentu Pomocy Przedakcesyjnej, którego celem jest pomoc dla krajów kandydujących oraz wsparcie współpracy regionalnej i wymiany transgranicznej, w latach 2007–2017 Unia Europejska przekazała krajom Bałkanów Zachodnich prawie dziewięć miliardów euro w postaci różnych projektów. W roku 2018 rozdysponowano ponad miliard euro, natomiast do roku 2021 przewidziano środki wysokości niemal dwóch miliardów euro. Oprócz tego w ostatnich latach poszczególne kraje UE przekazały Bałkanom Zachodnim kilka miliardów euro.

W UE mieszka i pracuje kilka milionów osób pochodzących z krajów Bałkanów Zachodnich. Przekazy finansowe z zagranicy (przede wszystkim z UE) to znaczna część PKB we wszystkich krajach regionu: na przykład w Serbii jest to niemal 10 procent, w Bośni i Hercegowinie oraz Albanii ponad 10 procent, w Kosowie 15 procent. W niektórych krajach znaczną część PKB bezpośrednio i pośrednio wytwarza tu-

eprasa.pl 6f35c91f82

rystyka (w Albanii 25 procent; w Czarnogórze ponad 20 procent), a wielu turystów pochodzi z UE. Czarnogóra i Kosowo postawiły na jednostronną euroizację, natomiast w Bośni i Hercegowinie oraz Macedonii Północnej waluty krajowe są ściśle powiązane z euro.

Kraje Bałkanów Zachodnich biorą udział w dwóch flagowych programach unijnych sprzyjających wymianie akademickiej i rozwojowi badań naukowych. Tylko w 2016 roku ponad pięć tysięcy tamtejszych studentów i wykładowców skorzystało z programu Erasmus+; w ramach Horizon 2020 w latach 2014–2020 na granty badawcze z udziałem naukowców z tych krajów przeznaczono sto dwadzieścia milionów euro. Na uniwersytetach krajów UE poza Erasmusem studiuje kilkadziesiąt tysięcy studentów z Bałkanów Zachodnich.

Przytoczone hurtowo, liczby te robią wrażenie. Czemu więc z procesem integracji krajów Bałkanów Zachodnich jest tak źle, skoro jest tak dobrze?

Wyboista droga

Nie ulega wątpliwości, że proces integracji krajów Bałkanów Zachodnich z UE idzie wolno, a szanse na jego przyspieszenie w najbliższej przyszłości wydają się niewielkie. Perspektywę pełnego członkostwa całego regionu w najbardziej optymistycznym scenariuszu należy rozciągnąć na przełom lat dwudziestych i trzydziestych XXI wieku. Albania i Macedonia Północna, po długim i pełnym napięć okresie oczekiwania, dopiero co uzyskały zgodę na rozpoczęcie negocjacji; Serbia i Czarnogóra wprawdzie rozpoczęły już negocjacje, lecz posuwają się one powoli. Bośnia i Hercegowina dopiero w 2016 roku złożyła wniosek o przyznanie statusu kandydata, a przed Kosowem jeszcze długa droga nawet do złożenia wniosku, ponieważ pięć krajów UE nie uznaje jego niepodległości.

Przyczyny tego stanu rzeczy wynikają ze specyfiki rozwoju każdego z krajów regionu aspirujących do członkostwa w UE. Jednym z głównych czynników utrudniających rozwój demokracji i państwa prawa na Bałkanach Zachodnich jest z pewnością dziedzictwo reżimów komunistycznych, a wcześniej autorytarnych elementów w tradycjach państwowych, widoczne gołym okiem w kulturze politycznej. Do tego należy dodać negatywny wpływ problemów, które spiętrzyły się w okresie postkomunistycznej transformacji, zwłaszcza bolesne reformy i wstrząsy społeczne oraz wojny. W efekcie w niektórych krajach Bałkanów Zachodnich doszło w ostatnich latach do zahamowania, a nawet cofnięcia się procesu demokratyzacji.

Nie należy jednak popadać w defetyzm. Wprawdzie według Freedom House żaden kraj Bałkanów Zachodnich nie cieszy się dzisiaj pełnią wolności, ale żaden nie jest też niewolny; co więcej, wszystkie z nich, mimo że tylko częściowo wolne,

eprasa.pl 6f35c91f82

sytuują się blisko kategorii wolnych. W efekcie region jest mniej autorytarny niż wschodnie czy południowe sąsiedztwo UE. Wielkim wyzwaniem dla regionu są bieda, korupcja i bezrobocie, wywołujące silną presję migracyjną. W badaniu ankietowym przeprowadzonym w latach 2015–2017 przez Instytut Gallupa, chęć migracji wyraziło na przykład 60 procent mieszkańców Albanii i ponad 45 procent mieszkańców Kosowa, przede wszystkim ludzie młodzi, w wieku produkcyjnym. Inne narzędzie badawcze tej samej instytucji, Wskaźnik Potencjalnej Migracji Netto (Potential Net Migration Index), który mierzy stopień „drenażu mózgów" i zdobywania wiedzy (minus oznacza potencjalną stratę, a plus – potencjalne zyski), pokazał, że wszystkie kraje Bałkanów Zachodnich będą się borykać z rażącym problemem „drenażu mózgów". Najbardziej narażone jest Kosowo (ponad -40 procent), pod kreską plasują się też Albania, Bośnia i Hercegowina oraz Macedonia (około -30 procent); jedynie Czarnogóra uzyskała wynik pozytywny (+30 procent). Dla porównania warto odnotować, że najbiedniejszy kraj w UE, czyli Bułgaria, ma wynik -12 procent, a Polska -13 procent. Specjaliści biją na alarm, że całemu regionowi grożą poważny kryzys wiedzy i wyludnienie, co z pewnością odbije się na rozwoju gospodarczym i poziomie życia mieszkańców.

Istotnym komponentem serbskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa są także relacje z Rosją, a te zacieśniły się zwłaszcza pod rządami prezydenta Aleksandra Vučicia.

Serbia: największa, ale najmniej proeuropejska

Problemy Serbii są pochodną lat dziewięćdziesiątych. Trwały wówczas wywołane przez Belgrad wojny towarzyszące rozpadowi Jugosławii. Miały katastrofalne skutki w wymiarach politycznym (długotrwałe autorytarne rządy Slobodana Miloševicia i brak jednoznacznej przemiany elit rządzącym krajem), gospodarczym (kryzys, embargo i sankcje, które bardzo osłabiły istniejący potencjał i znacznie opóźniły przeprowadzenie potrzebnych reform) oraz – może przede wszystkim – ludzkim (poczucie klęski, spadek zaufania społecznego, niestabilna, „skokowa" aktywność społeczna, wyrażająca się przeważnie w masowych protestach).

Serbia to jednak największa gospodarka krajów Bałkanów Zachodnich, a populacja całego regionu w mniej więcej 40 procentach składa się z Serbów. Zamieszkują oni oprócz Serbii również Bośnię i Hercegowinę (ponad 30 procent), Czarnogórę (blisko 30 procent) i Kosowo (ponad 5 procent procent). Właśnie serbska polityka wobec sąsiadów była, jest i będzie kluczowym elementem na geopolitycznej szachownicy regionu. Ciągnący się spór wokół kwestii niepodległości Kosowa, desta-

eprasa.pl 6f35c91f82



Rigels Halili

Tunel budowany przez firmy chińskie. Część obwodnicy Belgradu

bilizująca, jeżeli nie otwarcie destrukcyjna polityka elit Republiki Serbskiej, jednej z dwóch części składowych Bośni i Hercegowiny, rosnące napięcia w relacjach Serbii z Czarnogórą, zwłaszcza w kontekście nieudanego puczu z października 2016 roku, czy statusu Cerkwi prawosławnej pokazują, że nadal żywe są dawne animozje, a dodatkowo pojawiają się kolejne.

Nie bez znaczenia w tym kontekście jest samotny sprzeciw elit politycznych Serbii wobec członkostwa w NATO; ponadto Serbia blokuje wysiłki Bośni i Hercegowiny na rzecz tego członkostwa. Symbolem sprzeciwu są ślady po bombardowaniach NATO z 1999 roku pozostawione na byłych budynkach Ministerstwa Obrony i Sztabu Generalnego przy ulicy Nemanjina w Belgradzie. Istotnym komponentem serbskiej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa są także relacje z Rosją, a te zacieśniły się zwłaszcza pod rządami prezydenta Aleksandra Vučicia. Nie ulega wątpliwości, że obok tematu Kosowa oraz autorytarnych tendencji prezydenta również ta kwestia, a zwłaszcza przystąpienie Serbii do strefy wolnego handlu z Unią Euroazjatycką w październiku 2019 roku, stanie się kluczowym wyzwaniem dla jej członkostwa w UE. Warto także pamiętać, że w Serbii notuje się największą liczbę przeciwników integracji z UE spośród wszystkich krajów Bałkanów Zachodnich.

eprasa.pl 6f35c91f82



Rigels Halili

„Monument kultury. Pod ochroną ludu". Akcja obrony budynku Teatru Narodowego w centrum Tirany

Albania: brak eurosceptyków, ale głębokie podziały

Najdłużej trwający w Europie reżim komunistyczny typu stalinowskiego praktycznie uniemożliwił w Albanii powstanie elit politycznych i kadry administracyjnej przygotowanych na wyzwania związane z procesem transformacji ustrojowej. Po początkowych sukcesach rozpad piramid finansowych w 1997 roku poskutkował krachem całego życia politycznego i ekonomicznego w kraju, a w efekcie upadkiem struktur państwowych i krwawym chaosem, powstrzymanym dopiero przez operację NATO. Potrzeba było wielu lat i wysiłków, by kraj powrócił do poziomu sprzed katastrofy.

Po tej zapaści obywatele Albanii wykazali się niezwykłą zaradnością. Rozwijali drobny biznes i w efekcie odbudowywali gospodarkę niemal od zera, albo masowo emigrowali, legalnie i nielegalnie, przeważnie do Grecji i Włoch, a z zagranicy pompowali rok w rok setki milionów dolarów w postaci przekazów pieniężnych. Aparat i instytucje państwowe wciąż borykają się jednak z trudnościami strukturalnymi. Czynnikiem hamującym ich rozwój jest również polityka kadrowa dwóch największych partii politycznych w kraju – Partii Socjalistycznej i Partii Demokratycznej. Obie traktują instytucje państwowe jak swoisty folwark dla wykarmienia swoich

eprasa.pl 6f35c91f82



Durres, największy port Albanii

działaczy partyjnych. Świadomość, że wraz z wyborami zmieni się nie tylko cała kadra kierownicza na szczeblu centralnym i lokalnym, ale potencjalnie każdy urzędnik, burzy rytm funkcjonowania państwa, jest też kluczowym źródłem korupcji i stałego braku zaufania do elit politycznych, wymiaru sprawiedliwości i mediów.

Można śmiało bronić tezy, że w Albanii trudno znaleźć eurosceptyków, choć nie brakuje krytyków unijnej polityki wobec tego kraju. Podjęta na polecenie UE głęboka reforma systemu sądownictwa (m.in. każdy sędzia i prokurator musi poddać się lustracji majątkowej) pozwala mieć nadzieję na przezwyciężenie jednej z największych bolączek okresu transformacji, mianowicie nieefektywnego wymiaru sprawiedliwości. Z drugiej strony, szybki przebieg tego procesu może zostać zakłócony przez otwarty spór o wyznaczenie granicy morskiej i szelfu kontynentalnego z Grecją.

W Albanii aparat i instytucje państwowe wciąż borykają się jednak z trudnościami strukturalnymi. Czynnikiem hamującym ich rozwój jest również polityka kadrowa dwóch największych partii politycznych w kraju – Partii Socjalistycznej i Partii Demokratycznej.

eprasa.pl 6f35c91f82



Pomnik ku czci ofiar wojen wybuchłych w wyniku rozpadu Jugosławii

Riges Haliti

eprasa.pl 6f35c91f82

Czarnogóra: najmniejsza, najbogatsza, ale w cieniu jednego człowieka

Proces integracji Czarnogóry z UE rozpoczął się w zasadzie wraz z usamodzielnieniem się tego kraju po zerwaniu federacji z Serbią. Podgorica jako pierwsza w regionie zaczęła negocjacje akcesyjne i jest w nich najbardziej zaawansowana. Wstąpienie Czarnogóry do NATO w 2016 roku można uznać za kolejny ważny znak dominującej wśród elit politycznych chęci integracji ze strukturami zachodnimi.

Choć najmniej liczna, Czarnogóra jest najbogatszym krajem w regionie i jedynym spośród kandydatów do UE, który używa euro jako swojej waluty. Od 1991 roku na scenie politycznej dominuje Milo Đukanović, były sześciokrotny premier, obecnie w trakcie drugiej kadencji prezydenckiej (po wyborach w 2018 roku). Ten charyzmatyczny, cieszący się dużym poparciem polityk jest również często krytykowany za autorytarne skłonności i powiązania ze światem zorganizowanej przestępczości.

Czarnogóra jest najbogatszym krajem w regionie i jedynym spośród kandydatow do UE, który używa euro jako swojej waluty.

Rzeczywiście, w ostatnich latach doszło tam do wyraźnego pogorszenia jakości demokracji. Freedom House uznawało Czarnogórę w latach 2009–2015 za kraj w pełni wolny, ale została zdegradowana do kategorii krajów częściowo wolnych (tak jak Serbia). Co więcej, dzisiaj w rankingach tej amerykańskiej organizacji wypada gorzej niż Albania, Serbia i Macedonia Północna.

Macedonia Północna: pierwszy kandydat, ale najwięcej poświęceń

Uzyskana wiosną 2020 roku zgoda na rozpoczęcie negocjacji z UE oraz członkostwo w NATO jest zwieńczeniem procesów, które w Macedonii Północnej rozpoczęły się wraz z kolorową rewolucją w 2016 roku, odsunięciem od władzy autorytarnego rządu Nikoły Gruewskiego i podpisaniem porozumienia prespańskiego, kończącego spór z Grecją o nazwę państwa. Trzeba jednak pamiętać, że Macedonia Północna była blisko rozpoczęcia negocjacji z UE już w roku 2005, a przyjęcia do NATO w roku 2008, na szczycie w Bukareszcie, ale w obu przypadkach procesy te storpedowało weto Grecji.

Ważną, a w niektórych momentach wręcz kluczową rolę we wszystkich w tych przemianach politycznych odegrała społeczność albańska, czyli 25–30 procent mieszkańców kraju. Wielu zewnętrznych obserwatorów na początku lat dziewięć-

eprasa.pl 6f35c91f82



Rigels Halili

Północnomacedońsko-grecki punkt graniczny w Niki

dziesiątych spodziewało się, że w Macedonii Północnej powtórzy się scenariusz przemocy międzyetnicznej, jak w innych częściach byłej Jugosławii. Rzeczywiście istniały ku temu powody ekonomiczne, polityczne i społeczne; dzięki zaangażowaniu głównych partii albańskich w kolejne rządy udało się jednak prowadzić spór metodami pokojowymi i w ramach struktur państwa.

Macedonia Północna, podobnie jak Albania, została mocno dotknięta przez wojnę w Kosowie w 1999 roku. Jej odpryskiem był krótkotrwały konflikt albańsko-macedoński. Wybuchł wiosną 2001 roku w wyniku narastającego niezadowolenia Albańczyków z ich sytuacji w Macedonii, ale także rywalizacji o przywództwo między różnymi ugrupowaniami politycznymi po stronie Albańczyków. Konflikt przebiegł zdecydowanie mniej krwawo niż w pozostałych państwach. Zginęło w nim około dwustu osób, ponad pięćset razy mniej niż w Bośni i Hercegowinie. Patrząc z niemal dwudziestoletniej perspektywy, można postawić tezę, że podpisane w Ochrydzie porozumienie okazało się udanym kompromisem politycznym. Choć nie brakuje pewnych napięć na tle etnicznym, od tego momentu kraj wszedł na nową drogę. Autorytarny premier Gruewski został odsunięty od władzy między innymi dzięki temu, że wielu Albańczyków zagłosowało na macedońskich socjaldemokratów.

eprasa.pl 6f35c91f82

W ocenie Banku Światowego Macedonia w ostatnich dwóch dziesięcioleciach osiągnęła najwyższy wzrost gospodarczy w regionie i udało się jej, podobnie jak Albanii, awansować z poziomu kraju o nisko-średnich zarobkach do poziomo zarobków wysoko-średnich. Niemniej pozostaje znacząco biedniejsza od Czarnogóry, a tym bardziej od najbiedniejszych krajów UE: Bułgarii, Chorwacji i Rumunii.

Bośnia i Hercegowina: najkrwawsza wojna, ale nie beznadziejna sytuacja

Bośnia i Hercegowina jest uznawana za długoterminowo największe wyzwanie dla stabilności regionu. Wojna w byłej Jugosławii (1992–1995) zebrała tu największe żniwo – zginęło ponad sto tysięcy osób (głównie Bośniaków).

Wojna sprawiła, że Bośnia i Hercegowina stała się protektoratem międzynarodowym, stacjonuje tu misja wojskowa UE. Dziedzictwo konfliktu zbrojnego odczuwa się nieustannie w życiu politycznym, społecznym i sferze gospodarczej. Na mocy traktatu w Dayton kraj ten składa się obecnie z dwóch części: Republiki Serbskiej oraz Federacji Bośni i Hercegowiny, zamieszkanej głównie przez Bośniaków i Chorwatów, jednak współpraca między trzema narodami (szczególnie Bośniakami i Serbami) nie układa się pomyślnie. Wystarczy wspomnieć o trwających już dwanaście lat zmaganiach akcesyjnych Bośni i Hercegowiny do NATO. Wszelkie inicjatywy podejmowane przez polityków z Federacji blokują rządzący w Republice Serbskiej, gdzie na scenie politycznej od 1998 roku dominuje w zasadzie Milorad Dodik.

Warto dodać, że bośniaccy Serbowie są najbardziej prorosyjskim społeczeństwem w Europie. Nie przypadkiem Bośnia i Hercegowina dopiero w 2016 roku złożyła w Brukseli wniosek o przyznanie statusu kandydata do UE. Do dzisiaj nie został on pozytywnie rozpatrzony, w Republice Serbskiej większość mieszkańców odrzuca bowiem akcesję, jeśli wiązałaby się ona – co nieuchronne – z ograniczeniem szerokiej autonomii tej części kraju. W ostatnich latach Bośnia, a szczególnie Republika Serbska, stały się znacznie mniej demokratyczne i w rankingach Freedom House wypadają najgorzej w regionie.

Błędem jest jednak spojrzenie na sytuację w Bośni i Hercegowinie wyłącznie przez pryzmat wojny. Jak w innych krajach bałkańskich, również tam nastąpiła zmiana pokoleniowa i trzeba ten czynnik wziąć pod uwagę. Zarówno indywidualne, jak i zbiorowe doświadczenie wojny przechodzi powoli do sfery pamięci, co oczywiście nie oznacza braku wpływu na życie społeczne, jednak w społeczeństwie pojawiają się nowe aspiracje, dążenia i możliwości. Pokazały to dobitnie masowe demonstracje z lutego 2014 roku. Ich uczestnicy, w większości młodzi ludzie, wznosili niemal wyłącznie hasła natury ekonomicznej i społecznej, a nie politycznej czy nacjo-

eprasa.pl 6f35c91f82

nalistycznej. Wydarzenia te można uznać za znak potencjału Bośni i Hercegowiny w sferze zmian.

Kosowo: najmłodsze i nie w pełni uznane

Kosowo także boryka się z dziedzictwem wojny z lat 1998–1999. W ciągu półtora roku zginęło tam około czternastu tysięcy osób (przede wszystkim Albańczyków). Także w Kosowie stacjonuje militarna misja międzynarodowa (NATO-KFOR). Działa tam też wyjątkowa misja UE odpowiedzialna za rządy prawa.

Sedno impasu integracji Kosowa z UE polega oczywiście na braku uznania jego niepodległości przez Serbię oraz pięć krajów UE. Dwanaście lat istnienia niepodległego Kosowa należy uznać, przy wszystkich słabościach i porażkach, za okres mimo wszystko udany. Według Freedom House poziom demokracji i poszanowania praw człowieka oraz fundamentalnych wolności uległ tam wyraźnej poprawie i Kosowo nie odstaje dziś pod tym względem od innych państw regionu.

Choć najbiedniejsze, Kosowo rozwija się najszybciej w tym gronie, w najbliższych latach może nawet wyprzedzić Bośnię i Hercegowinę. Nadało także nowy wymiar zarówno serbskiej, jak i albańskiej idei narodowej. U sedna problemu Kosowa leży właśnie zderzenie tych dwóch idei. Niestety, ani w Serbii, ani w Kosowie nie zostały podjęte praktycznie żadne zinstytucjonalizowane wysiłki w ramach systemu edukacji na rzecz zmniejszenia braku zaufania i wiedzy o sobie nawzajem. Trwa za to w najlepsze reżim wiedzy opartej na mitach oraz ideologii narodowej i z pewnością niesprzyjającej złagodzeniu sporu. Pełne wzajemne uznanie normalizowałoby stosunki na krótką i średnią metę, ale bez podjęcia radykalnych zmian systemu edukacji oraz swoistego oczyszczenia badań naukowych, zwłaszcza dotyczących przeszłości, z treści nacjonalistycznych, nie nastąpi pojednanie Serbów z Albańczykami.

W kontekście procesu integracji europejskiej kluczowym celem kosowskiej polityki zagranicznej jest liberalizacja wizowa z UE. Na Bałkanach Zachodnich tylko Kosowo nie ma ruchu bezwizowego z UE. Zważywszy, że liczna diaspora kosowska (szacowana na mniej więcej 45 procent populacji kraju) mieszka przede wszystkim właśnie w krajach unijnych oraz Szwajcarii, reżim wizowy dodatkowo sprzyja (obok biedy i bezrobocia) powszechnej frustracji.

Rigels Halili jest antropologiem kultury i badaczem Bałkanów. Kieruje specjalizacją bałkańską w Studium Europy Wschodniej na Uniwersytecie Warszawskim.

eprasa.pl 6f35c91f82

Polskie „chamy” i ukraińskie „pany”
Rewolucja na rynku pracy?

Dariusz Szymczycha

W Polsce od kilku lat pracują setki tysięcy Ukraińców. Istotnie przyczyniają się do naszego wzrostu gospodarczego. O ich znaczeniu możemy boleśnie przekonać się dzisiaj, w czasach koronawirusa, gdy wielu z nich musi wyjechać na Ukrainę. Warto jednak ten kryzys potraktować jak okazję do stworzenia wreszcie polityki integracyjnej dla ukraińskich imigrantów.

W połowie lutego 2020 roku prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oświadczył, że marzy o wynagrodzeniach w jego kraju „takich jak w Polsce”. „Dlaczego tak mówię? To bardzo proste – w Polsce teraz już jest kilka milionów Ukraińców. I dlaczego wrócą? Potrzebna jest im motywacja, nawet trochę mniejsza wypłata niż w Polsce już byłaby w porządku. Jeśli będą mieć 70 procent polskiego wynagrodzenia, myślę, że przeważy to, że chcesz być w domu, a nie gdzieś jeździć” – stwierdził ukraiński prezydent.

Świadomi swojej wartości pracownicy

Ta wypowiedź była nie tylko wyrazem potrzebnego w polityce optymizmu, ale też reakcją na potrzeby ukraińskiej gospodarki. Według danych ukraińskiego Ministerstwa Polityki Społecznej, obecnie za granicą przebywa około 3,2 miliona obywateli tego kraju, czyli prawie 20 procent osób aktywnych zawodowo. W Polsce mieszka i pracuje – przeważnie okresowo – niemal połowa tej grupy. Według szacunków NBP w ciągu roku przebywa w Polsce maksymalnie około 800 tysięcy Ukraińców, natomiast przez rynek „przewija się” około 1,2 miliona. Po raz pierwszy od końca lat czterdziestych XX wieku w Polsce znalazła się tak duża grupa osób innej narodowości niż polska.

Duża skala emigracji zarobkowej zaczyna być problemem na ukraińskim rynku pracy i przeszkadza w realizacji celów rządu, jakimi są wzrost eksportu i wzrost produkcji. Szczególne kłopoty występują w sektorze rolno-spożywczym, w wielko-

eprasa.pl 6f35c91f82

obszarowych gospodarstwach rolnych, ponieważ brakuje młodych pracowników do obsługi nowoczesnych i drogich maszyn rolniczych.

Z drugiej strony, o czym Zełenski nie mówił, migranci zarobkowi to dla Ukrainy żyła złota. W 2016 roku przesłali do domu 7,5 miliarda dolarów, a w 2018 roku – aż 11 miliardów. To około 10 procent PKB Ukrainy, czyli aż 4,5 razy więcej niż ówczesne inwestycje zagraniczne w ukraińską gospodarkę. Polskich przedsiębiorców, przyzwyczajonych już do pracowników z Ukrainy, ucieszy zapewne sposób, w jaki Międzynarodowy Fundusz Walutowy zachęca Ukrainę do szybszych reform. „Marchewką" ma być prognoza, zgodnie z którą Ukraina, przy wzroście gospodarczym rzędu 6 procent rocznie, już w 2038 roku – czyli za osiemnaście lat – może osiągnąć ten poziom rozwoju i zamożności, na którym dziś znajduje się Polska. Naszym sąsiadom życzę tak wysokiej dynamiki gospodarczej, ale Ministerstwo Rozwoju Gospodarczego, Handlu i Rolnictwa Ukrainy podało właśnie, że PKB w 2019 roku wzrósł o 3,3 procent.

Ukraina awansowała właśnie z siódmej do szóstej grupy ryzyka w rankingu OECD, a w rankingu Banku Światowego „Doing Business" poprawiła swoje notowania o dziewięć „oczek" i zajmuje siedemdziesiątą pierwszą pozycję.

W minionym roku zdarzyły się lepsze kwartały, w których notowano ponad 4 procent wzrostu, jednak do 6 procent ciągle jeszcze daleko. Co prawda Ukraina awansowała właśnie z siódmej do szóstej grupy ryzyka w rankingu OECD, a w rankingu Banku Światowego „Doing Business" poprawiła swoje notowania o dziewięć „oczek" i zajmuje siedemdziesiątą pierwszą pozycję, niemniej globalna gospodarka, poniewierana właśnie przez różne „czarne łabędzie", nie pomaga ekonomice tego kraju.

Polscy przedsiębiorcy mogą się więc nieco uspokoić, co nie znaczy, że mogą spać spokojnie. Ukraińcy szybko i gremialnie nie wyjadą z Polski, staną się natomiast świadomymi swojej wartości pracownikami i nie zechcą dłużej być tylko tanią siłą roboczą. Powołali już Międzyzakładowy Związek Zawodowy Pracowników Ukraińskich w Polsce, którego głównym celem jest „ochrona godności, praw i interesów związanych z wykonywaniem pracy zarobkowej".

Polskie płace dla obywateli Ukrainy tracą na wartości. Jeszcze na początku 2018 roku trzeba było czterech ukraińskich pensji, by dorównać jednej polskiej, podczas gdy na koniec 2019 roku – już mniej niż trzech. Narodowy Bank Ukrainy zwrócił też uwagę na wyraźny wzrost wartości płacy osiąganej na Ukrainie i wyrażonej w dolarach. Jest to efekt znacznego nominalnego wzrostu płac rok do roku oraz umocnienia się hrywny. Polskie regulacje podnoszące płacę nominalną też wpływają na oczekiwania finansowe obywateli Ukrainy pracujących nad Wisłą. Inaczej wygląd-

eprasa.pl 6f35c91f82

dają indywidualne negocjacje. Polscy przedsiębiorcy muszą teraz płacić ukraińskim pracownikom więcej; myślę, że także w szarej strefie.

Około 1,5 miliona

Niestety, nie ma dokładnych statystyk, które pozwoliłyby określić liczbę obywateli Ukrainy przebywających w Polsce. Jednym z powodów takiego stanu rzeczy jest to, że po wprowadzeniu w strefie Schengen ruchu bezwizowego dla obywateli Ukrainy, wjazd do Polski otwiera granice innych krajów Unii. Andrij Deszczycia, ambasador Ukrainy w Polsce, powiedział niedawno, że przebywa tu 1,5 miliona Ukraińców. W Polsko-Ukraińskiej Izbie Gospodarczej rok temu ocenialiśmy, że w Polsce pracuje około 1,5 miliona obywateli Ukrainy. Nasze szacunki wynikały ze statystyki oświadczeń o powierzeniu pracy cudzoziemcowi wpisanych do ewidencji przez powiatowe urzędy pracy w poszczególnych miesiącach w 2018 roku.

Ciekawe badanie przeprowadziła firma Selectivv, specjalizująca się w pozyskiwaniu, analizie i profilowaniu danych z urządzeń mobilnych. Na potrzeby swojej analizy przyjęła, że „osoba z Ukrainy mieszkająca w Polsce" to taka, która posiada kartę SIM polskiego operatora, ale w telefonie ma ustawiony język rosyjski lub ukraiński oraz minimum raz w 2018 roku była na terenie Ukrainy lub zmieniła w tym czasie kartę SIM na operatora ukraińskiego. Na podstawie powyższych specyfikacji ustalono, że na terenie Polski przebywa 1,27 miliona obywateli Ukrainy.

Firma Selectivv zakomunikowała też, że największe skupiska Ukraińców w Polsce to Warszawa, Wrocław, Kraków, Poznań, Trójmiasto, Lublin, Katowice i okręg górnośląski. Z analizy firmy wynika, że blisko 40 procent Ukraińców w Polsce to osoby w wieku 21–30 lat, a niemal 30 procent ma 31–40 lat. Mniej liczna jest populacja osób w wieku 41–50 lat – około 15 procent. Zaledwie 7 procent Ukraińców mieszkających w naszym kraju ukończyło 51 lat. Struktura wiekowa wskazuje zatem na osoby aktywne zawodowo, dlatego trzeba przyjąć założenie, że pracują wszyscy z powyżej wskazanych, także studenci.

Blisko 40 procent Ukraińców w Polsce to osoby w wieku 21–30 lat, a niemal 30 procent ma 31–40 lat. Mniej liczna jest populacja osób w wieku 41–50 lat – około 15 procent.

Liczba 1,5 miliona Ukraińców w Polsce nie oznacza jednak ich pobytu stałego. Maksymalną liczbę pracowników z Ukrainy osiągamy zapewne w sezonie wakacyjnym oraz intensywnych prac rolniczych; spadki obserwujemy w okresie podwójnych świąt – polskich i ukraińskich. Według danych ZUS-u pod koniec 2019 roku ubezpieczeniami emerytalnymi i rentowymi w Pol-

eprasa.pl 6f35c91f82

sce było objętych około 480 tysiąca osób z ukraińskim paszportem. Oznacza to, że osoby te na dłużej chciałyby związać się z Polską i ich pobyt nie ma charakteru czasowego. GUS informował, że w roku akademickim 2018/2019 studiowało u nas prawie 40 tysięcy studentów z Ukrainy. To też są Ukraińcy na dłużej związani z Polską, choć dla części z nich Polska jest pierwszym krokiem do Europy.

Bomba zegarowa tyka

Czy można obecnie wyobrazić sobie polską gospodarkę bez pracowników z Ukrainy? Oczywiście tak, ale – nie ukrywajmy – byłaby to gospodarka w gorszym stanie. Branża budowlana, przemysł, logistyka i handel – te gałęzie polskiej gospodarki zgłaszają w urzędach zatrudnienia ponad 60 procent wakatów uzupełnianych w większości przez obywateli Ukrainy. Już 18 procent firm w Polsce zatrudnia pracowników z Ukrainy, w tym aż 40 procent dużych przedsiębiorstw. Pracownicy z Ukrainy podnoszą polskie PKB o 0,3–0,9 punktu procentowego rocznie – oceniał rok temu profesor Szkoły Głównej Handlowej Jakub Growiec, doradca w Departamencie Analiz Ekonomicznych Narodowego Banku Polskiego. Ekonomiści z NBP szacują, że aż 11 procent wzrostu polskiej gospodarki w ostatnich pięciu latach to zasługa imigrantów zarobkowych z zagranicy, głównie Ukraińców.

Jesteśmy więc zależni od pracy naszych ukraińskich gości. Trudno jednak przychodzi nam przyznać się do tego. „Polskie pany" ciągle jeszcze traktują „ukraińskich chamów" instrumentalnie, jak tanią siłę roboczą, i z wyższością przyjmują ich do pracy niezbędnej, ale często tylko fizycznej. Kilka znanych, drastycznych przypadków porzucenia chorych pracowników poza miejscem pracy wskazuje, że niektórym polskim pracodawcom brakuje człowieczeństwa, a ukraińskim pracownikom – wsparcia.

Tymczasem bomba zegarowa na polskim rynku pracy tyka i role mogą się odwrócić. „Ukraiński cham" stanie się „panem" w relacjach z pracodawcą. Niektóre badania wskazują, że do 2025 roku możemy potrzebować do 2,5 miliona pracowników. Lukę na rynku pracy, spowodowaną między innymi obniżeniem wieku emerytalnego (spadek podaży pracy mniej więcej o 0,5 miliona osób), programem 500+ (ponad sto tysięcy kobiet odeszło z rynku pracy) oraz zmianami demograficznymi, mogą uzupełnić tylko pracownicy z zagranicy. Będą to osoby głównie z bliskiego sąsiedztwa, czyli z Ukrainy. Polska potrzebuje systemowego podejścia do przyszłości rynku pracy, bo od takiego podejścia zależy rozwój gospodarczy i wypłacalność ZUS-u.

Tymczasem nasze państwo nie ma polityki migracyjnej. Dokument „Polityka migracyjna Polski – stan obecny i postulowane działania" z 2012 roku został unieważniony w 2016 roku przez rząd Prawa i Sprawiedliwości. W 2019 roku w Mini-

eprasa.pl 6f35c91f82

sterstwie Administracji i Spraw Wewnętrznych powstał projekt „Polityki migracyjnej Polski". Na szczęście nie został przedstawiony Radzie Ministrów. Materiał ten okazał się wpadką i polityczną, i intelektualną. Jego autorzy, niczym religijni fundamentaliści, pisali:

Biorąc pod uwagę doświadczenia migracyjne Unii Europejskiej należy podkreślić, że paradygmat imigracji i integracji w oparciu o model wielokulturowości wymaga przewartościowania w stronę koncepcji kultury wiodącej. Istotne jest także podkreślenie, że system integracji cudzoziemców powinien stawiać integrację jako pewną powinność, a nie jedynie jedną z opcji możliwych do wyboru przez cudzoziemca. Celem zaś, do którego powinno się w tym kontekście dążyć, powinna być najpierw skuteczna integracja, a następnie asymilacja danego cudzoziemca. […]

Bomba zegarowa na polskim rynku pracy tyka i role mogą się odwrócić: „Ukraiński cham" stanie się „panem" w relacjach z pracodawcą.

Istotnym elementem programów asymilacyjnych będzie ich pogłębiony aspekt aksjologiczny i wtórnie socjalizujący, który oznacza zdolność cudzoziemca do zaakceptowania i przyjęcia jako swoich własnych wartości obowiązujących w Polsce, w tym światopoglądowych, religijnych, politycznych, kulturowych, obyczajowych oraz stania się w pełni ukształtowanym członkiem polskiego społeczeństwa (brak takiej zdolności powinien skutkować odmową przyznania obywatelstwa polskiego).

Welcome to Poland

Centralizacja, katechizacja, polonizacja, straszenie obcymi – czyli *welcome to Poland à la* PiS. Nic dziwnego, że Helsińska Fundacja Praw Człowieka zarzuciła projektowi duch ksenofobii i opresyjność oraz zwróciła uwagę na zapisy budzące poważne wątpliwości co do zgodności ze standardami prawa UE i prawa międzynarodowego. Nowego projektu nie widać.

Polska chciałaby „mieć ciastko i zjeść ciastko", czyli zatrudniać Ukraińców, ale nie zachęcać ich do osiedlania się. Zliberalizowaliśmy rynek pracy, a jednocześnie zaostrzyliśmy przepisy dotyczące otrzymania karty stałego pobytu i obywatelstwa.

Reputację władzy ratuje tam, gdzie może, Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców. To nowa instytucja. Działa od dwóch lat, jest związana z rządem i zgodnie z ustawą „stoi na straży praw mikro- oraz małych i średnich przedsiębiorców". Rzecznik podjął sprawę najczęściej zgłaszaną do niego przez przedsiębiorców – uciążliwe procedury związane z wydawaniem zezwoleń na pobyt czasowy i pracę

eprasa.pl 6f35c91f82

w Polsce. Na razie bez sukcesów. Średni czas trwania oczekiwania na decyzję niestety wydłużył się w ostatnich miesiącach.

Czasami potrzeba wstrząsu, by pomyśleć i przyspieszyć działania. W Polsce takim wstrząsem bywa „niemieckie zagrożenie". I choć w mediach pojawiają się obawy o konsekwencje otwarcia w marcu 2020 roku niemieckiego rynku pracy, nie widać exodusu Ukraińców z Polski. Mamy szczęście, że Niemcy na razie wysoko ustawili poprzeczkę: wymagają udokumentowania wykształcenia zawodowego lub dyplomu uczelni, a do tego znajomości języka niemieckiego. Poszukiwani są przede wszystkim lekarze, fizjoterapeuci, pielęgniarki, eksperci w dziedzinie lotnictwa czy technologii energetycznej, inżynierowie, specjaliści IT. Przedstawicieli każdego z tych zawodów mamy w Polsce niewielu, ponadto eksperci IT świetnie zarabiają także we własnym kraju, przez co usługi tej branży są najbardziej cenione w strukturze ukraińskiego eksportu.

Badanie „Profil społeczny migranta zarobkowego z Ukrainy 2019", przeprowadzone z inicjatywy Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej i Foreign Personel Service, wykazało, że w obecnych warunkach Polska jest krajem pierwszego wyboru; trzykrotnie przebija popularnością Niemcy. Na korzyść Polski przemawiają: położenie geograficzne (35 procent), pozytywne doświadczenie (23 procent), poziom wynagrodzenia (23 procent) i brak bariery językowej (7 procent). Główną zaletą Niemiec wskazaną w tym badaniu są wysokie zarobki (70 procent). Jak widać, polscy przedsiębiorcy korzystają z renty położenia geograficznego i pewnego kulturowego sentymentu. Pytanie jednak, jak długo uda się zachować tę przewagę.

Zaniechania rządu starają się zastąpić swoimi działaniami inne podmioty. Polsko-Ukraińska Izba Gospodarcza dwa lata temu zainicjowała kampanię społeczną „Partnerstwo i Zatrudnienie", skierowaną przede wszystkim do pracowników z Ukrainy, pracodawców oraz agencji pośrednictwa pracy w Polsce i na Ukrainie. Wśród celów działalności wskazano:

– zwalczanie patologii na rynku rekrutacji zatrudniania obywateli Ukrainy zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie;

– wsparcie w procesie adaptacji pracowników z Ukrainy w Polsce oraz po powrocie do kraju;

– rozwój dwustronnej współpracy w zakresie międzynarodowego zatrudnienia, podnoszenia kwalifikacji pracowników i organizacji praktyk zawodowych dla studentów oraz prowadzenia badań naukowych;

– projektowanie korzystnych rozwiązań prawnych w zakresie migracji zarobkowej.

Zamknięcie polskich granic związane z epidemią koronawirusa wywołało lawinę apeli i stanowisk organizacji pracodawców oraz izb gospodarczych. Okazało się, że decyzje administracyjne rządu i projekty antykryzysowych działań nie uwzględ-

eprasa.pl 6f35c91f82

niają tej oczywistej oczywistości, jaką jest obecność prawie dwumilionowej rzeszy pracowników cudzoziemców. Ocenia się, że w pierwszej „wirusowej" fali wyjechało z Polski kilka procent pracowników ukraińskich. Części z tych, którzy zostali, skończą się terminy ważności wiz i zezwoleń na pracę, więc zapewne także wyjadą. Tymczasem w ogłoszonym 18 marca 2020 roku rządowym pakiecie antykryzysowym nie znalazła się możliwość przedłużenia terminu oświadczeń o zatrudnieniu cudzoziemców, postulowana przez organizacje pracodawców. Czy aby na pewno sami, bez „obcych", zdołamy po spowolnieniu albo recesji szybko rozruszać polską gospodarkę?

Przestępstwa z nienawiści

Pozytywistyczną pracę wykonują polskie samorządy. Właściwie to one wzięły na siebie ciężar prowadzenia najtrudniejszej części polityki migracyjnej państwa, czyli asymilacji przybyszów. Rząd tylko pilnuje granic… W dużych miastach cudzoziemcy to już ponad 10 procent mieszkańców, z czego 90 procent przyjechało z Ukrainy. Gdańsk, Lublin, Wrocław, Warszawa, Kraków, Poznań, Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia – to czołówka polskich samorządów, które chcą, by imigranci zarobkowi zamienili pobyt czasowy na stały. Finansowanie i organizowanie nauki języka polskiego, pomoc socjalna, pomoc prawna, wspieranie integracji kulturowej, wyznaczanie urzędników pilotujących sprawy migrantów – takie działania są finansowane z budżetów samorządowych i nieraz zapisywane w lokalnych strategiach rozwoju.

Ukraińcy stają się częścią naszej codzienności i normalności w momencie, gdy znaczna część Polaków nadal hołduje stereotypom historycznym i kulturowym.

Trudno kochać Marksa, ale parafraza jego teorii trafnie opisuje relacje Ukraińców i Polaków: baza wyprzedziła nadbudowę. Chodzi przy tym nie tylko o nadbudowę instytucjonalno-prawną, ale też o świadomość ludzi. Obywatele Ukrainy pracują razem z nami, obsługują nas w sklepach, kawiarniach i restauracjach, budują nasze drogi i mieszkania, zaczynają kupować mieszkania w naszym sąsiedztwie, ratują Polaków w katastrofach drogowych. Innymi słowy, stają się częścią naszej codzienności i normalności w momencie, gdy znaczna część Polaków nadal hołduje stereotypom historycznym i kulturowym.

Rzecznik Praw Obywatelskich we współpracy ze Związkiem Ukraińców w Polsce podjął się oceny postrzegania Ukraińców w naszym kraju. Wnioski nie są, niestety, wesołe: 41 procent wypowiedzi na temat Ukraińców miało w polskim internecie wy-

eprasa.pl 6f35c91f82

dźwięk negatywny, 42 procent uznano za neutralne, a jedynie 17 procent – za pozytywne. Badania po raz kolejny dowiodły, że Polaków i Ukraińców najbardziej dzieli historia, choć dyskusja w sieci na jej temat nie jest merytoryczna. Dominują określenia negatywne. „Banderowiec", „bandyta z Ukrainy", „UPAdlina" to tylko niektóre przykłady wirtualnej mowy nienawiści. Ściganie jej nie jest oczywiście łatwe, ale brak zdecydowanej reakcji na tego typu agresję jest odbierany jako przyzwolenie.

Do organów ścigania coraz częściej są zgłaszane przestępstwa z nienawiści wobec przedstawicieli mniejszości ukraińskiej lub obywateli Ukrainy przebywających w Polsce. Jak pokazują jednak badania RPO, ofiary zgłaszają tylko 5 procent przestępstw motywowanych nienawiścią. Prokuratura rzadko ściga z urzędu takie przestępstwa, dużo śledztw jest umarzanych lub trwa bardzo długo, choć w takich przypadkach powinna działać szybciej i bardziej stanowczo.

Czego jednak możemy oczekiwać od „szeregowego" prokuratora, skoro „prokurator prokuratorów", czyli minister sprawiedliwości, przedstawiciel Zjednoczonej Prawicy, zainicjował zmiany w ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej zakładające karalność za zaprzeczanie zbrodniom „ukraińskich nacjonalistów"? Pomimo międzynarodowej krytyki minister nie uznał swojego błędu i nie wycofał się z zapisów (chociaż zmienił zdanie odnośnie do części tej samej ustawy dotyczącej udziału Polaków w zbrodniach przeciwko Żydom). Z kolei prezydent, udając, że żyjemy w państwie prawa, skierował kontrowersyjny zapis do Trybunału Konstytucyjnego. Tam problem „rozwiązano" metodą uznania poprawek za niekonstytucyjne, choć w dyskursie publicznym – po takim wzmocnieniu – nie przestał istnieć. W tym kontekście nie jest przesadą stwierdzenie, że apel byłych prezydentów Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego: „otwórzmy się dziś na tych, którzy chcą razem z nami budować wspólną pomyślność", jest obecnie bardziej aktualny niż kiedykolwiek.

Dariusz Szymczycha jest członkiem Rady Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej.

eprasa.pl 6f35c91f82

„Nowi warszawiacy / Nowe warszawianki”



Alija Magomadov

„Nowi warszawiacy / Nowe warszawianki” to projekt półrocznych warsztatów fotograficznych dla osób z doświadczeniem migracji mieszkajacych w Warszawie. Pomysłodawczynią i koordynatorką projektu była Karolina Gembara

eprasa.pl 6f35c9

Spotkali się w kwietniu 2019 roku: fotografka i ośmioro przybyszów



Hadiża Abilova

eprasa.pl 6f35c91f82

W grupie znalazło się kilkoro uczniów szkół średnich, pracownik firmy IT, pedagożka, dziennikarze



Anwar Magomadov



Nadia Shul

Można też opisać ich tak: kilkoro uchodźców (część z przyznaną ochroną w Polsce, część – wciąż z wiszącym nad nimi widmem deportacji), kogoś przysłała tu firma, ktoś inny przyjechał, by szukać pracy samodzielnie

eprasa.pl 6f35c91f82



Sayam Ghosh

W programie zajęć znalazły się zarówno praktyczne ćwiczenia z aparatem, jak i czas na oglądanie zdjęć i projektów fotograficznych z kanonu fotografii osobistej i socjologicznej

eprasa

W trakcie warsztatów powstawały małe projekty o Warszawie, nowym domu, sąsiadach, tęsknocie



Sanjar Hoshimi

eprasa.pl 6f35c91f82

Sitora Sobit

eprasa.pl 6f35c91f82

W grudniu 2019 roku wydano wspólnie gazetę „Nowi warszawiacy / Nowe warszawianki", a na początku 2020 roku zorganizowano powarsztatową wystawę



Nasta Charłovič

eprasa.pl/6f35c9

Niewidzialni Inni
Białoruska imigracja w Polsce

Anton Saifullayeu, Tadeusz Giczan

Dzisiaj w Polsce Białorusini to nie tylko mniejszość narodowa na Podlasiu lub opozycja polityczna wypędzona z ojczyzny. Są drugą najliczniejszą – po ukraińskiej – diasporą. Migracja z Białorusi jest złożonym procesem, co logicznie wynika z sytuacji wewnętrznej w tym kraju.

Wśród wielu Innych w Polsce są ledwo zauważalni. Łatwo się adaptują i asymilują. Szybko się uczą języka i z łatwością mimikrują autochtonów. Białorusini to „idealni migranci" w kontekście ideologii i języka polityki w Polsce. Są akceptowalnymi Innymi, bo ich tożsamość bezboleśnie przyjmuje zasady społeczne kraju, do którego się przeprowadzili. Niemniej jakakolwiek ocena antropologiczna emigracji Białorusinów do Polski pozostaje trudnym zadaniem, także ze względu na panujący w polskiej debacie publicznej dyskurs o Białorusi. Jest on obecny w dwóch wymiarach. Pierwszy to narracja medialna uwikłana w język stereotypowych obrazów Białorusi jako (post)sowieckiego rezerwatu, autorytarnej władzy i prorosyjskiego społeczeństwa. Drugi to historyczno-lingwistyczny wymiar dyskusji akademickiej na temat Białorusi ściśle związany z post(neo)kresowym podłożem owych rozważań (Białoruś jako byłe ziemie I i II RP, nostalgia za „utraconymi" polskimi Kresami). Są to raczej treści anachroniczne. Funkcjonują nie tylko na płaszczyźnie intelektualno-akademickiej, istnieje bowiem analityczne podejście do Białorusi, niewyróżniające się merytorycznie na tle dominującego języka używanego do opisu wschodniego sąsiada Polski.

Przypadek białoruski nie jest wyjątkowy, ponieważ każde społeczeństwo tworzy stereotypy i ma „własną" wiedzę na temat Innych, sąsiadów, przekazywaną mu medialnym językiem władz. Na jej podstawie kreuje we własnej imaginacji konkretne wizerunki Innych. Wystarczy z Podlasia, Terespola czy Białej Podlaskiej przejechać nieco na zachód Polski, by zapomnieć, że Białoruś to coś więcej niż rzadkie wzmianki w mediach. W efekcie gdy mówimy o nowym fenomenie obecności imigrantów z Białorusi w Polsce, nie zauważamy, że już dawno funkcjonują w społeczeństwie poza medialnymi algorytmami opowiadań i stereotypowych narracji. Pracują, studiu-

eprasa.pl 6f35c91f82

ją, zakładają rodziny, kupują mieszkania, rozwijają własne biznesy, przyjeżdżają na zakupy albo do pracy tymczasowej. Polska z kolei wzbudza coraz większe zainteresowanie jako kraj docelowy do osiedlenia się dla coraz większej grupy Białorusinów.

Przyczyny emigracji

W przeciwieństwie do Ukrainy i Mołdawii, gdzie emigracja zarobkowa przybrała masową skalę tuż po rozpadzie ZSRR, na Białorusi jest ona zjawiskiem stosunkowo nowym. Co więcej, aż do połowy lat dwutysięcznych Białoruś była jedynym krajem postsowieckim z nieprzerwanie dodatnim bilansem migracyjnym. To efekt natychmiastowego zaniechania raczkujących reform rynkowych pod dojściu do władzy w 1994 roku Aleksandra Łukaszenki. Za ważniejsze od efektywności rynkowej uznano zachowanie stabilności politycznej, a co za tym idzie – niski poziom bezrobocia.

Założenia zrealizowano najprostszym możliwym sposobem. W państwowych gospodarstwach rolnych oraz w większości państwowych zakładów molochów nie przeprowadzono żadnej restrukturyzacji ani redukcji etatów. Wszystko nadal działało jak za dawnych czasów, w myśl sowieckiej zasady „wy udajecie, że nam płacicie, a my udajemy, że pracujemy". Na Białorusi, tak jak w ZSRR, każdy musiał mieć pracę, a więc poziom bezrobocia nigdy nie przekroczył 4 procent.

Po 2011 roku Białoruś z kraju imigracyjnego stopniowo stała się krajem emigracyjnym. Coraz więcej jej obywateli zaczęło wyjeżdżać do pracy za granicę.

Było to możliwe dzięki wynalezionej przez Łukaszenkę oportunistycznej formule relacji z Rosją: „ropa i gaz w zamian za pocałunki". Przez długi czas działała ona bez zarzutu – rosyjskie dotacje szerokim strumieniem płynęły na Białoruś. W kraju kwitł len, szumiało zboże, z taśm produkcyjnych zjeżdżały traktory i lodówki, budowano pałace lodowe i osiedla mieszkaniowe. Łukaszenka cieszył się popularnością w całym byłym ZSRR. Z biegiem czasu formuła ta zaczęła jednak szwankować. Hojność Rosji malała, tymczasem białoruska gospodarka pozostawała niezmiennie nieefektywna.

W pewnym momencie finanse państwa przestały się spinać i w 2011 roku na Białorusi wybuchł kryzys gospodarczy. Kraj nie otrząsnął się po nim w zasadzie do dziś. Znalazło to odbicie również w poziomie płac, na Białorusi obecnie kilkakrotnie niższych niż w Polsce. W tak prozaiczny sposób Białoruś z kraju imigracyjnego stopniowo stała się krajem emigracyjnym. Coraz więcej jej obywateli zaczęło wyjeżdżać do pracy za granicę. Z danych publikowanych przez organizację La Strada Belarus wynika, że w 2013 roku ponad połowa Białorusinów rozważających wyjazd

eprasa.pl 6f35c91f82

zarobkowy myślało o Rosji, a tylko 8 procent o Polsce, natomiast po roku 2016 te proporcje niemal się wyrównały. Ten sam trend obserwujemy w statystyce zapytań Google: w ostatnich latach „praca w Polsce" wśród Białorusinów zaczęła wyraźnie dominować nad „pracą w Rosji".

Nowy fenomen

Początek masowej migracji Białorusinów do Polski przypada na lata 2015–2016, kiedy to trwająca od kilku lat stagnacja białoruskiej gospodarki przerodziła się w recesję. Jednocześnie rosyjski rynek pracy stracił na atrakcyjności z powodu dewaluacji rosyjskiego rubla. W tym okresie w Polsce gwałtownie wzrosła liczba wydawanych oświadczeń o zamiarze zatrudnienia obywateli Białorusi. W 2014 roku wydano cztery tysiące takich oświadczeń, natomiast w 2019 było ich już niemal siedemdziesiąt tysięcy. To ponad siedemnastokrotny wzrost w ciągu pięciu lat. Dane te nie są jednak do końca miarodajne, gdyż nie wszystkie osoby, którym wydano zezwolenie na pracę, w rzeczywistości ją podjęły.

Lepszym źródłem są w tym przypadku informacje przekazywane przez ZUS dotyczące osób objętych ubezpieczeniem, czyli faktycznie zatrudnionych w polskich firmach. Według tych danych w latach 2014–2019 liczba pracujących w Polsce Białorusinów zwiększyła się sześciokrotnie – z siedmiu tysięcy do niemal czterdziestu trzech tysięcy osób. Różnego rodzaju karty pobytu posiada obecnie (stan na 1 stycznia 2020 roku) ponad dwadzieścia pięć tysięcy Białorusinów w Polsce, kilka tysięcy otrzymało polskie obywatelstwo. Warto dodać, że na polskich uniwersytetach studiuje ponad siedem tysięcy białoruskich studentów. To 10 procent wszystkich studentów zagranicznych i największa grupa po Ukraińcach.

Instytut Społeczno-Ekonomicznych Ekspertyz podaje, że Białorusini przeprowadzający się nad Wisłę zdecydowanie częściej niż inne nacje znajdują zatrudnienie w branży transportowej. Duża grupa pracuje też w budownictwie, handlu, rolnictwie, w szerzej niesprecyzowanych usługach, nieco mniejsza w przemyśle. W ostatnich latach emigruje też coraz więcej pracowników wysoko kwalifikowanych z branż IT i BPO. Niemal 80 procent pracujących w Polsce Białorusinów to osoby między dwudziestym piątym a czterdziestym dziewiątym rokiem życia. Zgodnie z danymi ZUS-u to najwyższy odsetek wśród wszystkich pracujących w Polsce obcokrajowców; dla Ukraińców, Rosjan, Mołdawian lub obywateli krajów unijnych wynosi on około 70 procent. Ponadto wśród przybyszy z Białorusi zdecydowanie przeważają mężczyźni. W roku 2018 było ich 75 procent, o 10 procent więcej niż wśród Ukraińców.

W przeciwieństwie do Ukraińców, rozproszonych mniej więcej równomiernie po całej Polsce, Białorusini skupiają się głównie w dwóch ośrodkach – wojewódz-

eprasa.pl 6f35c91f82

twach mazowieckim i podlaskim, przy czym na Podlasiu są absolutną większością wśród wszystkich objętych statystyką obcokrajowców. Tylko w tym regionie emigranci z Białorusi wyprzedzają nawet Ukraińców, i to ponad dwukrotnie. Decydujący wpływ zarówno w przypadku Podlasia, jak i Mazowsza ma bliskość białoruskiej granicy, a co za tym idzie – lepsze połączenia transportowe. Ponadto na Podlasiu istnieje duża enklawa białoruskiej mniejszości narodowej oraz prawosławnych Polaków białoruskiego pochodzenia, co ułatwia proces zaadaptowania się w innym kraju

Wraz z okresową migracją zarobkową stale rośnie też liczba Białorusinów decydujących się zostać w Polsce na dłużej. Osoby podejmujące taką decyzję z reguły ubiegają się o zezwolenie na pobyt stały lub czasowy. Zgodnie z informacją podawaną przez portal migracje.gov.pl wyraźny wzrost wydanych zezwoleń, tak samo jak wiz pracowniczych, nastąpił po 2015 roku. Największa różnica pomiędzy stałą emigracją z Ukrainy a stałą emigracją z Białorusi polega na tym, że zdecydowana większość Białorusinów (70 procent) dostaje zezwolenie na pobyt stały, natomiast dla Ukraińców odsetek ten wynosi niecałe 20 procent. Wśród Białorusinów absolutna większość zezwoleń na pobyt stały, bo aż 95 procent, jest wydawana w związku z posiadaniem polskiego pochodzenia, w tym Karty Polaka. Jak podaje Urząd ds. Cudzoziemców, z ogólnej liczby zezwoleń na pobyt czasowy większość (około 55 procent) uzasadniono chęcią podjęcia pracy; w prawie 25 procentach powodem było dołączenie do rodziny, a w blisko 15 procentach chodziło o edukację.

Przewaga osób polskiego pochodzenia z Białorusi wśród osiedlających się w Polsce Białorusinów wiąże się też z tym, że faktyczna liczebność tej grupy może być mocno niedoszacowana. Posiadacze karty stałego pobytu wydanej na podstawie polskiego pochodzenia już po roku pobytu w Polsce mogą się starać o polskie obywatelstwo. Po jego uzyskaniu przestają istnieć w statystykach migracyjnych. Można oszacować, że obecnie w Polsce przebywa nawet sześćdziesiąt tysięcy osób pochodzenia białoruskiego o różnym statusie. Jeśli dodamy do nich niemal pięćdziesiąt tysięcy Białorusinów z Podlasia (osoby w spisie powszechnym z 2011 roku deklarujące tożsamość białoruską jako pierwszą lub drugą), otrzymamy pokaźną liczbę ponad stu dziesięciu tysięcy mieszkających w Polsce Białorusinów lub osób pochodzących z Białorusi.

Antropologia imigracji

Z perspektywy kulturoznawczej migracja z Białorusi jest niejednorodna. Duża część osiedlających się Białorusinów obojętnieje na tożsamość narodową lub odstępuje od niej na rzecz asymilacji. Kusi, by powiedzieć, że jest to cecha współczesnego społeczeństwa białoruskiego, byłoby to jednak zbytnim uproszczeniem. Nie ulega wątpliwości, że Białorusini osiedlający się nie tylko w Polsce, lecz na całym świe-

eprasa.pl 6f35c91f82

cie, więcej wysiłków wkładają w próby integracji ze społeczeństwem kraju, do którego przybyli, niż w pielęgnowanie własnej tożsamości narodowej. W efekcie określenie „diaspora" w ograniczonym stopniu pasuje do opisu białoruskich imigrantów w Polsce. Należy natomiast pamiętać o pewnej specyfice, która dotyczy części białoruskich imigrantów w Polsce. Chodzi między innymi o polityzację ich obecności, czyli opuszczenie Białorusi z powodów politycznych. Medialność migrantów politycznych sprzyjała rozpowszechnieniu stereotypu „ucieczki od Baćki". Polityzacja już od ponad dekady zawłaszcza i definiuje pojęcie „diaspora" w odniesieniu do Białorusinów i pozostanie swoistym znakiem firmowym białoruskiej obecności w Polsce do czasu, aż zmieni się sytuacja polityczna na Białorusi, co w najbliższych latach jest mało prawdopodobne. Od kilku lat większość Białorusinów przybywa do Polski w innym celu niż zdobycie schronienia i prowadzenie działalności opozycyjnej na obczyźnie. Azyl polityczny czy ucieczka przed represjami obecnie są raczej artefaktami kulturowymi niż prawdziwą przyczyną przeprowadzki do innego kraju.

Jeśli chcemy przytoczone powyżej statystyki zinterpretować w otoczce kulturoznawczej, możemy pomyśleć o Białorusinach w Polsce w kontekście migracji postsowieckiej. Zanim to zrobimy, musimy jednak pozbyć się negatywnego zabarwienia ideologicznego pojęcia „postsowiecki". W rozważaniach o migracji należy używać owego terminu w znaczeniu antropologicznym, ujmujący wspólne czynniki adaptacyjne w innym niż rodzime środowisku. To znaczy, że w teorii Ukraińcy, Rosjanie, Kazachowie, Białorusini itp. ulegają podobnym mechanizmom dostosowywania się do rzeczywistości kraju, do którego się przeprowadzili. Głównym spoiwem pozostaje język rosyjski, *lingua franca* w przestrzeni postsowieckiej.

Od kilku lat większość Białorusinów przybywa do Polski w innym celu niż zdobycie schronienia i prowadzenie działalności opozycyjnej na obczyźnie.

W konsekwencji tworzy się pole informacyjne, w którym cudzoziemcy będą się poruszać, poszukiwać czytelnych dla nich treści i kodów kulturowych ułatwiających pobyt w obcym miejscu. W dużych miastach rozrasta się pewnego rodzaju sieć powiązań towarzyskich i biznesowych (networking). W Warszawie funkcjonuje ona już od kilku lat, przede wszystkim w mediach społecznościowych. Białorusini, podobnie jak najliczniejsza grupa migrantów, czyli Ukraińcy, prowadzą rozmaitą działalność gospodarczą zorientowaną na klienta rosyjskojęzycznego. Sieć biznesu tworzona z imigrantami z Europy Wschodniej, czasami funkcjonująca półlegalnie, znajduje klientów. Bardziej przejrzysty i otwarty rynek umożliwia korzystanie z szerokiego spektrum usług – od „poważnej" budowlanki lub IT do „codziennego" fryzjera lub uberowca.

eprasa.pl 6f35c91f82

Postsowiecka wspólnota migracyjna

Postsowiecka tożsamość migrantów jest nowym fenomenem, na razie nieśmiało rozpoznawanym w polskim dyskursie publicznym, lecz także nie do końca uświadamiany przez nosicieli owego kodu kulturowego. Polska jest łatwym krajem do emigracji, choć nie pod względem formalności. Komfortowa sytuacja dotyczy języka, położenia geograficznego i poniekąd codziennego zachowania. W porównaniu do krajów Zachodu, w Polsce dostosowywanie się do „nowej", nierodzimej dla migranta rzeczywistości nie wymaga dużych wkładów materialnych ani wysiłku psychofizycznego. Egzystencjalne reguły życia w Polsce są dla postsowieckich imigrantów bardziej czytelne i zrozumiałe niż „za Odrą", gdzie obowiązuje inny zestaw wartości i zachowań.

Kulturowa i ekonomiczna dostępność Polski dla migrantów z Europy Wschodniej, w tym z Białorusi, wywołuje dzisiaj entuzjastyczne reakcje wśród nich, ale także wielu Polaków. Napływ „akceptowalnych", „podobnych" migrantów z obszaru postsowieckiego ma bez wątpienia pozytywny wpływ na gospodarkę. Aby jednak pozostać na „szczycie listy przebojów" migrantów postsowieckich i zatrzymać u siebie młodzież oraz wykwalifikowanych specjalistów z Europy Wschodniej, Polska nie może utrudniać procesów integracyjnych. Ułatwienie procedur legalizacji pobytu może być pierwszym realnym krokiem, aby migracja Białorusinów do Polski miała pozytywne i długoterminowe konsekwencje. Brak działań w tym kierunku doprowadzi do tego, że w niedalekiej przyszłości Polska będzie musiała konkurować na przykład z Niemcami, którzy już stwarzają – choć na razie dość restrykcyjne – warunki dla osiedlania się wschodnioeuropejskich migrantów w poszczególnych landach. Po kryzysie wywołanym przez pandemię, gdy potrzebne będzie odbicie gospodarki niemieckiej, liberalizacja procedur migracyjnych może okazać się jednym z kół zamachowych wzrostu PKB, a wówczas Białorusini ruszą z Polski dalej na Zachód.

Anton Saifullayeu jest adiunktem w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się studiami postkolonialnymi, historiozofią, antropologią kulturową w obszarze postsowieckiej Europy Wschodniej.

Tadeusz Giczan jest doktorantem w School of Slavonic and East European Studies University College London. Zajmuje się polityką patronalną oraz elitami politycznymi i ekonomicznymi w krajach postsowieckich, ze szczególnym uwzględnieniem Białorusi.

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia

Pismo Spraw Wschodnich

Zalogowani na Wschód.

Na **www.new.org.pl** więcej niż w wydaniu papierowym:
zawsze aktualne komentarze o wydarzeniach na Wschodzie,
archiwalne numery Nowej Europy Wschodniej

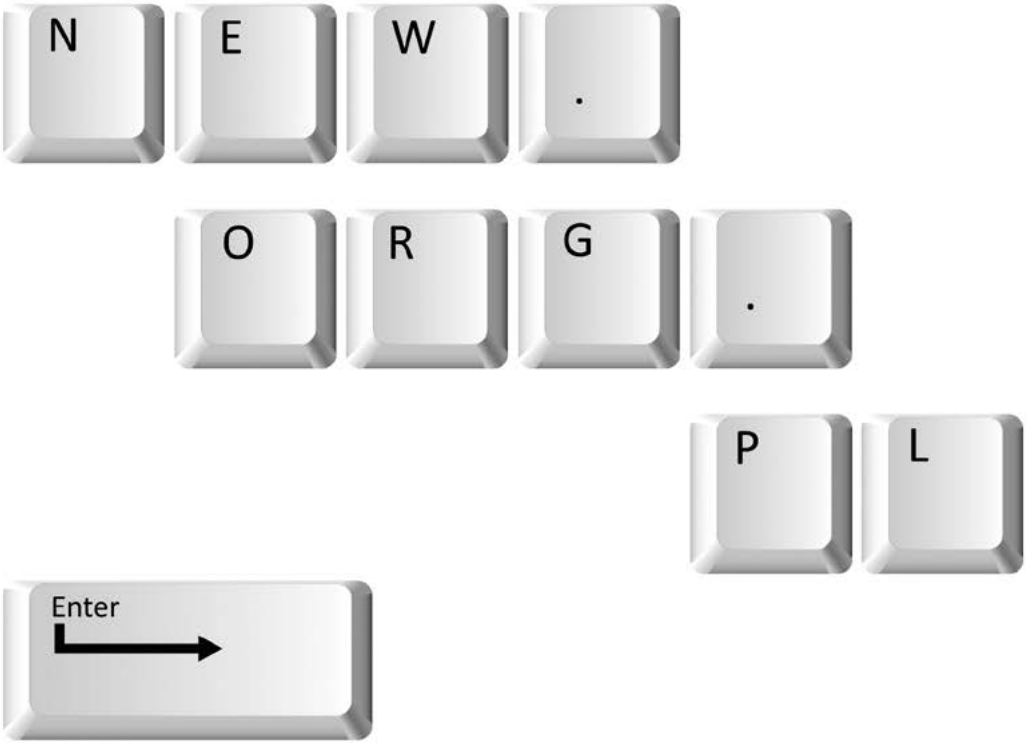

Odwiedź naszą stronę www.new.org.pl

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

1%

Przekaż 1% podatku dochodowego na rzecz otwartej rozmowy.



KRS 0000013264

Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

Prosimy o dopisek w deklaracji, że środki powinny być przeznaczone na działalność „Nowej Europy Wschodniej”

eprasa.pl 6f35c91f82

Goście z Kaukazu i Azji Centralnej: gastarbeiterzy, restauratorzy i dysydenci

Konrad Zasztowt

W epoce postępującej globalizacji i erozji granic świata postsowieckiego dochodzi do coraz częstszych kontaktów między Polską a Kaukazem i Azją Centralną w sferze gospodarki, ale także polityki. Ważnym ich elementem jest kwestia imigracji ekonomicznej mieszkańców Kaukazu i Azji Centralnej do naszego kraju. Niektórzy z nich szukają tu także azylu politycznego.

Przyczyny imigracji z Kaukazu i Azji Centralnej są pochodną nie tylko zastoju gospodarczego, ale i głębokiego kryzysu postsowieckiego modelu ekonomicznego i społeczno-politycznego. Motorem gospodarki Rosji, ale także Azerbejdżanu, Kazachstanu czy Turkmenistanu, była i jest sprzedaż węglowodorów, co w sytuacji niskich cen ropy i gazu nieuchronnie prowadzi do kryzysu. Wprawdzie w przeszłości wysokie ceny surowca oznaczały wzrost gospodarczy, efektem ubocznym była jednak choroba holenderska, atrofia innych poza naftowo-gazowym sektorów gospodarki. Oczywiście niebagatelne znaczenie ma także czynnik sankcji wobec Rosji wprowadzonych po aneksji Krymu w 2014 roku.

Trudna sytuacja gospodarki rosyjskiej, największej w Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej, wpływa negatywnie na innych członków wspólnoty. Państwa takie jak Kirgistan i Tadżykistan (dopiero aspirujący do członkostwa w EUG), boleśnie dotyka między innymi znaczne zmniejszenie transferów pieniężnych od gastarbeiterów pracujących w Rosji. Odpowiadają one za mniej więcej jedną trzecią PKB tych krajów. Wielkie nadzieje politycy z Centralnej Azji pokładali w chińskich projektach rozwoju transportu i handlu na kontynencie („One Belt, One Road", Nowy Jedwabny Szlak), obecnie jednak widać, że wpływ Chin na gospodarkę państw regionu jest niekoniecznie korzystny, gdyż nie zwiększa zatrudnienia (chińskie firmy inwestujące w regionie przywożą chińskich pracowników). Wysokość zadłużenia wobec

eprasa.pl 6f35c91f82

Chin na przykład Kirgistanu zaczyna zagrażać bezpieczeństwu narodowemu. Ekonomiczne skutki epidemii koronawirusa, między innymi spadek chińskiego importu węglowodorów z Azji Centralnej, dodatkowo odbiją się na gospodarkach regionu. Nie zanosi się więc na ograniczenie skali emigracji zarobkowej jego mieszkańców.

Tadżykistan zamieszkuje 9,2 miliona osób, a Kirgistan – 6,3 miliona. Jednocześnie liczbę tadżyckich imigrantów ekonomicznych w Federacji Rosyjskiej szacuje się na ponad milion, a Kirgizów na 600–800 tysięcy. Populacja Uzbekistanu to 32 miliony, a według nieoficjalnych danych w Rosji przebywało w ostatnich latach od dwóch do trzech milionów Uzbeków. Znaczne grupy obywateli Uzbekistanu, a także Tadżyków i Kirgizów, przyjeżdżają również do pracy w stosunkowo bogatszym Kazachstanie.

Na Kaukazie Południowym krajem o największej emigracji zarobkowej jest Armenia (2,9 miliona mieszkańców). Tylko w Rosji prawdopodobnie mieszka więcej Ormian niż w ojczyźnie – według nieoficjalnych ocen trzy miliony. Głównym kierunkiem wyjazdów zarobkowych Azerów także jest Federacja Rosyjska. Ludność Azerbejdżanu to 9,1 miliona mieszkańców, natomiast liczbę azerskich imigrantów w Rosji szacuje się na 1,5 miliona. Najmniej mobilni na Kaukazie Południowym tradycyjnie byli i są Gruzini, ponadto ich emigrację zarobkową do Rosji powstrzymały rosyjskie władze. Po wojnie rosyjsko-gruzińskiej w sierpniu 2008 roku ograniczono wydawanie wiz obywatelom Gruzji. Mimo to w Rosji mieszka według różnych szacunków 200–400 tysięcy Gruzinów. Populacja Gruzji to 3,7 miliona osób.

Przedstawiciele narodów kaukaskich i azjatyckich byli w Rosji dyskryminowani, stawali się celem ataków miejscowych mafii, skinheadów, szowinistycznych polityków, czasem świadomej polityki państwa.

Przytoczone powyżej dane obejmują zarówno osoby mające rosyjskie obywatelstwo, jak i sezonowych pracowników podróżujących między Rosją a macierzystym krajem. W sytuacji kryzysu przedstawiciele tej drugiej grupy są coraz częściej zmuszeni powrócić do domu albo szukać innych państw, do których mogliby wyjechać za chlebem.

W minionych dekadach naftowej prosperity Rosja nie zapewniała imigrantom z Kaukazu i Azji Centralnej bezpieczeństwa, dawała jednak szansę na zarobek i poprawę standardu życia. Temat trudnej, a czasem nieludzkiej egzystencji imigrantów obecny jest od lat w mediach, a także między innymi w kinematografii. Przykładem są filmy Jusupa Razykowa *Gastarbajter* (2009) czy Sergieja Dworcewoja *Ajka* (2018). Przedstawiciele narodów kaukaskich i azjatyckich byli w Rosji dyskryminowani, stawali się celem ataków miejscowych mafii, skinheadów, szowinistycznych polityków,

eprasa.pl 6f35c91f82

czasem świadomej polityki państwa (aresztowania i deportacje Gruzinów w 2006 roku po wybuchu konfliktu Władimira Putina z ówczesnym prezydentem Gruzji Micheilem Saakaszwilim). Rosja, choć nieprzyjazna, była jednak znanym, dającym się zrozumieć światem, a jego postsowieckie cechy imigranci znali z własnych krajów.

Odkrycie Polski

Takim światem nie była po rozpadzie ZSRR dla przybyszy z Kaukazu i Azji Centralnej Polska. W czasach PRL Polacy mogli mieć mgliste pojęcie o tych regionach dzięki lekturze książki *Kirgiz zsiada z konia* Ryszarda Kapuścińskiego, potem wzbogacone większą liczbą reportaży opublikowanych po 1989 roku, natomiast postsowieccy mieszkańcy Kaukazu i Azjaci znali nasz kraj wyłącznie z serialu *Czterej pancerni i pies*, ewentualnie ze wspomnień dziadków i ojców, żołnierzy, którzy brali udział w walkach Armii Czerwonej z III Rzeszą w 1944 i 1945 roku, lub po wojnie stacjonowali w Legnicy. Jedynym „polskim" mikrokosmosem znanym przybyszom z Azji i Kaukazu odwiedzającym Polskę w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia był Jarmark Europa na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Poza tym nic nie było dla nich w polskiej rzeczywistości „swojskie". (Pomijam oczywiście garstkę działaczy NGO-sów, dziennikarzy czy naukowców, którzy przyjeżdżali do Polski w celu poznania polskich doświadczeń transformacyjnych i wykorzystania ich w swoich krajach).

Dzisiaj sytuacja w szybkim tempie się zmienia. Obywatele państw kaukaskich i centralnoazjatyckich chcą w Polsce pracować lub studiować. W tej chwili najliczniejszą grupą cudzoziemców z regionu Kaukazu Południowego są w Polsce Gruzini. W 2019 roku liczba zezwoleń na pracę dla gruzińskich migrantów wyniosła blisko 7,5 tysiąca. Otrzymały je także ponad trzy tysiące obywateli Azerbejdżanu. Jeśli chodzi o obywateli Armenii, w 2019 roku zezwolenie na pracę uzyskało tylko nieco ponad czterysta osób, zezwolenie na pobyt stały ma jednak 2,5 tysiąca Ormian. Co więcej, znaczna liczba członków diaspory ormiańskiej w Polsce ma obywatelstwo RP. W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku przybyła z Armenii, pogrążonej w kryzysie gospodarczym i konflikcie z Azerbejdżanem, fala kilkudziesięciu tysięcy imigrantów. Dzisiaj ci, którzy nie wrócili do kraju lub nie wyjechali gdzie indziej, są silnie zintegrowani z polskim społeczeństwem. Według spisu powszechnego z 2011 roku cztery tysiące polskich obywateli zadeklarowało narodowość ormiańską (pierwszy albo drugi wybór).

Zarówno na Kaukazie, w Azji Centralnej, jak i Polsce w ograniczonym stopniu obecna jest w pamięci historycznej świadomość – często bardzo starych – kontaktów między naszymi narodami. Polacy mają zdecydowanie niewystarczającą wiedzę

eprasa.pl 6f35c91f82

o wychodźcach z Kaukazu i Azji Centralnej przez wieki przybywających nad Wisłę lub nad nią mieszkających. Wzajemne historyczne powiązania sięgają początków polskiej państwowości. Już w X wieku docierali na ziemie polskie kupcy z Mawarannahru (współcześnie Uzbekistan), dzięki czemu włączali je do kontynentalnego systemu ekonomicznego. Monety z arabskimi napisami bite w mennicach w Bucharze i Samarkandzie były pierwszą walutą w Polsce. Pojedynczy Gruzini już w czasach I RP służyli jako oficerowie w polskiej armii i posłowie w dyplomacji. W okresie carskim trafiali do armii i administracji carskiej albo przyjeżdżali na studia do Warszawy, jak Noe Żordania, ojciec niepodległej Gruzji (1918–1921).

Ormianie od XIV wieku współtworzyli tkankę etniczną Królestwa Polskiego, a następnie Rzeczypospolitej. Mieli istotny wkład w rozwój gospodarczy Polski (handel z Bliskim Wschodem) i stosunków dyplomatycznych z osmańską Turcją i Persją, odciskali piętno na sarmatyzmie (między innymi wprowadzili słynny szlachecki kontusz), uznawanym przez Polaków za arcypolski fenomen kulturowy. Wielu wybitnych Polaków ma korzenie ormiańskie, na przykład Krzysztof Penderecki, Zbigniew Herbert, Jerzy Kawalerowicz, możliwe, że nawet Juliusz Słowacki.

Azerowie służyli w wojsku carskim na ziemiach polskich w okresie rozbiorowym. To doświadczenie otwierało ich na wpływy kultury zachodniej. W Polsce powstała pierwsza powieść w historii literatury azerskiej, w oryginalnej wersji napisana po… francusku. Inny autor azerski tworzył w języku polskim muzułmańską poezję religijną oraz wiersze po persku i arabsku o Warszawie. W II RP Gruzini, a w mniejszej liczbie także Azerowie i przedstawiciele narodów Kaukazu Północnego, zaciągali się jako oficerowie kontraktowi do polskiego wojska. Rząd w Warszawie prowadził wówczas politykę prometejską, a więc starał się wspierać emigracyjne elity narodów zniewolonych przez sowieckie imperium.

Jakie związki łączą Polskę i Kaukaz dzisiaj? Polacy od prawie dekady masowo podróżują do Gruzji w celach turystycznych. Niektórzy taksówkarze na lotnisku w Kutaisi, obsługującym loty do Warszawy, lepiej radzą sobie obecnie z polszczyzną niż z rosyjskim, postsowieckim *lingua franca*. Podróże Gruzinów do Polski ułatwiło natomiast zniesienie w 2017 roku obowiązku wizowego dla obywateli Gruzji odwiedzających kraje UE. Wprawdzie ruch bezwizowy zezwala im jedynie na trzymiesięczny pobyt bez prawa do zatrudnienia w UE, na pewno jednak przyczynił się do częstszych przyjazdów, a w końcu także decyzji wielu Gruzinów, aby podjąć w Polsce pracę lub studia. W polskich miastach pojawia się coraz więcej gruzińskich restauracji i piekarni. Chaczapuri i chinkali staną się z czasem równie rozpoznawalne jak pizza i pierogi ruskie.

W ostatnich latach widoczny jest także wzrost liczby imigrantów z Azji Centralnej. Znajdują się oni (a także Azerowie) w trudniejszej sytuacji niż Gruzini i Or-

eprasa.pl 6f35c91f82

mianie. Ci ostatni nie muszą uzyskiwać zezwolenia na pracę przez okres nieprzekraczający sześciu miesięcy, wystarcza im zarejestrowane w urzędzie oświadczenie pracodawcy. Według danych za 2019 rok zezwolenia na pracę w Polsce otrzymało prawie 1,3 tysiąca Kirgizów i ponad 1,3 tysiąca Tadżyków. Dla obywateli Kazachstanu liczba ta wyniosła blisko 1,7 tysiąca osób, a Uzbekistanu – blisko 1,5 tysiąca. W 2017 i 2018 roku Polskę odwiedzały delegacje Ministerstwa Pracy Uzbekistanu. Spotkały się między innymi z władzami województw łódzkiego i lubelskiego oraz przedstawicielami biznesu. Polscy pracodawcy wyrazili chęć zatrudnienia Uzbeków w branżach budowlanej, tekstylnej, spożywczej i rolnictwie.

Informacja o przyjeździe uzbeckich gastarbeiterów wywołała negatywną reakcję w internecie, zwłaszcza na skrajnie prawicowych, antyimigranckich portalach. Oprócz głosów sprzeciwu pojawiły się też opinie, że Uzbecy są bardziej pożądanymi pracownikami niż Ukraińcy, gdyż w przeciwieństwie do naszych wschodnich sąsiadów „nie wyłudzą karty Polaka" i „nie będą domagać się tworzenia za publiczne pieniądze uzbeckich szkół podstawowych". Uzbecy cieszą się na obszarze postsowieckim pozytywnym stereotypem obowiązkowych i sumiennych pracowników. W Azji Centralnej dobra opinia działa niekiedy na ich niekorzyść – zazdrości się im, że dzięki swojej przedsiębiorczości bogacą się szybciej niż inni.

Rozwój ekonomiczny Polski sprawia, że coraz więcej migrantów z Kaukazu i Azji Centralnej postrzega ją jako kraj docelowy.

W Polsce przebywają także nielegalni migranci z Kaukazu i Azji Centralnej. Ich liczbę trudno oszacować, większość z nich traktuje bowiem Polskę jak kraj tranzytowy w drodze do Niemiec. Rozwój ekonomiczny Polski sprawia jednak, że coraz więcej z nich może postrzegać ją jako kraj docelowy. Temat losów tych osób oraz uchodźców z obu regionów wszedł do głównego nurtu polskiej kultury, o czym świadczy popularność serialu *Wataha*, dwukrotnie nagrodzonego Orłami za najlepszy serial fabularny. Jego akcja rozgrywa się w Bieszczadach i dotyczy walki straży granicznej z przemytem ludzi do Polski, w tym wywodzących się z Kaukazu i Azji Centralnej, oraz sytuacji uchodźców z tych regionów.

Niechciani uchodźcy

Problem migracji z Kaukazu i Azji Centralnej wiąże się nie tylko z kwestią społecznej akceptacji przybyszy lub jej braku, ich zdolności do znalezienia sobie niszy na rynku pracy i do dalszej integracji. Przypadki osób, które wyjechały ze swoich krajów ze względu na prześladowania i chcą pozostać w Polsce, stawiają polskie

eprasa.pl 6f35c91f82

władze przed koniecznością podejmowania decyzji o charakterze politycznym. Na początku stycznia bieżącego roku doszło do aresztowania w Gdańsku azerskiego opozycjonisty Daszgyna Agalarly'ego, poszukiwanego przez Interpol na wniosek władz Azerbejdżanu. Aktywista ten od wielu lat przebywa na emigracji ze względu na wysokie ryzyko represji w kraju. Uzyskał też azyl w Norwegii. Mimo to polska prokuratura uznała, że należy go zatrzymać do wyjaśnienia sprawy. Po interwencji norweskiej ambasady i organizacji broniących praw człowieka Agalarly został wypuszczony z aresztu, pozostaje jednak pod dozorem policji.

W kategorii ubiegających się o azyl dominują przybysze z rosyjskiego Kaukazu Północnego, zwłaszcza z Czeczenii. Zaczęli przybywać do Polski w latach dziewięćdziesiątych. Uciekali przed pierwszą wojną w Czeczenii i chaosem panującym po jej zakończeniu. Z pierwszą falą trafił do naszego kraju Mamed Chalidow, późniejszy reprezentant Polski w mieszanych sztukach walki i dwukrotny międzynarodowy mistrz w tej dyscyplinie. Na początku XXI wieku, w trakcie drugiej wojny czeczeńskiej, dotarła do Polski znacznie większa grupa uchodźców. W latach 2003–2017 wnioski o ochronę międzynarodową złożyło tu ponad dziewięćdziesiąt tysięcy Czeczenów. Tylko 5,5 tysiąca dostało jakąś formę ochrony międzynarodowej w Polsce. Reszta wyjechała na Zachód.

Na początku stycznia doszło do aresztowania w Gdańsku azerskiego opozycjonisty Daszgyna Agalarly'ego, poszukiwanego przez Interpol na wniosek władz Azerbejdżanu.

Dzisiaj wspólnym mianownikiem w mniej lub bardziej dramatycznych historiach czeczeńskich imigrantów jest zagrożenie ze strony reżimu Ramzana Kadyrowa, głowy Republiki Czeczenii, sprawującego w swoim kraju dyktatorskie rządy. Z punktu widzenia polskich służb odpowiadających za bezpieczeństwo kluczowy jest światopogląd imigrantów. Zwolennicy fundamentalistycznych form islamu są uważani za potencjalnych albo już przekonanych dżihadystycznych terrorystów. Takie kryterium jest jednak zbytnim uproszczeniem i może spowodować, że prawie żaden muzułmanin nie otrzyma azylu. Co więcej, nie każdy fundamentalista, salafita, a więc zwolennik bezkompromisowego powrotu do form islamu z czasów życia proroka Mahometa, jest faktycznie skłonny do terroryzmu w imię świętej wojny z niewiernymi. Komu więc przyznać azyl, a komu go odmówić?

Deportacja Czeczenów do Rosji oznacza zagrożenie dla ich życia. Na początku marca tego roku media odnotowały deportację dwudziestojednoletniej Czeczenki Chedy do Federacji Rosyjskiej. Nie pomógł protest posłów lewicy na lotnisku w dniu wylotu dziewczyny do Moskwy. Z opowieści Chedy wynika, że władze w Groznym poszukują jej ojca. W realiach czeczeńskich stosuje się zbiorową odpowiedzialność,

eprasa.pl 6f35c91f82

zemsta za działanie jednego członka rodziny może dosięgnąć każdego z jego bliskich. Dziennikarze i obrońcy praw człowieka od lat zwracają też uwagę na sytuację Czeczenów na polsko-białoruskiej granicy w Brześciu. Uchodźcy miesiącami bezskutecznie starają się o azyl w Polsce. Negatywne decyzje mogą tu wynikać z założenia, że Czeczenia już od dawna nie jest w stanie wojny, a nawet jeśli w Rosji tych ludzi czekają represje, to przecież Brześć należy do Białorusi, więc nie podlega pod rosyjską jurysdykcję. Takie podejście wynika z naiwności lub świadomego ignorowania zagrożeń ze strony ludzi Kadyrowa.

26 lutego tego roku w szwedzkim mieście Gävle youtuber i krytyk reżimu Kadyrowa Tumso Abdurachmanow został zaatakowany młotkiem w mieszkaniu podczas snu. Udało mu się obezwładnić napastnika. Ten przyznał się, że został przysłany z Groznego, na razie rzekomo tylko po to, aby zastraszyć Abdurachmanowa.

Co ciekawe, youtuber do niedawna mieszkał w Polsce i starał się tu od 2017 roku o azyl. Czeczenię opuścił w 2015 roku. Przypadkowo „podpadł" jednemu z krewnych Kadyrowa podczas spotkania w centrum Groznego. Mężczyźnie nie spodobała się broda Tumsa; uznał ją za salaficką. Ten z pozoru śmieszny epizod oznaczał wybór między zgoleniem brody i upokarzającym pokajaniem się przed władzami albo byciem uznanym za niebezpiecznego radykała i terrorystę. Niepokorny Tumso wybrał ścieżkę buntu, równoznaczną z koniecznością emigracji. W Czeczenii Kadyrowa nie ma miejsca na choćby najmniejszy gest sprzeciwu wobec władzy.

W szwedzkim mieście Gavle youtuber i krytyk reżimu Kadyrowa Tumso Abdurachmanow został zaatakowany młotkiem w mieszkaniu podczas snu.

Występy Tumsa na YouTubie mają charakter przede wszystkim polityczny. Są ostrą krytyką reżimu w Groznym. Dzięki talentowi vlogerskiemu Abdurachmanow zyskał popularność w Czeczenii, a tym samym jest wrogiem numer jeden kadyrowców, zwłaszcza przewodniczącego czeczeńskiego parlamentu, Magomieda „Lorda" Daudowa. Tumso ośmieszał go w swoich internetowych wystąpieniach. „Lord" obiecał swojemu krytykowi krwawą zemstę, zgodnie z kaukaskim prawem zwyczajowym. Wszystko wskazuje na to, że nocny napad w Gävle był próbą jej urzeczywistnienia.

Rodzina Abdurachmanowa w 2018 roku uzyskała zezwolenie na pobyt w Polsce, vloger spotkał się jednak z odmową przyznania azylu. Najprawdopodobniej dlatego wyjechał do Szwecji. Łatwo się domyślić, dlaczego Tumso jest postacią kontrowersyjną dla polskich władz. Nazwa jego kanałów na YouTubie i Telegramie brzmi z arabska: Abu-Saddam Shishani. Laikowi może się kojarzyć z nazwiskiem jakiegoś watażki z Państwa Islamskiego czy innej dżihadystycznej organizacji, choć *Sziszani*

eprasa.pl 6f35c91f82

to po arabsku po prostu Czeczen. Co więcej, Tumso, jak przystało na religijnego muzułmanina, zaczyna swoje youtubowe wystąpienia od islamskiego pozdrowienia po arabsku.

To oczywiście jeszcze nie powód, by uznać go za terrorystę. Zapewne bardziej niepokojące dla polskich służb oceniających wniosek azylowy Tumsa były oskarżenia władz czeczeńskich o jego związki z Państwem Islamskim. Nawet one może zostałyby zignorowane, lecz niestety, w 2015 roku azylu odmówiła mu demokratyczna i prozachodnia Gruzja. Można jedynie domyślać się przyczyny takiej decyzji Gruzinów, warto jednak pamiętać, że gruzińskie MSW i tamtejsza służba bezpieczeństwa same nie cieszą się zbyt dobrą reputacją.

Jaką politykę względem kaukaskich dysydentów powinna prowadzić Polska? Czy mamy unikać konfliktów z autorytarnymi rządami, które ścigają na naszym terytorium swoich przeciwników? A może wzorem prometejskiej polityki II RP powinniśmy okazać wsparcie opozycjonistom i budować pozytywny wizerunek Polski nie w oczach przedstawicieli represyjnych reżimów, ale obywatelskich społeczeństw krajów regionu? Nie ma łatwej odpowiedzi na to pytanie. Jedno jest pewne: polscy urzędnicy i decydenci będą coraz częściej zmuszeni udzielać na nie odpowiedzi.

Konrad Zasztowt jest antropologiem, turkologiem i politologiem, wykładowcą na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

prenumerata



Aby zamówić
prenumeratę kwartalnika „Czas Literatury”
należy wypełnić formularz na stronie www.czasliteratury.pl/prenumerata/
oraz dokonać wpłaty na konto bankowe Biblioteki Kraków:

Bank PKO BP 93 1020 2892 0000 5302 0627 7638
Biblioteka Kraków, Pl. Jana Nowaka Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

W tytule przelewu prosimy dopisać informację:
„Prenumerata „Czas Literatury” 2020, nr 1–4”

koszt czterech numerów: 40 zł | kontakt: dagmara.smola@biblioteka.krakow.pl

Czytaj również online na

woblink.com

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA



Czytaj najlepszą literaturę z krajów Europy Środkowo-Wschodniej na **www.rozstaje.art**



... i wesprzyj organizację 2. edycji warsztatów translatorskich w 2020 r.

Stowarzyszenie Animacji Kultury Pogranicza "Folkowisko"
Gorajec 14, 37-611 Cieszanów
nr. konta: 29 1140 1081 0000 2604 2400 1001
tytuł przelewu: Darowizna na cele statutowe – Rozstaje

Fot. Gosia Kawka, Foto © Cai Caslavinieri

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

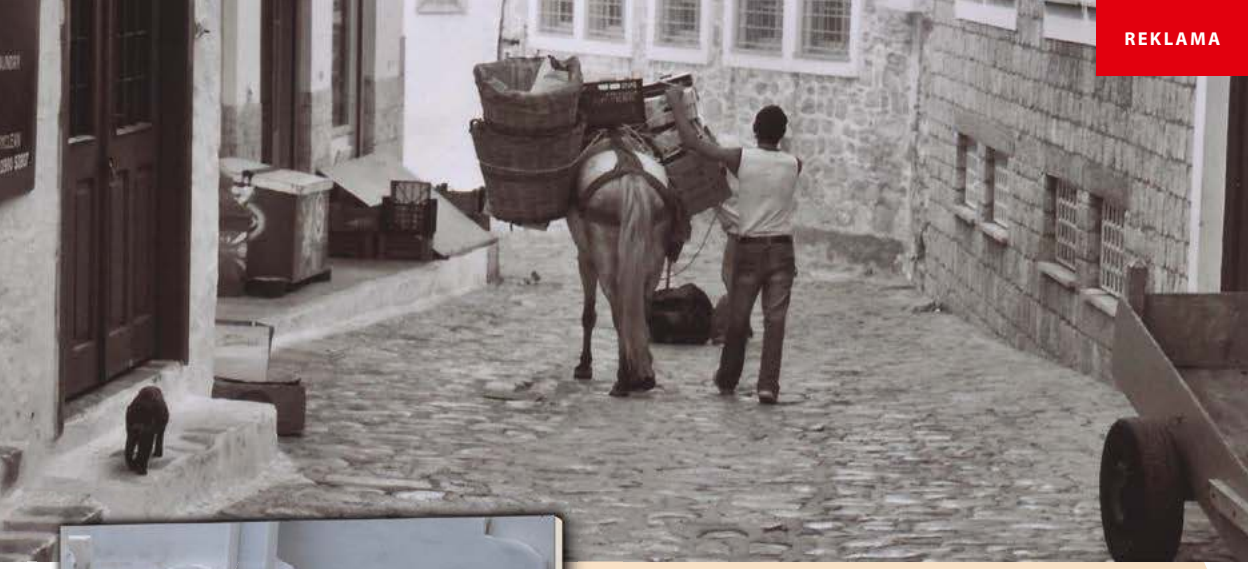



(…) „Moja Grecja" – czyli opowieść o Krzyśkowym szczęściu. Nazywa rzeczy po imieniu.
Pisze: „jestem szczęśliwy". A ja to widzę, czuję, ja to pamiętam.
Melina Mercouri, Agios Nikolaos, Peloponez, – towarzyszyli mu nawet wtedy, kiedy siedział za swoim biurkiem, otoczony książkami Prousta, Brodskiego, Czapskiego, Grassa (…)

Łukasz Maciejewski

Krzysztof Zastawny
Moja Grecja

Książka dostępna w dobrych księgarniach
oraz na naszej stronie http://przegladpolityczny.pl

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

EVEN MORE CONTENT ON CENTRAL AND EASTERN EUROPE



Talk Eastern Europe
hosted by Adam Reichardt & Maciek Makulski

In Between Europe
hosted by Zselyke Csaky and Gergely Romsics

New Eastern Europe

WWW.NEWEASTERNEUROPE.EU/PODCASTS

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA



RAPORT O STANIE ŚWIATA DARIUSZA ROSIAKA

każda **sobota i środa** na
www.raportostanieswiata.pl

YouTube Spotify Anchor

Podcast w całości finansowany ze środków Słuchaczy.
Wspieraj nas na patronite.pl

cmasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

wydawnictwo
KEW

Nowość



Uczty Baltazara
Fazil Iskander

Abchazja kochała Iskandera
tak, jak Polska Jana Pawła II.
I tak samo go nie słuchała.

Wojciech Górecki

Czegemiacy jednak nie z tych, co poddają się bez walki! Teraz miał się rozstrzygnąć los najlepszego tancerza, i ten coś sobie na tę chwilę zostawił. Bacznie mierząc wzrokiem dystans dzielący go od nogi towarzysza Stalina, starał się wyczuć chwilę, kiedy Stalin i Łakoba nie będą zmieniać pozycji; ruchem rycerza zakrywającego twarz przyłbicą zarzucił baszłyk na oczy, huknął po czegemsku i rzucił się w stronę towarzysza Stalina.

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu

New Eastern Europe

Nowa Europa Wschodnia

KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

WYDAWNICTWO
WARSZTATY KULTURY

Najwybitniejsi autorzy z Ukrainy, Białorusi i Litwy
- Seria wydawnicza Wschodni Express

W naszej kolekcji m.in. jeden z 5 najlepszych reportaży wybranych do finału nagrody **im. Ryszarda Kapuścińskiego**



WSCHODNI EXPRESS

WARSZTATY KULTURY

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA LUBLIN

Lublin
MIASTO INSPIRACJI

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA

Instytut Europy Środkowej
Institute of Central Europe



www.ies.lublin.pl/komentarze

Instytut Europy Środkowej (IEŚ)

Misją Instytutu Europy Środkowej jest merytoryczne wsparcie polityki zagranicznej Rzeczypospolitej Polskiej poprzez prowadzenie wysokiej jakości działalności badawczej i analitycznej oraz przekazywanie interesariuszom polskim rzetelnej wiedzy na temat procesów społecznych, politycznych, gospodarczych i kulturowych zachodzących w Europie Środkowej i w jej sąsiedztwie oraz dotyczącej miejsca i roli Polski w tych procesach.

Instytut Europy Środkowej

www.ies.lublin.pl

eprasa.pl 6f35c91f82

Polscy Ukraińcy – współobywatele czy ledwo tolerowany margines?

Izabella Chruślińska

W Polsce nadal ograniczona jest świadomość, że polscy Ukraińcy są pełnoprawnymi Polakami jako obywatele Rzeczypospolitej narodowości ukraińskiej. Co więcej, są autochtonami, na terytoriach dzisiejszej wschodniej Polski mieszkali przez wieki, chociaż mają odrębną tożsamość jako mniejszość narodowa.

Polskich Ukraińców od Ukraińców z Ukrainy, nawet zachodniej, różni przede wszystkim odmienna historia, poczynając od drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku. Głównymi wyznacznikami odmienności ich losów są: tragedia deportacji na sowiecką Ukrainę w latach 1944–1946, wywózki na tak zwane Ziemie Odzyskane w ramach akcji „Wisła", piętno antyukraińskiej propagandy lat PRL-u oraz trudne losy w Polsce po 1989 roku. Jeszcze gorzej w naszym kraju wygląda świadomość, że kultura, historia i losy tej społeczności są integralną częścią historii i kultury Polski oraz że także Polacy ponoszą odpowiedzialność za wspólną historię.

Z tej świadomości powinna wynikać troska o zachowanie kultury Ukraińców z pogranicza, ich „małych ojczyzn", upowszechnianie jej wkładu w bogactwo kultury Polski, praca edukacyjno-informacyjna włożona w przybliżenie złożoności jej dziejów, wpisanych również w naszą historię. Jeśli jak najwięcej obywateli oraz polskie elity polityczne zrozumieliby, że mniejszość ukraińska jest integralną częścią polskiego społeczeństwa, Ukraińcy z Polski wreszcie mogliby poczuć, że są pełnoprawnymi współobywatelami kraju, nie zaś ledwie tolerowanym marginesem. To także jeden z podstawowych warunków poprawy nastawienia Polaków do imigrantów z Ukrainy, a w przyszłości – do ich integracji.

Jacek Kuroń słusznie podkreślał, że „zmieniać stosunki polsko-ukraińskie trzeba przede wszystkim poprzez zmianę nastawienia Polaków do Ukraińców, którzy mieszkają w Polsce". Tak się jednak nie dzieje! W ostatnich pięciu latach do rozpowszechnionej w polskim społeczeństwie obojętności i braku wiedzy na temat polskich Ukraińców dołączyła rozlewająca się coraz szerzej fala hejtu i agresji, skie-

eprasa.pl 6f35c91f82

rowana przeciw wszystkiemu, co ukraińskie. Uderza ona zarówno w imigrantów z Ukrainy, jak i autochtoniczną społeczność ukraińską. Wyjątkowo haniebnym przejawem postaw antyukraińskich jest barbarzyńskie niszczenie na terytorium naszego kraju ukraińskich grobów, pomników i krzyży, a także towarzyszący występkom brak stanowczego potępienia ze strony władz i instytucji państwowych odpowiadających za pochówki oraz politykę wobec mniejszości narodowych. Zrobiono to po raz pierwszy od pięciu lat dopiero w styczniu tego roku, po kolejnym zniszczeniu grobu w Monasterzu i przed wizytą prezydenta Wołodymyra Zełenskiego w Polsce, ale na razie to wszystko.

Bolesne doświadczenia najnowszej historii

Losy społeczności ukraińskiej na terenach Polski są tragiczne i niezwykle trudne. Świadomość tego jest w naszym kraju ograniczona, dotyczy niemal wyłącznie wypędzeń w ramach akcji „Wisła". Niektórzy Polacy kojarzą jeszcze, że PRL realizował po deportacjach antyukraińską politykę wobec polskich Ukraińców. Tymczasem na dramatyczne i złożone losy tej grupy obywateli składa się także wiele wcześniejszych bolesnych doświadczeń historycznych. W okresie II RP Ukraińcy byli obywatelami drugiej kategorii. Zdecydowanie ograniczano im możliwość rozwoju kultury narodowej, promowano podziały wewnętrzne i poddawano ich przymusowej polonizacji. Nierzadko stosowano wobec nich terror państwowy (aresztowania, pobicia, tortury, zabójstwa), przeprowadzono akcję rewindykacji i burzenia prawosławnych cerkwi oraz siłą nawracano prawosławnych Ukraińców na katolicyzm.

W okresie II RP Ukraińcy byli obywatelami drugiej kategorii. Zdecydowanie ograniczano im możliwość rozwoju kultury narodowej, promowano podziały wewnętrzne i poddawano ich przymusowej polonizacji.

Te wszystkie działania ze szczególną intensywnością II RP prowadziła wobec Ukraińców mieszkających w dzisiejszej Polsce jako grupy pogranicznej, więc postrzeganej jako najsłabsza. Potem nastąpił najtragiczniejszy okres w dziejach obu naszych narodów – nazistowska i sowiecka okupacja, zbrojny konflikt między obiema społecznościami nie tylko na Wołyniu, ale również na ziemiach wchodzących w skład obecnej Polski. We wschodniej Polsce zginęło w nim znacznie więcej Ukraińców z rąk polskich i sowieckich niż Polaków na skutek działań ukraińskich. Po II wojnie światowej polscy Ukraińcy zostali poddani masowemu terrorowi ze strony państwa polskiego. Była to część prowadzonej przez Sowietów wielkiej operacji bezwzględnej pacyfikacji antykomunistycznego ukraińskiego ruchu

eprasa.pl 6f35c91f82

oporu na zachodniej Ukrainie. PRL dokonał wówczas przymusowej deportacji około pięciuset tysięcy Ukraińców do ZSRR. Ci, którzy pozostali jako obywatele polscy (około stu pięćdziesięciu tysięcy osób), przeżyli najpierw przymusowe przesiedlenie w ramach akcji „Wisła" (w jej trakcie kilka tysięcy Ukraińców uwięziono w obozie koncentracyjnym w Jaworznie), a następnie cztery dekady polityki przymusowej asymilacji, propagandy PRL-u oraz inwigilacji ze strony służb.

Także w PRL-u Ukraińcy byli uznawani za obywateli drugiej kategorii. Pracujące pełną parą antyukraińska polityka i machina propagandowa dały efekt w postaci społecznej akceptacji dla działań depczących prawa i godność społeczności ukraińskiej. Na domiar złego Ukraińcy z Polski byli zarówno w okresie stalinowskim, jak i przez cały czas istnienia PRL-u poddani stałemu nadzorowi oraz inwigilacji SB i sowieckiego KGB. W środowisku mniejszości ukraińskiej rozbudowano siatkę tajnych współpracowników (TW), okresowo dokonywano prowokacji (na czele ze słynną operacją utworzenia fikcyjnej struktury OUN w Polsce). Jedną z ostatnich takich operacji, akcję „Bumerang", SB i sowieckie służby zrealizowały w połowie lat osiemdziesiątych.

Oczywiście w okresie powojennym również Polacy doświadczyli różnych form przemocy i opresji ze strony totalitarnej machiny PRL-u. Oni jednak mieli poczucie, że to ich kraj, odczuwali narodową solidarność, mogli liczyć na wsparcie niezależnych silnych instytucji kościelnych.

Nadzieja i rozczarowanie

Nadzieja na poprawę sytuacji społeczności ukraińskiej w Polsce pojawiła się wraz z „Solidarnością" i zmianami 1989 roku. Pod wieloma względami okazał się on przełomowy również dla tutejszych Ukraińców. Wielu z nich zaangażowało się w działania ruchu „Solidarności" oraz Komitety Obywatelskie wspierające wybory. Wydawało się, że po latach życia z szerzonym przez władze i propagandę PRL-u piętnem „hajdamaków", „rezunów", „banderowców", budowanie z udziałem Ukraińców niepodległej i demokratycznej Polski przyczyni się do rewolucyjnych zmian w ich położeniu.

Rzeczywiście, przestały obowiązywać zakazy ograniczające rozwój życia społecznego, kulturalnego i religijnego tej społeczności. Przedstawiciele mniejszości ukraińskiej zostawali politykami samorządowymi, a nawet posłami na Sejm RP. Dzięki własnej aktywności oraz działaniom stworzonych przez siebie organizacji pozarządowych czynnie uczestniczyli w procesie budowy społeczeństwa obywatelskiego. Po 1989 roku nastąpił także rozwój ukraińskich prasy i szkolnictwa. Naukowcy, historycy i filolodzy wywodzący się ze społeczności ukraińskiej zaczęli brać aktywny udział w życiu naukowym w Polsce i na Ukrainie, wzmocniły się kontakty z diasporą ukraińską na Zachodzie.

eprasa.pl 6f35c91f82

Choć systemowe zmiany w Polsce wniosły wiele nowego i dobrego w życie polskich obywateli narodowości ukraińskiej, instytucjom państwa oraz społeczeństwu zabrakło wytrwałości, by dokończyć pozytywne procesy rozpoczęte w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Przede wszystkim nie podjęto konsekwentnych kroków zmierzających do uporządkowania obecności kultury i historii Ukraińców w sferze publicznej, w tym kompleksowych działań edukacyjnych na poziomie centralnym i lokalnym, w szczególności w regionach, w których do 1947 roku żyli Ukraińcy. Nie zlikwidowano wszystkich skutków wywózek z 1947 roku ani nie zrealizowano zgłaszanego od początku lat dziewięćdziesiątych przez mniejszość ukraińską postulatu powołania tak zwanej instytucji kultury ukraińskiej. Jej głównym zadaniem miało być ratowanie i propagowanie ukraińskiej tradycji i kultury pogranicza w całej Polsce. W niewielkim stopniu historię Ukraińców z Polski wpisano także w kontekst martyrologii polskiego społeczeństwa w okresie okupacji oraz komunizmu.

Dzisiaj dotkliwie odczuwamy konsekwencje tych zaniedbań. Ułatwiły one procesy, w których wyniku społeczność ukraińska w Polsce stała się w ostatnich latach zakładnikiem etnocentrycznego schematu ukazywania tragicznego wymiaru relacji polsko-ukraińskich niemal wyłącznie przez pryzmat Wołynia. Na domiar złego w Polsce mało kto zdaje sobie sprawę, że ofiarami konfliktu polsko-ukraińskiego lat 1939–1947 byli nie tylko etniczni Polacy, ale także kilkanaście tysięcy Ukraińców z terenów obecnej Polski, w większości ludności cywilnej. O nich instytucje publiczne na poziomie centralnym i lokalnym niemal nie pamiętają, mimo że byli obywatelami Polski. „Niekorzystne" fakty są przemilczane bądź marginalizowane, przywołuje się natomiast dyżurne, stawiane przez część środowisk i polityków oskarżenia wobec polskich Ukraińców o „ukraiński faszyzm", odpowiedzialność za „antypolskie ludobójstwo" oraz o brak „lojalności" wobec Polski.

Negatywne stereotypy i uprzedzenia projektowane na współobywateli pochodzenia ukraińskiego przybierają w Polsce różne formy – od napisów na murach, po niszczenie zabytków kultury materialnej (symbolicznym przykładem pozostaje zniszczenie kopuły na dawnej katedrze greckokatolickiej w Przemyślu w 1995 roku), w tym cmentarzy, kapliczek, a nawet krzyży na grobach (Werchrata, październik 2016 roku), ukraińskich miejsc pamięci i tablic. Przyrost liczby tego rodzaju antyukraińskich ataków nastąpił od roku 2014.

Trauma wypędzenia i wybiórcza pamięć

Polscy obywatele narodowości ukraińskiej nie mogą się uwolnić od historii. Ich dzisiejszą kondycję najtrafniej określa wypędzenie dokonane w 1947 roku w związku z akcją „Wisła". Rozerwanie więzi społecznych, zniszczenie regionalnych kultur,

eprasa.pl 6f35c91f82

piętno sprawców zbrodni na Polakach („niebywałej w historii ludzkości zbrodni", jak ujął to jeden z polskich polityków) – konsekwencje akcji „Wisła" nadal znacząco wpływają na możliwości rozwoju tej społeczności. O trudnej sytuacji Ukraińców w okolicach Przemyśla, Ustrzyk czy Chełma wciąż decydują lokalne uwarunkowania sięgające korzeniami końca lat czterdziestych XX wieku. Na tych terenach bycie Ukraińcem często nie spotyka się ze zrozumieniem polskiej większości.

W 1990 roku Senat RP przyjął uchwałę potępiającą akcję „Wisła" i zapowiedział naprawę krzywd wyrządzonych w jej wyniku, natomiast wieloletnie wysiłki Jacka Kuronia oraz innych polityków zmierzające do przyjęcia podobnej uchwały przez Sejm RP zakończyły się niepowodzeniem. Prezydenci RP Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński i Bronisław Komorowski wykonali, co prawda, kilka symbolicznych gestów, jednak w niewielkim zakresie wpłynęły one na zmianę nastawienia większości polskiego społeczeństwa do ukraińskich współobywateli. Nie bez znaczenia było natomiast powstanie w 1991 roku niepodległej Ukrainy. Od tego wydarzenia stosunek do polskich Ukraińców został wpisany w relacje międzypaństwowe. Ludzie ci często stają się ich zakładnikami. Najdotkliwszym przykładem jest zachowanie władz polskich w 2017 roku. Odmówiły przyznania środków organizacjom ukraińskim na przygotowanie uroczystości siedemdziesiątej rocznicy akcji „Wisła" oraz zażądały, by w kontekście tej rocznicy członkowie społeczności ukraińskiej potępili „rzeź wołyńską"!

Do wypędzenia w 1947 roku społeczność ukraińska od wieków żyła na ziemiach wschodnich dzisiejszej Polski. Ukraińcy tworzyli większość szczególnie na terenach dawnej Rusi Kijowskiej, znaczącej części terytorium II RP.

Do wypędzenia w 1947 roku społeczność ukraińska od wieków żyła na ziemiach wschodnich dzisiejszej Polski. Ukraińcy tworzyli większość szczególnie na terenach dawnej Rusi Kijowskiej, znaczącej części terytorium II RP. Zamieszkiwali nie tylko obszary wiejskie; tworzyli także aktywne społecznie, kulturalnie i gospodarczo społeczności w miastach. Przeważali w wielu miejscowościach wschodniej Polski. W latach 1918–1920 byli obywatelami II RP narodowości ukraińskiej, a po 1944 roku – PRL-u. Akcja „Wisła" była więc skierowana przeciw obywatelom Polski, takim samym jak reszta jej populacji.

Warto przypomnieć, że pomysły wysiedlenia ludności ukraińskiej pojawiały się w głowach polskich polityków i działaczy już przed II wojną światową. W 1939 roku w ramach tak zwanej akcji umacniania polskości na wschodzie administracja rządowa wspólnie z wojskiem planowała wysiedlenie z terenów Lubelszczyzny świadomych Ukraińców, liderów lokalnych społeczności, duchownych. Historyk Ma-

eprasa.pl 6f35c91f82

riusz Zajączkowski tego typu działania zmierzające do pozbawienia społeczności jej elit przyrównuje do etnocydu. Lubelszczyzna miała stać się obszarem dużej polskiej akcji kolonizacyjnej, masowej konwersji prawosławnych na katolicyzm, a działania te miały „doprowadzić do końca czystkę" Ukraińców. W planie zapisano również, że „eksterminacja prawosławia przez katolicyzm, związany integralnie z narodowością polską, byłaby najbardziej pożądana z punktu widzenia polskiej racji stanu". Akcja miała się zakończyć w 1941 roku. Jej realizację powstrzymał wybuch II wojny światowej.

Po latach antyukraińskiej polityki II RP część Ukraińców z Polski przyjęła okupację niemiecką z nadzieją na poprawę sytuacji i jako mniejsze zło wobec alternatywy panowania sowieckiego. Polacy do dzisiaj przy każdej okazji wypominają Ukraińcom ten rozdział historii. Przemilcza się natomiast niewygodną prawdę, że to władze II RP traktowaniem Ukraińców jako obywateli drugiej kategorii znacząco wzmocniły ich proniemieckie nastawienie. Nie przypomina się, że mimo polityki II RP uderzającej w mniejszość ukraińską wielu jej przedstawicieli, w tym z terenów dzisiejszej Polski, walczyło w szeregach Wojska Polskiego w kampanii wrześniowej 1939 roku; ludzie ci wykazali się odwagą, a nawet oddali za Polskę życie. Wśród ofiar zbrodni w Katyniu znajdują się i Ukraińcy, między innymi Szymon Fedorońko, naczelny kapelan wyznania prawosławnego, pochodzący z Czerteżu pod Sanokiem. Jego dwaj synowie byli oficerami AK, walczyli i zginęli w powstaniu warszawskim, trzeci zaś został zestrzelony w trakcie misji bombowej nad Niemcami. Ukraińcy służyli w armii generała Andersa. W potocznym przekazie, publicystyce, a nawet opracowaniach historycznych nadal dominuje jednostronny, utrwalony w okresie PRL-u obraz polskich Ukraińców jako kolaborantów nazistowskich Niemiec.



Nadal dominuje jednostronny, utrwalony w okresie PRL-u obraz polskich Ukraińców jako kolaborantów nazistowskich Niemiec.

Wielu Polaków nie wie lub nie chce pamiętać, że akcja „Wisła" dotknęła społeczność ukraińską po kilku latach terroru i represji. Sowieckie wywózki polskich Ukraińców na przykład z ziemi jarosławskiej do Besarabii czy na Sybir i nazistowskie na przymusowe roboty do III Rzeszy, eksterminacja ukraińskich cywilów dokonana przez niemieckich i sowieckich okupantów, siły zbrojne i bezpieczeństwa PRL-u oraz polskich i sowieckich partyzantów, przymusowy pobór polskich Ukraińców do Armii Czerwonej – wszystkie te dramaty do dziś są znane tylko wąskiemu gronu, głównie historyków, podobnie jak liczny udział Ukraińców ze wschodniej Polski w szeregach wyzwalającego kraj spod okupacji hitlerowskiej komunistycznego Wojska Polskiego czy ich wkład w powojenną odbudowę kraju.

eprasa.pl 6f35c91f82

Do 1947 roku Ukraińcy z Polski integrowali się kulturowo przede wszystkim wokół życia religijnego oraz instytucji samoorganizacji społecznej: spółdzielni, instytucji oświatowych, amatorskich kół teatralnych, chórów. Był to dorobek wielu wieków obecności materialnej i duchowej Ukraińców na tych ziemiach. Polityka polskich władz (niekiedy również Kościoła rzymskokatolickiego) w latach 1944–1989 roku przyczyniła się do bezpowrotnego zniszczenia wielu elementów tej tradycji. Ukraińcy z pogranicza pochodzili ze zróżnicowanych regionów, mówili lokalnymi dialektami języka ukraińskiego, wytworzyli odmienne obyczaje i kultury. Powojenne akty terroru i represji oraz wypędzenia w 1947 roku wyrwały tych ludzi z ich lokalnego środowiska, pozbawiły ich możności kultywowania tego, co przesądzało o ich tożsamości zarówno jako narodu, jak i jednostek.

Do opuszczonych w wyniku akcji „Wisła" ukraińskich gospodarstw – tych, które nie zostały zniszczone – weszli Polacy. Ukraińskie cerkwie, cmentarze czy przydrożne kapliczki były, a w niektórych miejscach nadal są, niszczone i dewastowane z polecenia lub za przyzwoleniem władz, ale też często z własnej inicjatywy przez nowych mieszkańców. Bywało, że księża rzymskokatoliccy po przejęciu opuszczonych cerkwi niszczyli ikony, zmieniali całkowicie charakter i wystrój świątyń. Gdy po 1956 roku, po ponad dekadzie ścisłego zakazu, grekokatolikom pozwolono odprawiać nabożeństwa, bywało, że to właśnie polscy współobywatele w południowo-wschodniej Polsce nie dopuszczali do sprawowania liturgii lub je utrudniali. Wysyłali nawet donosy do SB.

Gorzka lekcja trzydziestolecia

Niestety, po 1989 roku nie stworzyliśmy społeczności ukraińskiej w Polsce prawdziwych warunków do wspólnej publicznej dyskusji, umożliwiającej przepracowanie traumy, jaką są dla tych ludzi tragiczne doświadczenia XX wieku. A był to i jest warunek *sine qua non* ich normalnej egzystencji. Nie szukaliśmy wspólnie z Ukraińcami z Polski symbolicznego sensu tej traumy. W naszym społeczeństwie nadal brakuje głębszej refleksji nad polityką narodowościową PRL-u. Odwołując się nierzadko do endeckiego paradygmatu, paradoksalnie odegrała ona skrajnie negatywną rolę w kształtowaniu naszej mentalności. Mimo wielu zmian, jakie zaszły w Polsce po 1989 roku, nadal niewielki margines Polaków rozumie tragedię Ukraińców i odczuwa empatię wobec nich. Dlatego tak łatwo przychodzi nam ignorowanie aktów barbarzyńskiego niszczenia ukraińskich grobów i pomników, hejtu. Przecież to dotyczy „obcych", nie nas.

Znaczący w tym kontekście jest głos rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara. Zwrócił on uwagę, że zapewnienie należytej ochrony miejscom pamięci ważnym

eprasa.pl 6f35c91f82

dla mniejszości ukraińskiej w Polsce może dać asumpt do przepracowania trudnej, lecz wspólnej polsko-ukraińskiej historii, w tym wynikających z niej traum. To zaś nigdy nie będzie możliwe bez zrozumienia potrzeb i uczuć obu stron. Konieczne jest także zbudowanie wspólnej świadomości – poprzez działania edukacyjne oraz aktywizację obywateli obu narodowości. Pozwoli to na lepsze poznanie i wzajemne zrozumienie naszych kultur.

*

W tym roku Związek Ukraińców w Polsce obchodzi trzydziestą rocznicę powstania. Z tej okazji życzę społeczności ukraińskiej, Związkowi oraz nam wszystkim, abyśmy wbrew działaniom tych, którzy świadomie czy z niewiedzy „rzucają kłody pod nogi" wspólnej sprawie, tę pozytywną rewolucję w sytuacji społeczności ukraińskiej w Polsce, którą miał przynieść rok 1989, w końcu zrealizowali!

Iza Chruślińska jest publicystką, działaczką społeczną na rzecz Ukrainy i społeczności ukraińskiej w Polsce, autorką książek poświęconych Ukrainie, relacjom polsko-ukraińskim i ukraińsko-żydowskim.

eprasa.pl 6f35c91f82

„Kresy Zachodnie” Ukraińskie dziedzictwo wschodnich ziem III Rzeczypospolitej

Grzegorz Kuprianowicz

Na znacznej części wschodnich ziem III Rzeczypospolitej przez stulecia rozwijały się ukraińskie kultura i język. Dzisiaj polskie społeczeństwo często nie dostrzega lub nie docenia ukraińskiego wymiaru dziedzictwa kulturowego tych ziem.

Przez wieki dzisiejszą Polskę wschodnią zamieszkiwała ludność przynależna do przestrzeni kulturowo-etniczno-językowej, którą w różnych okresach dziejów nazywano ruską, potem małoruską czy rusińską, a od XIX wieku stopniowo upowszechniał się nowy etnonim – ukraińska. Jej dziedzictwo kulturowe obecne jest na obszarze pięciu województw Rzeczypospolitej: we wschodniej i południowej części podkarpackiego, na południowym wschodzie małopolskiego, we wschodniej części lubelskiego, w południowo-wschodniej części podlaskiego, a nawet na wschodnich peryferiach mazowieckiego.

Dzisiaj w społeczeństwie polskim, także na poziomie lokalnym, często nie są dostrzegane specyfika etniczna tych ziem, odmienność ich losów historycznych ani „ruski”, ukraiński komponent ich dziedzictwa kulturowego. Nawet gdy dziedzictwo to jest brane pod uwagę (na przykład w jego wymiarze konfesyjnym), nierzadko unika się wskazania, do jakiego kręgu kulturowo-etnicznego przynależy. Taka sytuacja wynika z dziesięcioleci „oczyszczania” z „obcych” elementów zarówno krajobrazu kulturowego, jak i świadomości społecznej, co skutkuje niezrozumieniem rzeczywistości kulturowej i procesów historycznych tam zachodzących.

Od Łemkowszczyzny po Podlasie

Jeszcze siedemdziesiąt pięć lat temu, czyli bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej, większość wschodnich ziem dzisiejszej Polski mniej lub bardziej zwar-

eprasa.pl 6f35c91f82

cie zamieszkiwała kilkusettysięczna autochtoniczna społeczność, która posługiwała się lokalnymi gwarami języka ukraińskiego i żyła w tradycyjnej kulturze swoich przodków. Chodzi o kilka położonych wzdłuż powojennej wschodniej granicy państwa regionów, w ukraińskiej tradycji historyczno-kulturowej zwanych Łemkowszczyzną, Bojkowszczyzną, Nadsaniem, Chełmszczyzną i Podlasiem. Ludność ta należała do jednego kręgu kulturowo-językowego, mimo to tworzyła niezwykle zróżnicowaną mozaikę kulturową. Znaczące były odmienności regionalne, specyfika lokalnych dialektów, zwyczajów, tradycji i pamięci historycznej, a także różna w przeszłości przynależność państwowa czy administracyjna.

Ziemie te w ramach ukraińskiego kręgu kulturowo-etnicznego były najbardziej na zachód i północ wysuniętym obszarem obecności ukraińskich języka i kultury. Odwołując się do obecnej w polskiej tradycji kategorii Kresów, można by powiedzieć, że Ukraińcy mieli na tych terenach swoje Kresy Zachodnie, jak swego czasu trafnie zauważył Eugeniusz Misiło. Zachodziły tu analogiczne zjawiska kulturowe i społeczne jak na całym obszarze „ruskiej”, czyli ukraińskiej kultury etnicznej, ale także procesy odmienne, wynikające ze specyfiki lokalnej oraz sąsiedztwa z innymi kulturami i organizmami państwowymi. Istniały tu lokalne mikrokosmosy kulturowe – unikalne i niepowtarzalne, będące wartościową częścią kulturowej spuścizny Europy.

Poszczególne części tego terytorium w różnych momentach historii były włączane w skład państwa polskiego, co skutkowało pojawieniem się w przestrzeni kulturowej Polski nowego elementu etnicznego, odmiennego od większości społeczeństwa językowo, kulturowo, a także religijnie. Niektóre regiony zasiedlone w średniowieczu przez ludność ruską należały do Polski od końca X wieku (południowo-wschodnia Małopolska). Większość ziem wschodnich III Rzeczypospolitej weszła w skład państwa polskiego przed niemal siedmiuset laty, czyli w wieku XIV, jak ziemie przemyska i sanocka czy chełmska. Inne, jak Podlasie, znalazły się w granicach Korony w przededniu unii lubelskiej (1569), czyli przed czterystu pięćdziesięciu laty (w zeszłym roku minął zupełnie niedostrzeżony jubileusz przynależności Podlasia do Królestwa Polskiego). Są i takie tereny, które do Polski zostały włączone zaledwie przed stu laty, jak niektóre południowo-wschodnie fragmenty obecnego województwa podlaskiego, w czasach I Rzeczypospolitej wchodzące w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Język, dialekty i gwary

Na wschodnich obszarach III Rzeczypospolitej przez wieki funkcjonowały autochtoniczne gwary ukraińskie, należące do dwóch narzeczy języka ukraińskiego oraz gwar przejściowych między nimi. Do narzecza południowego zaliczane są przez ję-

eprasa.pl 6f35c91f82

zykoznawców gwary nadsańskie okolic Przemyśla i Jarosławia, gwary naddniestrzańskie (występujące na niewielkim obszarze w okolicach Hrebennego), gwary bojkowskie oraz gwary łemkowskie. Za gwary przejściowe uważa się gwary chełmskie, zachodnie peryferie gwar wołyńskich. Natomiast północne narzecze języka ukraińskiego współtworzą używane od okolic Włodawy nieco poza rzekę Narew na północy gwary podlaskie, będące z kolei zachodnią kontynuacją gwar poleskich.

Większość ziem wschodnich III Rzeczypospolitej weszła w skład państwa polskiego przed niemal siedmiuset laty, czyli w wieku XIV, jak ziemie przemyska i sanocka czy chełmska.

Gwary ukraińskie występujące na wschodnich obszarach III Rzeczypospolitej charakteryzowały się dużą różnorodnością, nierzadko nawet między sąsiednimi wsiami. Warto zwrócić uwagę, że niektóre gwary podlaskie zachowujące archaizmy (na przykład dyftongi) są swoistą językową skamieliną. Ciekawym przykładem ukształtowania się oryginalnej formy językowej, powstałej w wyniku zetknięcia się różnych kultur na pograniczu etnicznym, są gwary łemkowskie.

Kwestii językowych nie da się oddzielić od procesów kształtowania się tożsamości narodowych, stąd próby kształtowania na bazie poszczególnych gwar ukraińskich odrębnych języków, na przykład łemkowskiego czy podlaskiego. Podlaskie gwary ukraińskie są czasem określane eufemizmami, jak na przykład „język chachłacki".

Slavia Orthodoxa Ruthenae i unia z Rzymem

Jednym z kluczowych czynników determinujących rozwój historyczny i kulturowy wschodnich ziem III Rzeczypospolitej była ich przynależność do kręgu chrześcijaństwa wschodniego oraz cywilizacji bizantyjskiej. Zawdzięczały to przyjęciu prawosławia jako religii państwowej na Rusi Kijowskiej u schyłku X wieku. W toku procesu chrystianizacji ziem ruskich Przemyśl i Chełm stały się siedzibami diecezji metropolii kijowskiej, a tereny te pokryły się gęstą siecią prawosławnych cerkwi i monasterów. W ciągu stuleci rozwinęły się tu znaczące ośrodki życia religijnego, najważniejsze w miastach diecezjalnych oraz monasterach, na przykład Góra Chełmska z trwającym przez wiele stuleci kultem dwunastowiecznej chełmskiej ikony Matki Bożej, jednej z najstarszych zachowanych ikon w Europie Wschodniej. Jej losy uświadamiają złożoność zjawisk kulturowych na pograniczu. Przez stulecia była otaczana czcią w prawosławnej katedrze, by w XVII wieku stać się jedną z najważniejszych ikon Kościoła unickiego. To przy niej modlili się król Jan Kazimierz i polscy, przeważnie rzymskokatoliccy żołnierze przed bitwą pod Beresteczkiem

eprasa.pl 6f35c91f82

(1651), stoczoną z prawosławnymi ukraińskimi kozakami Bohdana Chmielnickiego wspartymi przez krymskich Tatarów.

Po wejściu tych ziem w skład państwa polskiego, a potem polsko-litewskiego, prawosławie nadal odgrywało kluczową rolę w życiu miejscowej ludności, choć stopniowo nakładano na nie ograniczenia prawne. Symbolicznym momentem stała się unia brzeska (1596). Doszło do podziału konfesyjnego społeczności ruskiej, przy czym zdecydowana większość wiernych i duchowieństwa opowiedziała się przeciwko unii. Właśnie opór w obronie prawosławia był jednym z najbardziej znaczących zjawisk w dziejach tych ziem w ciągu XVII wieku. Do najważniejszych polemistów wśród przeciwników unii należał ojciec Zachariasz Kopysteński, pochodzący z ziemi przemyskiej archimandryta Ławry Peczerskiej w Kijowie.

Na ziemiach nadbużańskich Kościół unicki zaczął dominować dopiero pod koniec XVII wieku, natomiast w diecezji przemyskiej proces umacniania unii zakończył się w pierwszej połowie wieku XVIII. Późniejsza ewolucja unii w diecezji przemyskiej i na ziemiach chełmsko-podlaskich poszła jednak różnymi drogami. Na ziemiach nadbużańskich Kościół grecko-unicki uległ stopniowo częściowej polonizacji i latynizacji, nad Sanem zaś w XIX wieku Kościół greckokatolicki przezwyciężył te zjawiska i ostatecznie zachował ruski charakter, dając oparcie początkowo ruchowi moskalofilskiemu, a potem ukraińskiemu ruchowi narodowemu. Różnice wynikały także z rozbiorów. Podlasie i Chełmszczyzna trafiły pod berło Romanowów, natomiast diecezja przemyska znalazła się w granicach Austrii (Galicja). Na Podlasiu i Chełmszczyźnie w XIX wieku doszło do likwidacji unii przez władze rosyjskie, w czego wyniku większość miejscowej ludności ponownie stała się prawosławna. Chociaż nie przywrócono tu prawosławnych tradycji sprzed unii, lecz wprowadzono zwyczaje rosyjskie, wierni funkcjonowali w ukraińskiej kulturze ludowej, a prawosławie stało się oparciem dla zachowania własnej tradycji i budowania nowoczesnej ukraińskiej tożsamości narodowej. Znaczna część prawosławnych na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu po 1905 roku przeszła na rzymski katolicyzm i stopniowo przyjmowała polską tożsamość narodową, czasem zachowując jednak (nawet do dzisiaj) język ukraiński. Nazywano ich pejoratywnie kałakutami. W diecezji przemyskiej, w szczególności na zachodniej Łemkowszczyźnie, w ciągu XX wieku także wracano do prawosławia, jednak większość wiernych pozostała grekokatolikami.

Etnos i naród na pograniczu

W okresie przednowoczesnym, gdy nie istniały jeszcze tożsamości narodowe we współczesnym rozumieniu, miejscowa ludność miała przeważnie poczucie przynależności etnokonfesyjnej do kultury ruskiej, opartej na własnym języku i cyrylicy,

eprasa.pl 6f35c91f82

oraz do prawosławia z językiem cerkiewnosłowiańskim jako liturgicznym. Centrum kulturowo-religijnym był dla niej Kijów. U elit oczywiście dochodziło do tego poczucie identyfikacji z ruską tradycją państwową, potem także z nowożytnym polskim narodem politycznym, jednak mającym dla niej podtekst ruski (istniało przecież województwo ruskie, a jeden z tytułów władców Polski brzmiał „książę ruski"). Przez kolejne wieki dzisiejsze wschodnie ziemie III Rzeczypospolitej były polsko-ruskim pograniczem etnicznym. Mimo polskiej dominacji politycznej i kulturowej społeczność ruska zachowała odrębność, choć często zawierano małżeństwa międzyetniczne, występowały dwujęzyczność, dyfuzja kulturowa i konwersje, a w efekcie powstawały grupy ze złożonymi tożsamościami.

W czasach kształtowania się nowoczesnych tożsamości narodowych, trwających od końca XVIII wieku właściwie do dzisiaj, ścierały się w tej społeczności różne koncepcje tożsamościowe. W poszczególnych regionach procesy te przebiegały odmiennie, co wiązało się z różną przynależnością państwową i administracyjną oraz pozostawaniem w kręgu oddziaływania różnych centrów kulturowych i politycznych. Obok ukraińskiej idei narodowej obecne były tu idee moskalofilskie, staroruskie, zachodnioruskie. Odwoływanie się do silnych tożsamości lokalnych poskutkowało narodzinami koncepcji narodu łemkowskiego, karpatoruskiego. Były też próby kreowania tożsamości jaćwieskiej czy poleszuckiej. Miejscowa ludność znalazła się także w kręgu oddziaływania idei narodowych sąsiednich etnosów – polskiej, białoruskiej czy rosyjskiej, za którymi często stał aparat państwowy lub siły polityczne.

Ostatecznie wśród tej ludności ukształtowała się przeważnie ukraińska tożsamość narodowa. Znaczna jej część, zachowując tożsamość etnokonfesyjną, nie miała jednak albo nadal nie ma ukształtowanej nowoczesnej tożsamości narodowej, ewentualnie doszła do innych tożsamości narodowych: polskiej, łemkowskiej, białoruskiej, rosyjskiej. Ruski/ukraiński substrat etniczny – by użyć terminologii Józefa Chlebowszczyka – stał się więc podłożem dla kształtowania różnych nowoczesnych tożsamości narodowych. Warto podkreślić, że procesy te w poszczególnych regionach zachodziły w różnym czasie, na przykład w Przemyskiem czy Sanockiem kształtowanie się ukraińskiej tożsamości narodowej przypadło na przełom XIX i XX wieku, a na północnym Podlasiu uświadomienie sobie przynależności do ukraińskiego kręgu kulturowo-językowego nastąpiło na nieco większą skalę dopiero w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Ruś: Chełm i Przemyśl

Ziemie wschodniej III Rzeczypospolitej odegrały istotną rolę w ukraińskiej tradycji państwowej i politycznej. Od schyłku X wieku były częścią Ziemi Ruskiej, jak

eprasa.pl 6f35c91f82

określano wówczas państwo zwane później Rusią Kijowską, jeden z najpotężniejszych organizmów państwowych ówczesnej Europy. Już u zarania dziejów historycznych tamtejsi mieszkańcy funkcjonowali w kręgu jednej z najbardziej rozwiniętych średniowiecznych kultur europejskich. Na pograniczu państwa kijowskiego za rządów Włodzimierza Wielkiego czy Jarosława Mądrego powstały ważne ruskie ośrodki grodowe, jak Czerwień, Przemyśl, Drohiczyn, Sanok, Chełm, w niektórych ulokowała się władza książęca.

W XIII wieku szczególną rolę odegrał Chełm. Czasy jego świetności nastały po przeniesieniu tu stolicy państwa przez jednego najwybitniejszych ruskich władców, Daniela Halickiego. Książę został pochowany właśnie w tym grodzie. Jako główny ośrodek polityczny Księstwa Halicko-Wołyńskiego, jednego z większych wówczas państw europejskich, miasto zyskało na znaczeniu na politycznej mapie Europy.

Po wejściu tych ziem w skład II Rzeczypospolitej Przemyśl, Sanok i Chełm były ważnymi ośrodkami ukraińskiego życia narodowego.

Innym ważnym – w wymiarze symbolicznym – ośrodkiem tego okresu był Drohiczyn. W 1253 roku książę Daniel został tam koronowany na króla Rusi przez legata papieskiego. Do tradycji księcia Daniela odwoływali się w XVI wieku kniaziowie Ostrogscy, a w XIX wieku sięgał po nią ukraiński ruch narodowy. W późniejszych epokach również można znaleźć przykłady świadczące o znaczeniu tych ziem w tradycji państwowej i politycznej „narodu ruskiego". Z Podlasia wywodził się przywódca pierwszego powstania kozackiego, Krzysztof Kosiński.

W pierwszej połowie XIX wieku Przemyśl stał się najważniejszym (przed Lwowem) ośrodkiem ukraińskiego ruchu narodowego, a wkrótce także znaczącym ukraińskim ośrodkiem wydawniczym. Drukowano tam wówczas więcej publikacji w języku ukraińskim niż w Kijowie i Charkowie razem wziętych. Z tej części Galicji wywodziły się kluczowe postacie ukraińskiego ruchu narodowego. Urodzony w Uluczu ksiądz Iwan Mohylnycki był autorem pierwszego studium o języku ukraińskim w Galicji oraz promotorem odrębności językowej i tożsamościowej Ukraińców od Polaków i Rosjan. Z Sieniawy koło Jarosławia pochodził pierwszy przewodniczący najważniejszej ukraińskiej organizacji oświatowo-kulturalnej w Galicji, Towarzystwa „Proswita", Anatol Wachnianin, kompozytor i jeden z liderów ukraińskiego ruchu narodowego w Galicji. Na Łemkowszczyźnie urodził się Julian Ławrowski, wybitny prawnik i kompozytor, również przewodniczący „Proswity".

W pierwszych dekadach XX wieku w Przemyślu, Sanoku i wielu innych miejscowościach Przemyskiego, Bojkowszczyzny i Łemkowszczyzny istniały już setki ukraińskich instytucji i organizacji o charakterze kulturalnym, oświatowym, go-

eprasa.pl 6f35c91f82

spodarczym. Nie przypadkiem najważniejszym ideologiem Strzelców Siczowych, ukraińskich Legionów podczas I wojny światowej, oraz głównym działaczem galicyjskiej socjaldemokracji był Wołodymyr Starosolski, syn burmistrza Jarosławia. Jego ojciec, grekokatolik, czuł się Polakiem, a matka była Polką niemieckiego pochodzenia. Starosolski doszedł do tożsamości ukraińskiej w młodości, prawdopodobnie pod wpływem Stanisława Ludkewycza, kolegi ze szkolnej ławy, a w przyszłości jednego z najwybitniejszych ukraińskich kompozytorów.

O wiele skromniejsze możliwości działania ukraińskiego ruchu narodowego były na Chełmszczyźnie i Podlasiu, znajdujących się pod rządami Romanowów. Także tam podejmowano wszak działania na rzecz zachowania „ruskiego" dziedzictwa, a na początku XX wieku próbowano budować zręby ukraińskiego ruchu narodowego, czego przejawem było między innymi powstanie w 1907 roku dwóch ukraińskich organizacji oświatowo-ekonomicznych: Towarzystwa im. Tarasa Szewczenki oraz Towarzystwa „Proswita".

Ważnym elementem ukraińskiej pamięci historycznej tych ziem jest budowanie na początku XX wieku państwowości ukraińskiej, zarówno Ukraińskiej Republiki Ludowej, jak i Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Z tych terenów wywodzi się wiele ważnych postaci zaangażowanych w te procesy. Członkami Ukraińskiej Rady Centralnej – parlamentu Ukraińskiej Republiki Ludowej, który w 1918 roku proklamował niepodległość Ukrainy – byli podlasianie Tymisz Ołesijuk oraz Iwan Kraskowski. Ten ostatni kierował także Ukraińską Misją Dyplomatyczną w Gruzji. W Chełmie urodził się (choć jego rodzice pochodzili z Naddnieprza) Mychajło Hruszewski, najwybitniejszy ukraiński historyk, niekwestionowany lider ukraińskiego ruchu narodowego w pierwszych dekadach XX wieku i przewodniczący Ukraińskiej Rady Centralnej. Choć Hruszewski mieszkał w Chełmie tylko przez kilka pierwszych lat życia, często podkreślał przywiązanie do miejsca swojego urodzenia. Z Przemyśla pochodził Stepan Fedak, minister aprowizacji w rządzie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej.

Po wejściu tych ziem w skład II Rzeczypospolitej Przemyśl, Sanok i Chełm były ważnymi ośrodkami ukraińskiego życia narodowego. Na Nadsaniu, Bojkowszczyźnie i Łemkowszczyźnie kontynuowały działalność liczne ukraińskie instytucje i organizacje, choć w warunkach trudniejszych niż wcześniej. Próby budowania ukraińskiego ruchu narodowego podjęto na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu, powstała na przykład regionalna organizacja kulturalna Towarzystwo „Ridna Chata". Na początku lat dwudziestych Chełm stał się głównym ośrodkiem politycznym Ukraińców z całego byłego zaboru rosyjskiego (Wołyń, Polesie, Chełmszczyzna, Podlasie), a przewodniczącym Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej w polskim parlamencie (1922–1923) był chełmianin Antoni Wasyńczuk, wcześniej mini-

eprasa.pl 6f35c91f82

ster pełnomocny Ukraińskiej Republiki Ludowej (1918–1919) i członek Ukraińskiej Rady Centralnej.

Cerkwie, ikony i poeci

Ziemie wschodnie dzisiejszej Polski przez stulecia miały wielki wkład w rozwój kultury ukraińskiej. W XIII wieku jednym z najważniejszych ośrodków kulturalnych na Rusi był Chełm, gdzie zebrała się ówczesna elita intelektualna państwa. Najliczniejsze w regionie fundacje książęce sprzyjały rozwojowi ważnego ośrodka artystycznego. To właśnie tutaj powstawał latopis nazwany później halicko-wołyńskim, a dwaj pierwsi tworzący go latopisarze należeli do otoczenia księcia Daniela i działali w Chełmie. Z końca XIII wieku pochodzi też wykonany zapewne w Chełmie Ewangeliarz Chełmski, cenny zabytek sztuki ruskiej, wyróżniający się kunsztownymi zdobieniami z motywami ornamentalnymi.

Wychowany jako grekokatolik, Nowosielski przyjął prawosławie, a jego dzieła spotkamy zarówno w świątyniach prawosławnych, jak i katolickich obu obrządków.

Ważną rolę kulturotwórczą odgrywały Przemyśl, Sanok i liczne monastery. W XVI–XVII wieku między innymi w Zamościu, Krasnymstawie, Bielsku, Drohiczynie, Przemyślu, Sanoku, Jarosławie i Chełmie powstawały i miały duże znaczenie prawosławne bractwa cerkiewne. Z Sanoka pochodził Mychajło Wasyłewycz, współtwórca szesnastowiecznego iluminowanego Ewangeliarza Peresopnickiego, będącego przekładem Ewangelii na ówczesny literacki język staroukraiński. Na ten uznawany za skarb narodowy Ukrainy manuskrypt składa przysięgę każdy prezydent elekt.

W XVIII wieku wraz z polonizacją elit (arystokracja, średnia szlachta) bardzo osłabła ruska kultura wysoka, natomiast w poszczególnych regionach funkcjonowała oraz rozwijała się różnorodna i bogata ludowa kultura tradycyjna. Symbolami kontynuacji tej tradycji kulturowej w XX wieku mogą być postacie twórców z Łemkowszczyzny i Podlasia. Pochodzący z Krynicy Epifanij Drowniak, zwany Nikiforem Krynickim, ze swoją genialną twórczością stał się zjawiskiem w historii sztuki światowej. Na południowym Podlasiu tworzył inny prymitywista, „malarz ogrodów" Bazyli Albiczuk, także poeta tworzący w języku ukraińskim.

Wielkie znaczenie miała na ziemiach wschodnich III Rzeczypospolitej architektura cerkiewna. Rozwija się tu od czasów chrystianizacji i zdołała wykształcić oryginalne nurty. Miejscowe dziedzictwo sakralne zostało w dużym stopniu utracone na skutek świadomego niszczenia, między innymi w akcji burzenia cerkwi prawo-

eprasa.pl 6f35c91f82



Ewangeliarz Peresopnicki

sławnych na Chełmszczyźnie i południowym Podlasiu w 1938 roku, gdy decyzją władz II Rzeczypospolitej podczas dwóch miesięcy w czasach pokoju zniszczono co najmniej sto dwadzieścia siedem świątyń. W okresie powojennym, już po wysiedleniach, skazano na zniszczenie lub po prostu burzono dziesiątki cerkwi prawosławnych i greckokatolickich. Procesy te spowodowały „oczyszczenie" lokalnego krajobrazu kulturowego ze zdecydowanej większości cerkwi. Wśród ocalonych świątyń zachowały się jednak prawdziwe perełki: gotyckie cerkwie obronne w Posadzie Rybotyckiej i Kodniu, cerkiew w Szczebrzeszynie (przez pewien czas zbór kalwiński, obecnie najstarszy obiekt sakralny w Polsce będący we władaniu Kościoła prawosławnego), osiem drewnianych cerkwi (wszystkie wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO): w Powroźniku, Chotyńcu, Radrużu, Smolniku, Turzańsku, Kwiatoniu, Owczarach (Rychwałdzie) i Brunarach.

Rozwijała się także sztuka pisania ikon. Stała się ważnym źródłem inspiracji dla Jerzego Nowosielskiego, jednego z najwybitniejszych polskich malarzy XX wieku. Wychowany jako grekokatolik (jego ojciec pochodził z Odrzechowej pod Sanokiem), przyjął prawosławie, a jego dzieła spotkamy zarówno w świątyniach prawosławnych, jak i katolickich obu obrządków.

Z tych terenów wywodzili się lub działali na nich wybitni muzycy. W Jaworniku Ruskim urodził się ksiądz Mychajło Werbycki, wybitny kompozytor, autor muzyki

eprasa.pl 6f35c91f82



Joanna Pyka

Cerkiew św. Onufrego w Posadzie Rybotyckiej

do hymnu Ukrainy *Szcze ne wmerła Ukrajina*, przedstawiciel tak zwanej przemyskiej szkoły muzycznej. Jej reprezentantami byli również wspomniani już Julian Ławrowski i Anatol Wachnianin. W Jarosławiu urodził się Stanisław Ludkewycz, jedna z kluczowych postaci w dziejach muzyki ukraińskiej.

Ziemie dzisiejszej wschodniej Polski dały wybitnych twórców także ukraińskiej literaturze. Na początku XX wieku na Chełmszczyźnie pojawiła się grupa literatów piszących w języku ukraińskim, z Wołodymyrem Ostrowskim na czele. Przez wiele lat żyła i tworzyła w Przemyślu (tam też zmarła i jest pochowana) wybitna ukraińska poetka Ulana Krawczenko. Jednym z klasyków literatury ukraińskiej jest wyjątkowo oryginalny poeta Bohdan Ihor Antonycz, urodzony na Łemkowszczyźnie.

Zniszczone i zapomniane dziedzictwo

Ukraińskie historia i kultura wschodnich ziem III Rzeczypospolitej są integralną częścią dziedzictwa historycznego Ukraińców. Jak trafnie ujął to ukraiński badacz z Podlasia Jerzy Hawryluk, „Sanok, Przemyśl, Chełm czy Drohiczyn i Bielsk są

eprasa.pl 6f35c91f82

dla nas, Ukraińców, takimi samymi nieodłącznymi elementami naszej przestrzeni historyczno-kulturowej jak dla Polaków te wszystkie miejsca wpisane w ich narodowe dziedzictwo, które znajdują się poza obecnymi granicami Polski". Jednocześnie dziedzictwo to, choć nie należy do polskiej kultury etnicznej, jest częścią spuścizny kulturowej i historycznej Rzeczypospolitej. Nie sposób zrozumieć historii tych ziem, ale także Polski, oraz ich kultury bez uwzględnienia komponentu ukraińskiego. Usuwanie ukraińskiego dziedzictwa wschodnich ziem III Rzeczypospolitej z pamięci historycznej czy przemilczanie jego ukraińskiego charakteru nie tylko zafałszowuje przeszłość, ale też uniemożliwia zrozumienie istniejącej współcześnie rzeczywistości kulturowej.

Ukraińskie dziedzictwo kulturowe i historyczne wschodnich ziem III Rzeczypospolitej zachowało się przeważnie w stanie szczątkowym. Społeczności, które je tworzyły, najczęściej zniknęły już z rodzinnych stron. Z większości obszarów, na których w powojennych granicach Polski występowały kultura i język ukraiński, miejscową ludność deportowano do ZSRR w latach 1944–1946 lub na północne i zachodnie ziemie Polski podczas akcji „Wisła" w 1947 roku. W ten sposób przerwano ciągłość przekazu kulturowego i zniszczono mikrokosmosy lokalnych kultur. Częściowo przetrwały one na wygnaniu lub były odbudowywane na miejscu przez nieliczne jednostki, które uniknęły wysiedleń albo powróciły na ziemię ojców. Tylko w wyjątkowych przypadkach udało się jednak zachować ciągłość tradycji oraz zapewnić jej rozwój.

Struktury demograficznej ludności przynależnej do ukraińskiej przestrzeni kulturowo-językowej nie naruszono wyłącznie na północnym Podlasiu. Paradoksalnie stało się to możliwe dzięki uznaniu jego mieszkańców za Białorusinów, wskutek czego nie poddano ich deportacjom. Między Bugiem i Narwią przetrwały więc archaiczna gwara ukraińska oraz ukraińska kultura tradycyjna, choć – znów paradoksalnie – większość tamtejszych mieszkańców nie ma ukraińskiej tożsamości narodowej. Zarówno w tym regionie, jak i w miejscach, do których udało się powrócić deportowanej ludności, zachodzą procesy asymilacji do kultury polskiej. Następne pokolenia mogą już nie mieć okazji, by doświadczać ukraińskiego dziedzictwa wschodnich ziem III Rzeczypospolitej jako żywej rzeczywistości kulturowej.

Grzegorz Kuprianowicz jest ukraińskim historykiem pochodzącym z północnego Podlasia, urodzonym i zamieszkałym w Lublinie. Dyrektor Podlaskiego Instytutu Naukowego oraz współprzewodniczący Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych.

eprasa.pl 6f35c91f82

Białorusini w Polsce – naród w hibernacji

Eugeniusz Mironowicz

Podlasie, zamieszkane na wschodzie przez Białorusinów, było przez wieki pograniczem polsko-białoruskim, ze wszystkimi wynikającymi z tego blaskami i cieniami.

Tereny Podlasia od momentu, gdy w średniowieczu po raz pierwszy pojawiły się w źródłach historycznych, miały charakter pograniczny między różnymi państwami i ludami: Mazowszem, Litwą, Jaćwingami, Polską i księstwami ruskimi. Na przełomie XIII i XIV wieku cały region wszedł w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego i pozostał jego częścią do czasu zawarcia unii lubelskiej (1569); wówczas Podlasie dostała Korona. Między Narwią, Bugiem, Biebrzą i Niemnem dominowały olbrzymie masywy leśne, bardzo słabo zaludnione. Od XIV do XVI wieku intensywnie osiedlała się na tych terenach prawosławna ludność ruska z głębi Wielkiego Księstwa Litewskiego i katolicka z polskiego Mazowsza. Proces ten doprowadził do powstania istniejącego przez kolejne stulecia pogranicza polsko-białoruskiego.

Wielkie Księstwo Litewskie i I Rzeczpospolita: prawosławne ruskie centrum i unia z Rzymem

W XV wieku z nadania wielkich książąt litewskich ziemie na Podlasiu znalazły się we władaniu potężnych ruskich rodów arystokratycznych: Chodkiewiczów, Sapiehów, Gasztołdów. Prawosławni Chodkiewiczowie otrzymali puszczę między Narwią a Supraślą; intensywnie osiedlali w swoich dobrach bojarów i chłopów z Ziemi Nowogródzkiej. Wkrótce powstały tam także miasta Choroszcz, Gródek i Zabłudów, a także wielki ośrodek życia religijnego – monaster w Supraślu, ufundowany przez wojewodę nowogródzkiego Aleksandra Chodkiewicza.

Monaster miał własną drukarnię i pokaźną kolekcję literatury religijno-filozoficznej będącej dziedzictwem wielu pokoleń myślicieli z Bałkanów i Europy Wschodniej. Mnisi utrzymywali intensywne kontakty z całym światem prawosławnym. Najcenniejszym dziełem w ich bibliotece był *Kodeks supraski* (w 2007 roku UNESCO zaliczyło go do zabytków skali światowej). Manuskrypt ten jest jedynym na świecie

eprasa.pl 6f35c91f82

tak obszernym zabytkiem wczesnego piśmiennictwa słowiańskiego, a przez to nieocenionym źródłem badań nad rozwojem języków Słowiańszczyzny. Powstał najprawdopodobniej na początku XI wieku na Bałkanach.

Monaster nad Supraślą wyrósł na drugie po Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej centrum prawosławnego życia religijnego w Wielkim Księstwie Litewskim. Najważniejszym budynkiem kompleksu klasztornego była wspaniała cerkiew Zwiastowania, łącząca elementy bizantyjskie, gotyckie i renesansowe (zniszczona w 1944 roku, odbudowana w latach dziewięćdziesiątych XX wieku).

Syn Aleksandra, Grzegorz Chodkiewicz, kolejnym ośrodkiem życia religijnego i kulturalnego w swoich dobrach uczynił Zabłudów. Chodkiewicz należał do przywódców obozu prawosławnego w Wielkim Księstwie Litewskim, prowadzącego intensywną polemikę religijną z protestantami i katolikami. Założona przez niego drukarnia w Zabłudowie służyła umacnianiu tożsamości religijnej i kulturowej miejscowej ludności ruskiej.

Po zawarciu w 1596 roku unii brzeskiej rozpoczął się trwający ponad sto lat proces przejmowania cerkwi przez grekokatolików i nawracania prawosławnych na nowe wyznanie.

Po zawarciu w 1596 roku unii brzeskiej rozpoczął się trwający ponad sto lat proces przejmowania cerkwi przez grekokatolików i nawracania prawosławnych na nowe wyznanie. Nieuznawanej przez władze państwowe Cerkwi prawosławnej przez kilka dziesięcioleci broniły bractwa cerkiewne. Miasta stały się miejscem ostrych konfliktów między prawosławnymi a grekokatolikami, wspieranymi przez władze państwowe i rzymskich katolików. W miarę upływu czasu w życiu liturgicznym greckokatolickich świątyń kurczyła się obecność języka starobiałoruskiego. „Latynizował" się także ich wystrój wewnętrzny. W drukarni bazylianów w Supraślu wydano większość ksiąg liturgicznych Kościoła greckokatolickiego w I Rzeczypospolitej. U jej schyłku istniały na Podlasiu już tylko drobne enklawy prawosławne w niewielkich ośrodkach monastycznych w Bielsku i Zabłudowie.

Okres carskiej Rosji – Wielkorusi, Małorusi i Zachodniorusi (Białorusini)

Po trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej Podlasie jako departament białostocki znalazło się na krótko w granicach Królestwa Pruskiego. Epizod ten miał ogromny wpływ na rozkwit lokalnego życia intelektualnego. Greckokatolicką ławrę supraską uczyniono siedzibą biskupa, a jej działalność ukierunkowano na podtrzymanie ruskiej tożsamości wśród miejscowych. W Białymstoku utworzono niemieckie gim-

eprasa.pl 6f35c91f82

nazjum. Ukończyli je synowie miejscowych duchownych greckokatolickich Michał Bobrowski i Ignacy Daniłowicz, w przyszłości profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego, wybitni znawcy historii, kultury i prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego, ideowi przywódcy ruchu broniącego białoruskiej tożsamości grekokatolików.

W 1807 roku w wyniku porozumienia między cesarzami Francji i Rosji – Napoleonem i Aleksandrem – ziemie zwane obwodem białostockim zostały włączone do Rosji. Powstanie listopadowe 1830 roku skłoniło carat do zmiany polityki religijnej w zachodnich guberniach. W wyniku zachęt i perswazji wywieranej na kler zlikwidowano Kościół greckokatolicki w Rosji. Dokonano tego podobnymi metodami jak likwidacji Cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej. Grekokatolicy mieli wybór: przyłączyć się do Cerkwi prawosławnej (co władze rosyjskie i zwolennicy likwidacji unii przedstawiali jako powrót do wiary przodków), albo stać się rzymskimi katolikami. Proces zmian struktury wyznaniowej trwał dziesięciolecia. Mieszkańcy kilkudziesięciu wsi greckokatolickich położonych na terenie dzisiejszych powiatów białostockiego, bielskiego, sokólskiego, siemiatyckiego i hajnowskiego stali się wyznawcami Kościoła rzymskokatolickiego. Wciąż mówili gwarami języka białoruskiego, tak jak ich sąsiedzi, którzy wybrali prawosławie, stali się jednak ludźmi „wiary polskiej", w odróżnieniu od prawosławnych, wyznających „wiarę ruską". W XX wieku wyznawcy „wiary polskiej" ostatecznie dołączyli do narodu polskiego, natomiast kwestia tożsamości narodowej ludności prawosławnej okazała się znacznie bardziej skomplikowana.



Od końca XIX wieku instytucje Imperium Rosyjskiego i Cerkiew czyniły wiele wysiłków na rzecz budowania wspólnoty politycznej i kulturowej wyznawców prawosławia.

Od końca XIX wieku instytucje Imperium Rosyjskiego i Cerkiew czyniły wiele wysiłków na rzecz budowania wspólnoty politycznej i kulturowej wyznawców prawosławia. Równolegle wśród różnych wspólnot etnicznych zamieszkujących Rosję wykluwały się nowoczesne idee narodowe, także białoruska. Z białoruskiej wsi Hryniewicze Małe pod Bielskiem pochodziła katolicka rodzina Ignacego Hryniewickiego, członka rosyjskiej partii Wola Ludu i zabójcy cara Aleksandra II. Działacze białoruskiej frakcji tej partii uznali Hryniewickiego, który także zginął w zamachu, za swojego ideowego patrona, i w 1884 roku ogłosili projekt demokratycznej państwowości białoruskiej skonfederowanej z demokratyczną Rosją. Katolików zamieszkujących ziemie od Białegostoku po Smoleńsk określili mianem spolonizowanych Białorusinów.

W tym samym czasie upowszechniał się inny nurt ideowy – zachodniorusizm. Jego autorem był pochodzący z Kuźnicy Białostockiej prawosławny szlachcic Mi-

eprasa.pl 6f35c91f82

chał Kojałowicz. Głosił on, że Białoruś, Ukraina i Rosja tworzą wspólną przestrzeń cywilizacyjną trzech prawosławnych narodów: Wielkorusów (Rosjan), Małorusów (Ukraińców) i Zachodniorusów (Białorusinów). Zwolennicy tego nurtu uznawali katolików za „odszczepieńców", zdrajców własnego narodu. Odwoływali się do tradycji politycznych Księstwa Połockiego, a Wielkie Księstwo Litewskie i Rzeczpospolitą uznawali za przejaw obcego panowania, dewastującej przez kilka stuleci ruskie oblicze kulturowe ziemi białoruskiej.

Bieżeństwo – największa trauma

Trwający od dziesięcioleci porządek polityczny, społeczny, etniczny i religijny w obwodzie białostockim runął latem 1915 roku. Ofensywa niemiecka spowodowała cofanie się armii rosyjskiej na wschód. W tej sytuacji władze w Petersburgu podjęły decyzje o wdrożeniu taktyki „spalonej ziemi", sprawdzonej w wojnach ze Szwecją na początku XVIII wieku, a sto lat później z napoleońską Francją. Tym razem akcja wiązała się z ewakuacją milionów ludzi.

Aby zmobilizować ludność do ucieczki, władze rosyjskie na początku sierpnia 1915 roku za pośrednictwem kleru prawosławnego, urzędników, wojska i plakatów rozpowszechniały informacje o rzekomych masowych okrucieństwach popełnianych na ludności cywilnej przez wkraczające oddziały niemieckie. Kler prawosławny posłusznie wykonał dyrektywę władz, co w konsekwencji uruchomiło w tym samym miesiącu lawinę uchodźców. Ponad 90 procent prawosławnych z obszaru dzisiejszego Podlasia wyruszyło w nieznane. Ich wsie zostały natychmiast spalone przez rosyjskie wojsko.

Uchodźcy (bieżeńcy) z Białostocczyzny stali się mimowolnymi świadkami i ofiarami upadku władzy carskiej i świętości Cerkwi oraz potworności rosyjskiej wojny domowej.

Podróż prawosławnych w głąb Rosji trwała od kilku tygodni do kilku miesięcy. Kilkadziesiąt tysięcy osób zmarło w drodze z powodu głodu, chłodu i chorób. Uchodźcy z Białostocczyzny, którzy dotarli do miejsc osiedlenia, byli nierzadko pod wrażeniem dobrobytu wsi rosyjskiej w porównaniu z ich rodzinnymi stronami. Jednocześnie mogli się przekonać, że wbrew zapewnieniom carskiej propagandy nie są Rosjanami. Mówili innym językiem, hołdowali innym tradycjom i obyczajom, inne było nawet rosyjskie prawosławie. Mimo to większość chciała pozostać w Rosji i korzystać z panującego tam wówczas dostatku.

Stopniowo zaczęli się adaptować do nowych warunków, jednak ich życie szybko zamieniło się w koszmar. Uchodźcy (bieżeńcy) z Białostocczyzny stali się mimo-

eprasa.pl 6f35c91f82

wolnymi świadkami i ofiarami upadku władzy carskiej i świętości Cerkwi oraz potworności rosyjskiej wojny domowej. Przytłaczającej większości bieżeńców szansą na przeżycie wydawał się jedynie powrót do swoich spalonych wiosek na Białostocczyźnie. Niektórym olbrzymie przestrzenie udało się pokonać w ciągu kilku miesięcy, innym zajęło to kilka lat. Co trzeci nie przeżył tułaczki. W efekcie doszło do znaczącego zmniejszenia udziału Białorusinów w strukturze etnicznej Podlasia.

Problem socjalny i ekonomiczny ludności białoruskiej na Podlasiu w II Rzeczypospolitej stał się permanentnym czynnikiem określającym jej postawy polityczne i społeczne, a nawet religijne.

Uchodźcy powracali do innego kraju niż ten, który opuścili w 1915 roku. Przed wyjazdem byli najczęściej posiadaczami kilkuhektarowych gospodarstw, domów, budynków gospodarczych i inwentarza. Po powrocie zastali jedynie leżącą przez kilka lat odłogiem ziemię. Wyjeżdżając z Podlasia, często umieli także pisać i czytać po rosyjsku, w Polsce natomiast ponownie stali się *de facto* analfabetami, nie znali literackiej polszczyzny, wówczas języka państwowego. Polskie władze nawet gdyby chciały pomóc powracającym z Rosji Białorusinom, nie miały praktycznie żadnych możliwości, by to uczynić. Nic zresztą nie wskazuje na to, że ktokolwiek z kierownictwa państwa dostrzegł problem. Ci, którzy wrócili, najgorzej wspominali pierwsze lata. Głód, epidemia tyfusu, poszukiwanie schronienia przed chłodem w szałasach i ziemiankach, znikąd pomocy – to główne motywy wspomnień pokolenia bieżeńców.

Odtwarzanie stanu posiadania sprzed 1915 roku trwało praktycznie przez całe dwudziestolecie międzywojenne. Ucieczka do Rosji kosztowała ludność wiejską utratę dorobku kilku pokoleń. Dlatego problem socjalny i ekonomiczny ludności białoruskiej na Podlasiu w II Rzeczypospolitej stał się permanentnym czynnikiem określającym jej postawy polityczne i społeczne, a nawet religijne.

II RP i II wojna światowa – przymusowa polonizacja i dwie okupacje

Władze II Rzeczypospolitej, realizując różne programy asymilacyjne, nie dopuściły do tego, aby w województwie białostockim, zamieszkanym według spisów powszechnych przez ponad dwieście tysięcy Białorusinów, powstała chociaż jedna białoruska szkoła. Rozbudowany system inwigilacji sprawiał, że na policyjnych listach wrogów państwa polskiego znaleźli się nawet ci, którzy na weselach lub chrzcinach śpiewali białoruskie pieśni. Najczęściej przyczepiano im etykietę komunistów. W po-

eprasa.pl 6f35c91f82

lityce państwa dominowało podejście narodowej demokracji, która dążyła do polonizacji Białorusinów, a nawet ich katolicyzacji.

W drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku rządy sanacyjne podporządkowały sobie Cerkiew prawosławną i próbowały wykorzystać ją jako narzędzie polonizacji Białorusinów. W efekcie u schyłku lat trzydziestych zdecydowana większość Białorusinów na Podlasiu zasadnie czuła się dyskryminowanymi obywatelami drugiej kategorii.

Jesienią 1939 roku północno-wschodnie ziemie państwa polskiego zostały przyłączone do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Zjednoczenie ziem białoruskich akceptowali nawet działacze nurtu narodowego, którzy uciekali przed Armią Czerwoną do niemieckiej strefy okupacyjnej. W pierwszych miesiącach nowa władza realizowała politykę popieraną przez Białorusinów: rozdawano parcelowaną ziemię, język białoruski wprowadzono do szkół i administracji. Nie trwało to długo. Wiosną 1940 roku zaczęli znikać najaktywniejsi przedstawiciele społeczności białoruskiej, ruszyły polowania na „kułaków" i odbieranie ziemi z przeznaczeniem na kolektywne gospodarowanie.

Na Białostocczyźnie nie doszło w trakcie II wojny do otwartych starć między Białorusinami a Polakami, zdarzały się natomiast w Okręgu Generalnym Białoruś.

Latem 1941 roku Niemcy, nowi okupanci, włączyli Białostocczyznę do Rzeszy (okręg białostocki). Wkrótce przybyli z Berlina do Białegostoku współpracujący z Niemcami działacze Białoruskiego Komitetu Narodowego. Liczące od kilku do kilkunastu osób Komitety Białoruskie powstały w siedmiu miejscowościach. Zajmowały się organizacją życia kulturalnego, szkolnictwa zawodowego, przygotowywaniem kadr do pracy w administracji. W Białymstoku pod szyldem Komitetu wydawano pismo „Nowa Droga", działały chór i orkiestra.

W 1943 roku, w związku z uaktywnieniem się podziemia sowieckiego, w wielu miejscowościach powołano formacje Białoruskiej Samoobrony. Każdy przypadek zabójstwa niemieckiego żandarma, policjanta, urzędnika lub innego funkcjonariusza przez partyzantów karany był przez okupantów egzekucją mieszkańców miejscowości, w której pobliżu doszło do zdarzenia. Równie okrutnie karano za wszelką pomoc partyzantom. Samoobrona miała chronić przed nimi ludność. Zarówno w strukturach proniemieckich, jak i sowieckim ruchu oporu uczestniczyło po kilkuset miejscowych Białorusinów. Większość chciała jedynie przetrwać kolejny koszmar wojny i okupacji. Na Białostocczyźnie nie doszło w trakcie II wojny do otwartych starć między Białorusinami a Polakami, zdarzały się natomiast w Okręgu Generalnym Białoruś.

eprasa.pl 6f35c91f82

PRL – prawosławni Polacy

Po wojnie w wyniku umowy podpisanej przez PKWN i rząd BSRR miała się dokonać wymiana ludności. Białorusinów z Polski planowano przesiedlić do ZSRR, a Polaków z sowieckiej Białorusi – do Polski. Pamięć o bieżaństwie i praktyce rządów sowieckich w latach 1939–1941 sprawiła, że chętnych do dobrowolnego wyjazdu wśród białostockich Białorusinów znalazło się niewielu – około trzydziestu tysięcy osób. Większość została zmuszona do opuszczenia swoich gospodarstw terrorem ze strony polskiego antykomunistycznego podziemia oraz zbrojnych band kryminalno-rabunkowych tytułujących się jako wojsko polskie.

Proces przesiedleń Polaków i Białorusinów został zahamowany w końcu 1945 roku w wyniku decyzji władz sowieckich. W nowych granicach Polski pozostało około stu dwudziestu pięciu tysięcy Białorusinów. Władze Polski Ludowej potraktowały ich jak pełnoprawnych obywateli i stworzyły liczne możliwości awansu społecznego, robienia karier w każdym sektorze życia publicznego, pod warunkiem nieujawniania swojej tożsamości narodowej.

Od pierwszych lat po wojnie każdego roku tysiące młodych ludzi porzucały przeludnione wsie i znajdowały pracę w miastach – w fabrykach, milicji, urzędach, aparacie partyjnym, służbie bezpieczeństwa. Zmieniali imiona (a niektórzy także nazwiska) na polsko brzmiące. Nowi reprezentanci państwa nawet do mieszkańców wsi, z których wyszli, zwracali się po polsku. Byli postrzegani jako ludzie, którym powiodło się w życiu, gdyż zostali funkcjonariuszami władzy.

Wprawdzie w 1956 roku Białorusinom, tak jak każdej mniejszości narodowej w Polsce, władze PRL podarowały organizację społeczno-kulturalną i pismo w języku ojczystym, lecz po kilku latach autentycznej animacji życia kulturalnego od obu tych instytucji zaczęto domagać się całkowitej lojalności wobec PZPR. Prawa mniejszości białoruskiej uległy znaczącym ograniczeniom w latach siedemdziesiątych XX wieku. Na przykład liczbę szkół dla Białorusinów zmniejszono o dwie trzecie, a białoruski z rangi języka nauczania spadł na pozycję jedynie przedmiotu dodatkowego. Większość Białorusinów z Białostocczyzny po doświadczeniach z różnymi reżimami w XX wieku postrzegała jednak PRL jako pierwszą państwowość, która potraktowała ich na równi ze wszystkimi pozostałymi obywatelami. Władzy nie przeszkadzało bowiem ich wyznanie, nie pytała o narodowość, choć dyskretnie, w imię „postępu" i dobra ogólnego, zachęcała do bycia Polakami. Masowa migracja ze wsi do miast, system edukacyjny, instytucje kulturalne, środki masowego przekazu i stały pobyt w otoczeniu Polaków przy braku konkurencyjnego oddziaływania silnych ośrodków kultury białoruskiej zapewniły szybką polonizację kolejnych pokoleń Białorusinów. U schyłku PRL większość prawosławnych mieszk-

eprasa.pl 6f35c91f82

kańców Podlasia szczerze deklarowała narodowość polską. Przesiedleńcy z białoruskich wsi w miastach najchętniej określali siebie mianem prawosławnych Polaków. Powojenny Białystok, gdzie przeniosła się większość Białorusinów, nigdy nie stał się miastem wielokulturowym, można je było uznać najwyżej za dwuwyznaniowe.

Okres „Solidarności" większość Białorusinów i prawosławnych Polaków na Podlasiu przyjęła z dużym niepokojem. „Solidarność" na Białostocczyźnie pojawiła się jako narodowy ruch polski i wybitnie katolicki. Szybko uwidoczniły się napięcia polityczne na Białostocczyźnie na tle narodowościowym i religijnym. Chociaż nie wydarzyło się nic, co mogłoby dawać podstawy do poważnych obaw, większość Białorusinów zarówno w miastach, jak i na wsi żyła w strachu przed reaktywacją rzeczywistości z okresu tuż po II wojnie. Nic dziwnego, że wprowadzenie stanu wojennego w tym środowisku przyjęto z ogromną ulgą.

Okres „Solidarności" większość Białorusinów i prawosławnych Polaków na Podlasiu przyjęła z dużym niepokojem, postrzegając ruch jako wybitnie polski i katolicki.

Nowością wśród tej społeczności było uaktywnienie się licznej grupy inteligencji sceptycznie ustosunkowanej do PRL-owskiej rzeczywistości i sympatyzującej z celami, które stawiała polska opozycja. W latach osiemdziesiątych nurt ten, funkcjonujący w nieformalnych strukturach, wypracował postulaty narodowe białoruskiej mniejszości w Polsce i w 1989 roku powołał własny Białoruski Komitet Wyborczy.

III RP – wszystko po staremu?

W III RP w wyniku demokratyzacji życia politycznego spełniły się przede wszystkim oczekiwania białoruskiej inteligencji. Białorusini jako zbiorowość stali się podmiotem życia publicznego. Z udziałem młodych działaczy powstawały organizacje środowiskowe – dziennikarzy, historyków, literatów, młodzieży studenckiej i niestudenckiej, a nawet partia o charakterze liberalno-demokratycznym z wielkimi planami reform w gminach wschodniej Białostocczyzny. Środowisko to pod szyldem białoruskich komitetów wyborczych brało udział – chociaż bez powodzenia – we wszystkich wyborach parlamentarnych i samorządowych.

Rozwiały się także obawy prawosławnych Polaków. Poza nielicznymi przypadkami nikt ich nie pozbawił stanowisk dyrektorskich, prezesowskich, oficerskich w wojsku czy policji. Wielu znakomicie odnalazło się w odradzającym się kapitalizmie. Po likwidacji zakładów pracy bezrobotnymi w jednakowym stopniu stawali się prawosławni, jak i katolicy. W Białymstoku, Bielsku Podlaskim czy Hajnówce wznoszono cerkwie rozmiarami nieustępujące budowanym w tamtym czasie świątyniom katolickim.

eprasa.pl 6f35c91f82

Ze względu na likwidację zakładów pracy i lawinowy wzrost bezrobocia większość Białorusinów i prawosławnych Polaków początkowo głosowała na postpezeperowskie SLD, po wykrystalizowaniu się duopolu PiS–PO faworytem stała się zaś Platforma. W ostatnich wyborach, w 2019 roku, elektorat wśród prawosławnych Polaków miały wszystkie obozy polityczne, największy tradycyjnie lewica i PO, ale znacznie przybyło zwolenników PiS-owi i korwinistom, tym razem występującym pod szyldem Konfederacja.

Renesans białoruski w III RP trwał nawet nieco dłużej niż w PRL po 1956 roku. Na początku nowego stulecia niewielkim wysiłkiem kilku instytucji państwowych i zaangażowania niektórych polityków białoruski nurt narodowy zniknął z życia publicznego na Podlasiu. W przypadku Białorusinów nie było to nic nowego. Każdy system – sanacyjny, PRL-owski, demokratyczny III RP – zaczynał od demonstracji dobrych intencji, z upływem czasu zaś zawsze staczał się w koleiny prowadzące do celu określonego przez endecję (polonizacja, w optymalnym scenariuszu także katolicyzacja), oczywiście z zachowaniem różnych metod, adekwatnych do okoliczności i standardów politycznych danej epoki.

Prof. dr hab. Eugeniusz Mironowicz jest kierownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych i Historii Współczesnej Wydziału Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu w Białymstoku.

eprasa.pl 6f35c91f82

W Rosji postępuje polityzacja pamięci o represjach

Z Robertem Łatypowem, przewodniczącym permskiego oddziału stowarzyszenia „Memoriał", rozmawia Paulina Siegień

Część rosyjskiego społeczeństwa dostrzega historyczne paralele między obecnymi represjami a stalinowskim terrorem lat trzydziestych. Ale i w tej części, która usprawiedliwia represje, odwołania do stalinizmu to często wyraz protestu.

PAULINA SIEGIEŃ: Niedawno opuścił Pan Rosję. Dlaczego tak się stało?

ROBERT ŁATYPOW: Nie można powiedzieć, że opuściłem Rosję. Wyjechałem, ale tylko na pewien czas. Kiedy zaczęły się przeszukania w biurze permskiego „Memoriału", a mnie oskarżono o wymyślone przestępstwa, prawnicy doradzili mi, bym na pewien czas znalazł sobie zajęcie poza krajem. A że były zagraniczne projekty, do których mogłem dołączyć, postanowiłem posłuchać fachowców. Czas pokazał, że mieli rację. Grzywny zostały uchylone, jedno z postępowań karnych zamknięto, drugiego nawet nie wszczęto. Obecnie żadnych zarzutów pod adresem moim ani permskiego „Memoriału" nie ma. Razem z kolegami staramy się kontynuować pracę.

À propos wyjazdu z Rosji, niedawno byłem w Permie, brałem udział w spotkaniach roboczych. Oczywiście nasza sytuacja wciąż jest trudna. Takie organizacje jak „Memoriał", czyli niezależne organizacje społeczne, nigdy nie miały w Rosji łatwo. Zawsze były problemy, czy to na poziomie federalnym, czy na regionalnym.

Czy problemy „Memoriału" wynikają z tego, że zajmuje się kwestiami pamięci i upamiętnienia ofiar sowieckiego terroru?

W Rosji zaszła polityzacja pamięci, w tym pamięci o represjach. Kulminacja zainteresowania tą tematyką przypadła na lata osiemdziesiąte i początek lat dziewięćdziesiątych, wtedy też społeczeństwo zdało sobie sprawę ze skali represji. Żyły jeszcze osoby, które tych represji doświadczyły, albo rodziny ofiar, więc pamięć też była żywa. Potem zainteresowanie stopniowo malało, a władze zaczęły dążyć do marginalizacji tematu. Mimo to kwestia stalinowskiego terro-

eprasa.pl 6f35c91f82

ru i represji ciągle wracała, podnoszona przez różnych aktorów, nie tylko przez „Memoriał". Powiedziałbym nawet, że wpływ „Memoriału" na obecność pamięci o represjach w dyskursie publicznym nie był i nie jest wyraźny. Najczęściej odwołują się do nich władza, media lub bezpośrednio obywatele. Ludzie po prostu nie mogą nie porównywać tego, co działo się siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat temu, do obecnych wydarzeń. Kiedy zdarzają się indywidualne represje, jak obecnie w Rosji, od razu budzi się skojarzenie z latami trzydziestymi ubiegłego stulecia. Ludzie dostrzegają paralele.

Dlatego nie przypisywałbym „Memoriałowi" szczególnej roli w polityzacji pamięci o wielkim terrorze i represjach. Jako szef regionalnej organizacji mogę powiedzieć, że staramy się unikać działań, które prowadzą do skandalu lub mają skandal za cel. Nasze projekty są spokojne, ciche, nakierowane na pobudzenie krytycznej refleksji. Nie dzielimy ludzi, nie deklarujemy wrogości wobec nikogo, nie szukamy konfrontacji z władzą. Niestety, rezultaty naszej pracy są upolitycznione przez naszych oponentów albo przez konkretnych urzędników, skłonnych dostrzegać zagrożenie tam, gdzie go nie ma.

Jak w ekspedycji, która odbyła się w tamtym roku?

Tak. Myślę, że dlatego wybuchł skandal wokół ekspedycji, którą zorganizowaliśmy w sierpniu ubiegłego roku. Podobne organizujemy od dwudziestu lat. To mój pomysł, kierowałem tym projektem. Po raz pierwszy, w gronie przyjaciół, wyruszyliśmy w 2000 roku, do miejscowości w Kraju Permskim, w której kiedyś był obóz. Udało nam się połączyć romantyzm turystycznej wyprawy z pogłębieniem trudnej, poważnej tematyki GUŁagu. Dlatego reakcje na ten projekt były pozytywne, ekspedycje cieszyły się popularnością. W minionym roku zorganizowaliśmy pięć takich ekspedycji. Spotykaliśmy się z dobrym przyjęciem miejscowych ludzi i lokalnych władz, podobnie zresztą jak wcześniej, na przestrzeni lat. Podczas wypraw zbieramy ustne świadectwa, nagrywamy wywiady, ustanawiamy pamiątkowe znaki, dużo rozmawiamy, dyskutujemy. Cztery ekspedycje w ubiegłym roku odbyły się normalnie, a w trakcie piątej odwiedzili nas przedstawiciele kilku służb mundurowych. Zaszokowało nas to, bo przecież znajdowaliśmy się daleko od cywilizacji, w głuchej tajdze. Trzeba zobaczyć to miejsce, by zrozumieć, jak wiele trudu wymaga dotarcie tam. Sprzątaliśmy cmentarz. Po prostu zbieraliśmy z mogił połamane gałęzie i odnosiliśmy je na bok, a zostaliśmy oskarżeni o wycinanie lasu. Byłem zdumiony i przekonany, że to jakieś nieporozumienie. Okazało się, że przekroczyliśmy jakąś granicę tego, co dopuszczalne. Przy czym te granice nie są jawne, ustalają je urzędnicy w zaciszu gabinetów, więc nigdy nie wiadomo, gdzie przebiegają. Jeśli je przekroczysz, czekają cię represje. Historia naszej ekspedycji i jej skutki pokazują, że to, co przez dwadzieścia lat było uważane za normalne i nie spo-

eprasa.pl 6f35c91f82

tykało się z żadnymi przeszkodami, nagle stało się dla kogoś niedopuszczalne.

Skoro granica jest niejawna, czy to znaczy, że nie istnieje żadna oficjalna państwowa polityka dotycząca pamięci wydarzeń stalinowskiego terroru?

Oficjalna polityka władz w tej kwestii jest sprzeczna. Z jednej strony mamy ustawę o rehabilitacji ofiar, jest oficjalne stanowisko w kwestii upamiętniania ofiar represji, pojawiają się pomniki ofiar, na przykład pomnik w Moskwie. W stolicy działa też Muzeum GUŁagu, wspaniała instytucja z wielką ekspozycją i solidnym budżetem. Czyli jest zrozumienie dla tej kwestii, są nawet konkretne decyzje i prawo, które zmusza lokalne władze do działań na rzecz upamiętnienia ofiar represji. Ale spójrzmy na drugą stronę medalu. Wystarczy przywołać skandal wokół muzeum na terenie obozu Perm-36. Najpierw władze zniszczyły organizację społeczną, która nim zarządzała, potem dokonały wrogiego przejęcia i zorganizowały w tym miejscu dziwną instytucję, o której teraz już prawie wszyscy zapomnieli. Zresztą o to właśnie chodziło, by ludzie jak najszybciej zapomnieli.

Mamy zatem oficjalną politykę i słuszne deklaracje w tej dziedzinie, ale mamy też realne działania. A rzeczywistość jest taka, że praca w tej dziedzinie wiąże się z dużym ryzykiem, a rezultaty wieloletnich wysiłków takich organizacji jak „Memoriał" mogą zostać w jednej chwili zniweczone.

Mówi Pan, że w Moskwie jest pomnik, jest muzeum. O ile sobie przypominam, nie ma w stolicy pomnika Stalina. Tymczasem w regionach członków „Memoriału" dotykają represje: Jurija Dmitrijewa w Karelii, Ojuba Titijewa w Czeczenii... Do tego historia permskiej ekspedycji. Czy w Moskwie wolno więcej?

Nie sądzę, by moi koledzy z Moskwy zgodzili się z takim postawieniem sprawy. Nie pracuje im się wcale łatwiej. Jeśli istnieje jakaś prawidłowość, to jedynie taka, że cały trzeci sektor, czyli organizacje społeczne, obywatelskie, znajdują się pod ostrzałem – tym mocniejszym, im bardziej Rosja popada w samoizolację. [Wywiad został przeprowadzony przed wprowadzeniem w Rosji samoizolacji w celu zapobiegania rozprzestrzeniania się koronawirusa, kiedy słowo „samoizolacja" nie miało jeszcze tak jednoznacznych konotacji jak obecnie – przyp. P.S.]. Kraj praktycznie się zamyka. Ma to związek i z czynnikami zewnętrznymi, jak sankcje, i wewnętrznymi, jak ustawy dotyczące kontroli nad internetem czy wyjazdów zagranicznych. Wszystkich, którzy pracują na rzecz tego, by Rosja pozostawała otwarta, by była częścią europejskiej i ogólnoświatowej komunikacji, obrotu myśli i idei, reżim uważa za zagrożenie. To naturalne dla władzy autorytarnej, podobnie jak równoczesne podtrzymywanie iluzji o demokracji, wolności i państwie prawa. Sprzeczności w rosyjskiej polityce dotyczącej pamięci terroru również wynikają z tej natu-

eprasa.pl 6f35c91f82

ralnej cechy autorytarnego reżimu, rozdwojenia na oficjalną iluzję i represyjną praktykę.

Trzeba pamiętać, że „Memoriał" nie jest jednolitą organizacją. To społeczność, horyzontalna sieć organizacji rozrzuconych po całej Rosji. Każda z nich na swój sposób radzi sobie z lokalnymi problemami. Czasem te problemy są większe, czasem mniejsze, a czasem władze zachowują się otwarcie wrogo. W Kraju Permskim mieliśmy bardzo dobre doświadczenia współpracy z lokalną władzą, dzięki nim swego czasu udało się otworzyć Perm-36. To trwało długo, aż do momentu, kiedy Kreml wyraźnie wskazał na organizacje pozarządowe jako na źródło zagrożenia dla reżimu. Kilka lat temu przyjęto między innymi ustawę o tak zwanych agentach zagranicy, „Memoriał" został przez rosyjskie władze uznany za takiego agenta. Warunki naszej działalności zmieniły się wtedy także w Permie, chociaż wciąż wielu urzędników starało się tę sytuację jakoś łagodzić. Dzisiaj mamy ostry konflikt i próby stosowania represji wobec „Memoriału".

Wróćmy na chwilę do paraleli, o których Pan wspomniał. Ja również obserwuję, że ilekroć zaczyna się nowa fala represji, jak chociażby ostatnio po letnich protestach w Moskwie, od razu pada stwierdzenie, że to nowy rok 1937. Rosja nie przepracowała jeszcze sowieckiego terroru, a młode pokolenie Rosjan już ma własne traumy?

Nie podoba mi się analogia z 1937 rokiem. Chociaż zgadzam się, że we współczesnej Rosji mamy do czynienia z indywidualnym terrorem, to jednak sytuacja i konfiguracja społeczno-polityczna są inne. Wtedy Stalinowi chodziło o likwidację nie tylko realnych politycznych oponentów, ale też wszystkich potencjalnych przeciwników. Nie liczył się ze skalą ofiar. Powiedzieć, że dzisiaj w Rosji władza podąża tą drogą, jednak nie można. Rozumiem, co mają na myśli ludzie, którzy takie analogie przywołują, ale jako historyk specjalizujący się w sowieckim terrorze, zalecałbym ostrożność.

Z drugiej strony przyznaję, że odnajduję analogie, ale do lat 1935–1936, kiedy ZSRR dopiero wchodził na drogę represji. Zaczynało się od indywidualnych procesów, dyskredytacji całych grup społecznych, ograniczenia wolności słowa. Tyle że nasze realia są inne, obecny reżim polityczny jest inny. Popularność takich analogii wskazuje jedynie na stopień trudności tematu i jego nieprzepracowanie. Rezultaty badań Centrum Lewady z marca 2019 roku pokazały straszliwe zjawisko. Połowa ankietowanych albo nic nie wie o stalinowskich represjach, albo je usprawiedliwia.

Jak można budować przyszłość kraju w takiej sytuacji? Część nic nie wie o terrorze, więc nie dostrzega zagrożenia ze strony obecnej władzy, a część jest gotowa przyznać, że w pewnym sytuacjach terror jest uzasadniony. Oczywiście ci drudzy są równocześnie przekonani, że terror ich nie dotknie, bo przecież nie zaliczają się

eprasa.pl 6f35c91f82

do przeciwników władzy, nie tylko putinowskiej, ale jakiejkolwiek. Wierzą, że apolityczność ich zbawi. A przecież nawet powierzchowna wiedza o stalinowskim terrorze wystarczy, by sobie uświadomić, że pod walec represji wpadają wszyscy, także lojalni.

Znam i takich, którzy o represjach słyszeli, czytali, ale nie wierzą w ich prawdziwość. Zdarzało mi się usłyszeć: „GUŁagu nie było, Sołżenicyn wszystko zmyślił, i to bez talentu". Zważywszy na powszechność represji, jak to możliwe w pokoleniu osób, które pamiętają Związek Radziecki?

W Rosji pełną parą działa stalinowska kontrpropaganda, która zaciera pamięć represji. Sprzyjają tym działaniom, chociaż nie otwarcie, niektórzy ludzie znajdujący się u władzy. Nie nazwałbym Putina stalinistą, ale nie brakuje osób, którym podtrzymywanie wyobrażeń o dobrym Stalinie i epoce sowieckiej jako najlepszej w dziejach jest na rękę. Za sprawą tej propagandy w głowach wielu naszych obywateli kształtuje się bezkrytyczny obraz historii wypełnionej wyłącznie jasnymi stronami i zwycięstwami. Część ludzi naprawdę szczerze nie wierzy w represje. Mówią: „Jakie ofiary, wygraliśmy wojnę, na wojnie zawsze muszą być ofiary", a sącząca się zewsząd oficjalna propaganda uczy różnych demagogicznych sztuczek, na przykład przerzucania dyskusji na inny temat: „A Niemcy co robiły, a Japonia? A Ameryka? Ale wojnę wygraliśmy my". Do tego dochodzą kwestie psychologiczne, ludzie są skłonni dobrze wspominać czasy młodości, więc pojawia się sowiecka nostalgia.

Nie drażni Pana rozkwit tej nostalgii wśród młodego pokolenia, u ludzi często urodzonych już po rozpadzie Związku Radzieckiego?

Raczej smuci. Urodziłem się w ZSRR i często podczas publicznych wystąpień podkreślam, że do pewnego stopnia też jestem *homo sovieticus*. Załapałem się na pionierów, komsomoł, dzięki Bogu nie zdążyłem wstąpić do partii. Wychowanie, światopogląd, który w nas wtedy wpajano, nie jest mi może bliski, ale go rozumiem. Rozumiem też, jak myślą ludzie starszego pokolenia. Teraz na sowieckość jest moda. Można by się było tylko uśmiechnąć, ale smuci mnie, kiedy widzę sowieckie symbole używane poza kontekstem, wcale nie z przyczyn ideologicznych, ale właśnie dla mody. Bo to znaczy, że młodzi nie zdają sobie sprawy ze znaczenia tych symboli, skoro korzystają z nich z taką lekkością.

Dostrzegam też inne zjawisko. Dla młodzieży odwołania do stalinizmu, do komunizmu, to wyraz protestu. Widzą, że w kraju panują ogromne nierówności, że nie ma mechanizmów awansu społecznego. Jedni się buntują, emigrując. Inni się radykalizują, dochodzą do wniosku, że skoro jest tak źle i beznadziejnie, to trzeba jeszcze silniejszej władzy, więcej kontroli.

W Rosji nie było lustracji. Sprawcy represji nie zostali pociągnięci do od-

eprasa.pl 6f35c91f82

powiedzialności, nie dokonano społecznego oczyszczenia. Ale pojawił się Denis Karagodin z Tomska ze swoim prywatnym śledztwem i prywatną lustracją. To dobra droga?

Denis Karagodin nie lustruje. Lustrację można przeprowadzić wtedy, gdy wciąż żyją ludzie, którzy pełnili różne funkcje w systemie politycznym dyskryminującym albo represjonującym niewinnych. Aparatczyków stalinowskiego terroru już właściwie na tym świecie nie ma. Lustracja to też proces ogólnospołeczny, natomiast Denis Karagodin szuka sprawiedliwości w wymiarze indywidualnym. Skrupulatnie zbiera informacje o wszystkich, którzy brali bezpośredni lub pośredni udział w represjonowaniu jego dziadka, rozstrzelanego w styczniu 1938 roku pod zarzutem szpiegostwa – od donosicieli po kierowcę ciężarówki, która wywiozła ciało. On chce, by ci ludzie zostali skazani, choćby pośmiertnie.

Fenomen Denisa jest bardzo skomplikowany, bo on mówi otwarcie, że nie interesuje go wymiar społeczny, nie zależy mu, by jego historia i śledztwo stały się przykładem, spowodowały jakiś przełom w społecznej świadomości terroru. Odcina się od tego. Dla mnie jako dla historyka i członka „Memoriału" ta postawa jest trudna do zrozumienia, ale to jego decyzja. Chociaż lustracja nie jest już możliwa, to w Rosji wciąż jest potrzebna prawna ocena tego, co się wydarzyło. Przestępstwo powinno być nazwane przestępstwem, powinni zostać wskazani jego ideolodzy, organizatorzy i wykonawcy. I oczywiście ofiary. Co prawda akurat z nazywaniem ofiar nie mamy problemu, ale patrząc z boku, można odnieść wrażenie, że to ofiary jakiejś epidemii, bo nikt nie rozmawia o sprawcach, o tym, że są to ofiary działań państwa.

Miał Pan niedawno okazję odwiedzić kilka polskich muzeów i instytucji zajmujących się najnowszą historią. Dostrzega Pan jakieś charakterystyczne cechy polskiej kultury pamięci?

Polskie doświadczenie jest dla mnie i dla moich kolegów bardzo interesujące. Odwiedziliśmy Polskę w grupie historyków, studentów, pracowników muzeów, aktywistów, nauczycieli. Wszyscy byliśmy pod wielkim wrażeniem, jak wiele dla upamiętniania najnowszej historii zrobiono w Polsce. Na pewno nie można wszystkich miejsc, które odwiedziliśmy, oceniać w tych samych kategoriach, bo to rozmaite instytucje, różne formaty. Muzeum Powstania Warszawskiego nie przypomina Muzeum II Wojny Światowej, a w jeszcze innym rzędzie należy umieścić Europejskie Centrum Solidarności. Nie chciałbym, by polscy koledzy na mnie się obrazili, ale muszę przyznać, że najgorsze wrażenie wywarło na mnie Muzeum Powstania Warszawskiego. To przykre, że jest tak bardzo podobne do sowieckich muzeów wojennych, w których też niby są przedstawione osobiste losy, tragedie, ale tak naprawdę od razu widać, że to państwowe muzeum, w pewnym sensie nacjonalistyczne czy ultra-

eprasa.pl 6f35c91f82

patriotyczne. Zrozumiałem to już w kolejce po bilety. Stali obok nas żołnierze polskiej armii, a ja doznałem *déjà vu*. Przypomniałem sobie, jak u nas sowieccy żołnierze stali w kolejce do kas, bo musieli obowiązkowo odwiedzać muzea Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Łudziłem się, że może się mylę, ale kiedy zobaczyłem ekspozycję, usłyszałem te karabiny maszynowe, wybuchy bomb, zrozumiałem, jak kształtowany jest obraz powstania. Proszę autorów tej ekspozycji, by się na mnie nie gniewali, jestem pewien, że chcieli stworzyć inne muzeum, na pewno niekojarzące się z sowieckim, ale takie właśnie wywołało u mnie skojarzenia.

W Muzeum II Wojny Światowej nie udało się z kolei przezwyciężyć europocentryzmu tej opowieści i partykularnego narodowego spojrzenia na tę wojnę. Jak rozumiem, takie było założenie. Czułem zamysł, ale jego realizacja nie do końca się powiodła. W miejscach, które odwiedzaliśmy, zabrakło mi też jasnego przesłania: że wojna to coś strasznego, zabija i niszczy życie, że z wojny nie można być dumnym, nawet jeśli się ją wygrało. Uważam, że każdy człowiek, który odwiedza muzeum poświęcone wojnie, powinien je opuszczać jako przekonany antymilitarysta. I rozumieć, że wojna nie odeszła w przeszłość. Wojny trwają i naszą odpowiedzialnością jest zrobienie wszystkiego, co w naszej mocy, by obecne konflikty zakończyć i nie dopuścić do nowych.

Robert Łatypow – historyk, prezes oddziału w Kraju Permskim międzynarodowej organizacji „Memoriał", pacyfista.

Paulina Siegień – dziennikarka związana z Gdańskiem, Kaliningradem i Podlasiem, współpracuje z „Krytyką Polityczną" i „New Eastern Europe".

eprasa.pl 6f35c91f82

Ukraińskie kino
Dzieje sukcesu pewnej reformy

Andrij Lubka

Na Ukrainie można dziś często spotkać się z poglądem, że właśnie w sferze kinematografii reformy, które przyniosła Rewolucja Godności, okazały się jednoznacznym sukcesem.

Styczeń 2020 roku może się zapisać w historii Ukrainy jako najlepszy miesiąc w dziejach ukraińskiej kinematografii. Trafiło w nim do dystrybucji aż pięć ukraińskich filmów: *Pekelna Chorugwa, Abo Rizdwo Kozaćke* (Piekielna Chorągiew albo Kozackie Boże Narodzenie), *Widdana* (Oddana), *Moji dumky tychi* (Moje myśli są ciche), *Eks* (Eks) oraz *Naszi kotyky* (Nasze kotki). Pierwsze trzy z wymienionych filmów wyświetlano w tym samym czasie. Rzeczywiście dokonał się przełom – w repertuarze współczesnego komercyjnego kina figurowały aż trzy ukraińskie produkcje naraz! Jeszcze rok temu, nie mówiąc już o pięciu czy dziesięciu latach, nie sposób było sobie takiej sytuacji wyobrazić. Świadczy ona o jednym: ukraińska kinematografia nareszcie zaczęła stawać na nogi.

Staram się uczestniczyć w niemal wszystkich ukraińskich premierach filmowych, zawsze chodzę do kina i kupuję bilet. Dla mnie to inwestycja widza w rozwój ukraińskiej kultury. Wśród nakręconych w ostatnich latach filmów znajdziemy produkcje błyskotliwe, jak *Cyborgi* czy *Iłowajsk 2014*, wyraziste stylistycznie, jak *Woroszyłowhrad* (Woroszyłowgrad) czy *Widdana*, i dynamiczne, jak *Pozywnyj Banderas* (Kryptonim Banderas). Niektóre filmy są bardzo słabe – jak *Tajemnyj szczodennyk Symona Petlury* (Tajny dziennik Symona Petlury) albo *Kruty 1918*. Pojawiły się także komedie; mnie wydają się jałowe, biją jednak rekordy oglądalności i przynoszą zyski.

Cieszy mnie różnorodność tych obrazów. W żywym kinie muszą być zarówno *arthouse*, jak i produkcje masowe, głupawe seriale i widowiskowe filmy akcji, dramaty patriotyczno-historyczne i popularne komedie, filmy, które zdobywają laury na międzynarodowych festiwalach, i filmy tak nieudane, że aż zabawne. Tylko taka mieszanka świadczy o pełnokrwistym twórczym i biznesowym życiu kinematografii.

eprasa.pl 6f35c91f82

Wszystko zaczęło się po Euromajdanie

Na Ukrainie można dziś spotkać się z poglądem, że właśnie w sferze kinematografii reformy okazały się jednoznacznym sukcesem. Rzeczywiście, przed 2014 rokiem kręcono bardzo mało filmów. Na rok przypadała jedna, może dwie premiery, ale nawet te filmy trafiały później przeważnie tylko na festiwale, rzadko docierały do kin nie tylko prowincjonalnych, lecz także stołecznych.

Po rewolucji godności nowe ukraińskie władze uświadomiły sobie, że rosyjski produkt informacyjny (książki, seriale, filmy, gwiazdy show biznesu) przez wszystkie minione lata służył jako narzędzie hybrydowego podporządkowania sobie Ukrainy. Zainicjowano wówczas wdrażanie państwowych mechanizmów wspierania rodzimej produkcji filmowej (w części z nich, podobnie jak w przypadku Ukraińskiego Instytutu Książki, w znacznej mierze wykorzystano doświadczenia polskie). Potrzeba było trzech lat i setek milionów hrywien państwowej pomocy, żeby w 2017 roku nareszcie usłyszano o renesansie ukraińskiej kinematografii, a widzowie masowo ruszyli do kin na filmy rodzimej produkcji.

Tak, właśnie wtedy Ukraińcy zaczęli kupować bilety na ukraińskie filmy nie z pobudek patriotycznych, lecz ze względu na atrakcyjność ojczystych obrazów. Co więcej, w 2017 roku ukazało się tyle ukraińskich filmów, że wiele osób nie nadążało z ich oglądaniem. Jesienią premiery odbywały się co drugi weekend: *Cyborgi*, heroiczne dzieje obrony lotniska w Doniecku, do dziś są uważane za najlepszy ukraiński film; *Kontrabas*, nieskomplikowana, za to masowa produkcja, nie tylko się zwróciła, ale przyniosła swoim twórcom zysk; *Storożowa Zastawa* (Strażnica) – to ukraińskie kino dla dzieci i młodzieży można bez wstydu pokazywać także za granicą; rozpoczęto prace nad popularyzacją historii Ukrainy – *Czerwonyj* (Czerwony), kino akcji o powstaniu żołnierzy UPA w sowieckim obozie, wzbudził przychylne reakcje widzów i dał przyzwoity zysk finansowy.

Kino popularne

Na długo przed światowym sukcesem serialu *Czarnobyl*, który wzbudził nową falę zainteresowania tą tragedią, na ukraińskie ekrany wszedł film Wołodymyra Tychego *Brama*. To karkołomna rzecz o trzech pokoleniach mieszkających w Czarnobylskiej Strefie Wykluczenia. Głowa rodziny, babcia Prisia, przyjaźni się z rusałkami, od czasu do czasu zajada halucynogenne grzyby, a w czasie II wojny światowej załatwiła dwunastu esesmanów. Mieszkają z nią wnuk Wowczyk i chorowita córka Sława, którą swego czasu porzucił mąż. Harmonia ich życia zostaje nagle przerwana. Babcia Prisia otrzymuje mistyczną przestrogę przed katastrofą, która ma nastą-

eprasa.pl 6f35c91f82

pić wkrótce i której należy zapobiec. Fabuła filmu jest naprawdę nieprzewidywalna, a zwroty akcji niebanalne i ambitne. Dwiema najmocniejszymi stronami *Bramy* są znakomita obsada aktorska (ostatnimi laty na Ukrainie dojrzała nowa gwiazda filmowa wielkiego kalibru Irma Witowska) i scenariusz na podstawie sztuki znanego ukraińskiego dramaturga Pawła Arje (*Na początku i na końcu czasów*).

Mamy tu wszystko: kosmitów, radiację, skorumpowanego policjanta, nowobogackich, którzy jeżdżą do Strefy Wykluczenia na pijackie safari i bijatyki, rusałki i demony, siły przyrody, potwory, sumy świecące w wodzie, ciężką, czasem nawet nieprzyjemną postapokaliptyczną estetykę, ukraińskie lata dziewięćdziesiąte w całej ich brzydocie i chaotyczności, a także magiczną, transcendentalną poleską babcię Prisię. Uosabia ona naród ukraiński, jego głębokie pogańskie korzenie i niełatwe życie współczesne.

Ukraińcy zaczęli kupować bilety na ukraińskie filmy nie z pobudek patriotycznych, lecz ze względu na atrakcyjność ojczystych obrazów.

Kolejny wartościowy film poświęcony historii najnowszej, który odniósł sukces komercyjny, to *Iłowajsk 2014* w reżyserii Iwana Tymczenki. Opowiada o współczesnej wojnie na wschodzie Ukrainy. Biszut, dowódca grupy szturmowej batalionu Donbas, ranny w walkach o Iłowajsk, cudem pozostaje przy życiu w okupowanym mieście. Poszukuje go mianowany na komendanta Iłowajska rosyjski oficer Runkow. Dla niego ta wojna stała się osobistą tragedią, szuka więc nie tyle sprawiedliwości, ile zemsty.

Iłowajsk 2014 to przede wszystkim film wojenny i nie brakuje w nim widowiskowych scen batalistycznych. Zwolennikom ostrego kina akcji z pewnością przypadnie do gustu. Być może pod tym względem najlepiej spośród ukraińskich filmów ostatnich lat odpowiada wzorcom hollywoodzkim, jednak największe wrażenie sprawiają nie bójki i strzelaniny, tylko prostota głównych bohaterów. Dzięki ich nieheroiczności postacie są psychologicznie przekonujące i bliskie widzowi. Z uwagi na to, że w filmie wystąpili nie tylko profesjonalni aktorzy, lecz również prawdziwi uczestnicy wojny na Donbasie, *Iłowajsk 2014* rozbraja odbiorcę szczerością. Nawiasem mówiąc, na film nie wydano ani hrywny z budżetu państwowego. Sfinansowali go w całości sponsorzy i osoby prywatne.

Największym sukcesem początku 2020 roku okazał się debiutancki film Antonia Łukicza *Moji dumky tychi*. Mało kto wierzył w tę komedię, prawie nie była reklamowana, a na jej pokazanie zdecydowało się niewiele kin. Wysoki poziom zrobił jednak swoje: wieść, że to faktycznie znakomite kino, za pośrednictwem sieci społecznościowych rozeszła się błyskawicznie i wkrótce przed kasami kin ustawiły się kolejki. Następnie zaszło bezprecedensowe wydarzenie. Właściciele kin zoriento-

eprasa.pl 6f35c91f82

wali się w rozmiarach sukcesu i policzyli zyski, po czym rozszerzyli geografię projekcji i wydłużyli dystrybucję o dodatkowe dwa tygodnie!

Komedia *Moji dumky tychi* opowiada o młodym ukraińskim freelancerze, który zamierza wyemigrować do Kanady, ale musi w tym celu wykonać trudne zadanie – nagrać odgłosy różnych zwierząt w Karpatach. Jedzie tam z mamą, dzięki czemu fabuła zostaje wzbogacona garścią dramatycznych elementów o wiecznym konflikcie pokolenia rodziców i dzieci. Rzecz dzieje się w nieprzypudrowanej, do bólu znajomej ukraińskiej codzienności. Widz śmieje się sam z siebie, bo w takich właśnie dekoracjach musi żyć. Ten niebanalny film nie jest prostą komedią, zmusza do myślenia i współodczuwania. W dodatku otrzymaliśmy naoczny dowód, że nawet debiut kinowy (i to w warunkach skromnego kosztorysu na zaledwie dziewięć milionów hrywien!) może być nader udany. Niewątpliwie *Moji dumky tychi* to wielkie wydarzenie w ukraińskiej kinematografii, a także argument, by uważnie śledzić przyszłą twórczość Łukicza.

Lepiej było tego nie oglądać!

Mimo wszystko nie pojawiło się zbyt wiele udanych, uwieńczonych komercyjnym sukcesem produkcji. Większość nowych filmów sprawia wrażenie „surowych" i niedopracowanych. Zdarzają się oczywiste porażki. O dziwo, najwięcej słabych filmów jest wśród obrazów historycznych – tych, które powinny rozwijać patriotyzm, popularyzować ukraińską wersję historii i kształtować nową ukraińską tożsamość.

Falę druzgoczącej krytyki wywołał *Tajemnyj szczodennyk Symona Petlury* Ołesia Janczuka. Fabuła obejmuje okres życia naczelnego dowódcy armii Ukraińskiej Republiki Ludowej i szefa Dyrektoriatu URL w trakcie emigracji w Paryżu – aż do dnia, w którym Petlurę zabił anarchista pochodzenia żydowskiego Szolem Szwarcbard. Niestety, reżyser zupełnie nie poradził sobie z tematem. Tajnego dziennika w filmie prawie nie ma, Bohdan Beniuk w roli Hruszewskiego jest fatalny, stylistyka obrazu trąci sowieckim prymitywizmem, a sceny batalistyczne zostały źle nakręcone. Na odrębną antynagrodę zasługuje dźwięk. Mówiąc szczerze, pod pozorami filmu widzowi zaproponowano marną sztukę teatralną.

Najwięcej słabych filmów jest wśrod obrazów historycznych – tych, które powinny rozwijać patriotyzm.

Największą słabością tej produkcji jest postać Symona Petlury. Wygląd i maniery aktora Serhija Frołowa imponują, niestety scenarzystom i reżyserowi nie udało się wypełnić tego obrazu treścią. Stworzyli czysto sowieckiego, prostolinijnego bo-

eprasa.pl 6f35c91f82

hatera-narratora, który chodzi tam i z powrotem, pali i martwi się o Ukrainę, przywołuje wspomnienia i zadręcza się poczuciem winy. Żona przypomina mu, że kiedyś był wesoły i ładnie śpiewał, ale reżyser nie zechciał nam zademonstrować tych atrakcji. Petlura Janczuka jest robotem o niewielu funkcjach: potrafi smucić się z powodu swych porażek, załamywać ręce nad Ukrainą i sypać banałami. Zdaniem reżysera tak powinien wyglądać film patriotyczny, wątpię jednak, czy ktoś pod wpływem takiego obrazu poczuje dumę z przynależności na narodu ukraińskiego.

Bitwa pod Krutami 29 stycznia 1918 roku, w której młodzi gimnazjaliści, praktycznie jeszcze dzieci, bronili Kijowa przed atakiem bolszewików, dla wielu Ukraińców jest symbolem patriotyzmu i ofiarności, napisano o niej wspaniałe utwory literackie i omawia się ją szczegółowo na szkolnych lekcjach historii. Film Ołeksija Szapariewa *Kruty 1918* to kolejny krok w popularyzowaniu historii Ukrainy i jej bohaterów. Niestety, niezbyt udany, choć nie jest zupełnym bublem i w jakiś niepojęty sposób porusza widza.

Najbardziej przeszkadzają fałszywa intonacja i nadmierna (teatralna) gestykulacja niektórych aktorów. To zresztą wspólny problem większości ukraińskich filmów. Z uwagi na to, że wcześniej powstawało mało produkcji kinowych, aktorzy teatralni po prostu nie potrafią zachować się przed kamerą. Tam, gdzie wystarczyłoby zwykłe uniesienie brwi, krzyczą i wymachują rękoma, bo tak się robi w salach teatralnych na osiemset miejsc. Innym poważnym problemem ukraińskiej kinematografii są nienaturalna intonacja i anachroniczność języka. Rzecz w tym, że wielu aktorów jest na co dzień rosyjskojęzycznych, więc mają trudności z prawidłową wymową ukraińskich słów. Drugie nieszczęście bierze się stąd, że językowi ukraińskiemu w kinie często brakuje emocjonalności i slangowości.

Film Ołeksija Szapariewa *Kruty 1918* to kolejny krok w popularyzowaniu historii Ukrainy i jej bohaterów.

Powyższe dwa filmy nie spełniają swej funkcji „patriotycznej" z jeszcze innego powodu. Ukraińskie kino o ukraińskiej historii może realnie działać tylko wówczas, gdy oglądają je miliony widzów, a te filmy przyciągnęły znacznie mniej chętnych – nawet nie setki tysięcy, a zaledwie dziesiątki tysięcy (dochód ze sprzedaży biletów na film o Petlurze wyniósł 2,5 miliona hrywien, a wydano na niego 23,5 miliona z państwowej kasy). Filmy historyczne należy pokazywać uczniom i studentom, młodzieży, maksymalnie szerokim warstwom społecznym, i nie tylko w kinach, lecz także w telewizji. Państwo wykłada już pieniądze na produkcję filmów, ale konieczne są również inwestycje w reklamę, żeby oglądały je miliony, a nawet dziesiątki milionów Ukraińców.

eprasa.pl 6f35c91f82

Zmiana władzy a przemysł filmowy

Totalna zmiana władzy na Ukrainie dotyczyła również kinematografii. W styczniu 2020 roku rząd wymienił szefa Derżkina (Państwowej Agencji Ukrainy do spraw Kinematografii) – instytucji, która finansuje produkcje filmowe i ma na ten cel niemal osiemset milionów hrywien z państwowego budżetu. Mimo że ludzie z branży w konkursie na to stanowisko wspierali Julię Sińkewycz (producentkę generalną Odeskiego Festiwalu Filmowego, największego na Ukrainie), nowa władza zdecydowała się na Marynę Kuderczuk, która nie zna się na produkcji filmów, a całe jej „doświadczenie w kinematografii" sprowadza się do funkcji dyrektora prowincjonalnego kina. Jeszcze do niedawna pani Kuderczuk zajmowała się polityką rolną w obwodzie zaporoskim!

Jaki cel stawia przed sobą nowa władza, mianując na tak odpowiedzialne stanowisko osobę bez wiedzy i doświadczenia? Bardzo prosty: kontrolować ją i kierować każdym jej ruchem. Przecież prezydent i jego otoczenie wywodzą się właśnie z biznesu rozrywkowego, zarobili niemało na swoich filmach i serialach, więc z pewnością mają własną wizję rozwoju tej dziedziny. Niejednokrotnie krytykowali zresztą produkowanie filmów historycznych i patriotycznych, wyrażali oburzenie, że państwo może finansować tylko filmy ukraińskojęzyczne, uwierały ich również kwoty muzyczne regulujące nadawanie w radiu ukraińskich piosenek itp.

Za wcześnie, by mówić o realnych następstwach zmiany szefa Derżkina, ponieważ produkcja filmowa jest procesem długotrwałym i kosztownym. Warto podkreślić, że prace nad filmami, które odniosły sukces w styczniu 2020 roku, rozpoczęto dwa, trzy lata wcześniej. Chciałbym zatem wierzyć, że wraz ze zmianą władzy nie doświadczy zmian system państwowego wsparcia dla ukraińskiej kinematografii. W ciągu ostatnich kilku lat wykazało ono wszak wzrost nie tylko ilościowy, lecz także jakościowy.

Najlepszym potwierdzeniem, że kino ukraińskie żyje i rzeczywiście wywiera wpływ na społeczeństwo, jest obecny prezydent Ukrainy, rok temu zaledwie aktor w serialu politycznym. Oglądajcie zatem współczesne ukraińskie filmy – być może poznacie nazwisko następnego strażnika ukraińskiej konstytucji.

Przełożył Marcin Gaczkowski

Andrij Lubka jest ukraińskim pisarzem i poetą. Po polsku ukazały się między innymi powieść *Karbid* (2016) i *Pokój do smutku* (2018).

eprasa.pl 6f35c91f82

Społeczeństwo obywatelskie na Białorusi już jest
Ale niewidoczne

Ze Sciapanem „Nextą" Puciłą, prowadzącym autorskiego bloga na YouTubie i Telegramie, rozmawiają Joanna Getka i Maciej Piotrowski

MACIEJ PIOTROWSKI: Opublikowany na Twoim wideoblogu na YouTubie film *Łukaszenka. Materiały karne*, o skandalach wokół prezydenta, stał się sensacją roku na Białorusi. Obejrzały go już ponad dwa miliony osób. Jak udało Ci się dotrzeć do tak dużej widowni?

SCIAPAN „NEXTA" PUCIŁA: Zaczęło się długo, długo przed filmem. Najpierw była muzyczna grupa NEXTA, co po białorusku można przeczytać też jako „niechta", czyli „ktoś". Składała się z uczniów Liceum Humanistycznego im. Jakuba Kołasa w Mińsku. Najpierw nagraliśmy piosenkę *Wybora niet*, cover piosenki *Wychoda niet* rosyjskiej grupy Splin. Umieściliśmy ją na YouTubie, tydzień przed wyborami prezydenckimi w 2015 roku. Potem rozjechaliśmy się na studia, każdy do innego miasta, w Polsce i na Białorusi.

Kiedy zespół się rozpadł, zaczęliśmy się zastanawiać nad nowym sposobem wykorzystania kanału naszego zespołu na YouTubie. W akademiku wymyśliliśmy „Nu i Nowosti" – wiadomości z Białorusi. Ich pierwszy odcinek od razu uzyskał sześćdziesiąt tysięcy wyświetleń. To było dla nas zaskoczeniem.

M.P.: Skąd się wzięła popularność tego wideobloga?

S.P.: Na Białorusi nadal nie ma niezależnej telewizji, a ludzie byli zainteresowani tym, czego nie pokazują państwowe media. Widać to było po zwiększającej się liczbie wyświetleń i subskrypcji. Pokazywałem, jak naprawdę wygląda mój kraj. Później założyłem kanał w Telegramie – komunikatorze internetowym popularnym w Europie Wschodniej, zapewniającym anonimowość dzięki szyfrowaniu wiadomości. Nie planowałem go, ale zaczęto blokować nasze filmy na YouTubie, rzekomo ze względu na naruszenie praw autorskich, gdyż wykorzystywałem fragmenty z białoruskiej

eprasa.pl 6f35c91f82

telewizji. Zacząłem więc zapraszać moich subskrybentów na Telegram.

M.P.: I teraz jest to najpopularniejszy białoruski kanał w tej sieci. Wrzucasz tam insiderskie informacje o działalności białoruskiej władzy. Skąd je pozyskujesz?

S.P.: Aż 95 procent wrzucanej tam zawartości dostarczają mi obcy ludzie: urzędnicy, studenci. To takie dziennikarstwo społeczne. Gdy obywatele widzą, że dzieje się coś ważnego, kontrowersyjnego, informują mnie. Władze o tym wiedzą i oczywiście próbują ograniczać społeczeństwu dostęp do tej informacji. Gdy pojawił się Telegram, w tym mój kanał, zawężono dystrybucję informacji wewnętrznych wśród urzędników. Do urzędników niższego szczebla przestały docierać komunikaty między innymi o wypadkach w resortach siłowych. A tego typu spraw jest bardzo dużo, na przykład w wojsku niemal codziennie dochodzi do kilku poważnych incydentów, czasem śmiertelnych.

JOANNA GETKA: Dlaczego Ci pomagają? W przypadku Białorusi raczej trudno mówić o społeczeństwie obywatelskim.

S.P.: Zręby społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi istnieją, tylko są niewidoczne. Gdy ludzie dostrzegają niesprawiedliwość, chcą ją naprawić, a do mnie mają zaufanie. Wiedzą, że informacja trafi w odpowiednie ręce. Wiedzą też, że jeśli pewne sprawy nie zostaną nagłośnione, a potem ukarane, sytuacja nie poprawi się nigdy. Ostatnio dostałem wiadomość z Homla: pijany szef jednego z zarządów tamtejszej delegatury KGB (odpowiedzialny za śledzenie działań opozycji, co dodaje sprawie pikanterii) pobił z błahego powodu dyrektora restauracji. Niezależne media o tym nie pisały, bo nie chciały przekroczyć tej cienkiej czerwonej linii, za której naruszenie grożą konsekwencje. Kilka osób niezależnie wysłało mi tę informację, uznałem ją więc za wiarygodną i upubliczniłem.

J.G.: Czy myślisz, że takie osoby rzeczywiście będą ukarane?

S.P.: Jeśli informacja zostanie odpowiednio nagłośniona, to tak. Może też się zdarzyć, że będzie to pozorna kara.

J.G.: A czy zdarzało się, że osoby, które przekazywały informacje, spotkały się z represjami?

S.P.: Tak, szczególnie na początku, gdy nie wiedziałem, jak z pracować z materiałem otrzymanym od moich informatorów: jakie zdjęcia czy ich elementy można umieszczać w moich materiałach, jakie oznaczenia, sygnatury, trzeba usunąć z dokumentów, żeby nie dało się zidentyfikować ich źródła. Kilku osobom z Ministerstwa Obrony próbowano wytoczyć sprawy karne. Teraz działamy znacznie ostrożniej i na pewno bardziej profesjonalnie. Umożliwia nam to przede wszystkim Telegram, ponieważ zapewnia anonimowość – zezwala na otwieranie plików tylko na telefonach osób, któ-

eprasa.pl 6f35c91f82

re biorą udział w konwersacji, a także na usuwanie wiadomości bez śladu. Podobno w Ministerstwie Spraw Nadzwyczajnych ostrzegano ostatnio, że jeśli ktoś wyśle cokolwiek do Nexty, od razu wyleci.

J.G.: Zgłaszają się do Ciebie ludzie, którzy dążą do zmian w najbliższym otoczeniu – w swoim kołchozie, urzędzie. Czy oni wyobrażają sobie inny system?

S.P.: Ci ludzie dobrze rozumieją, że te „drobiazgi" to część wielkiego systemu, ale raczej nie wiedzą, jak można by go zmienić.

M.P.: W grudniu stworzyłeś wspomniany już film o wszystkich skandalach Łukaszenki – od lat 90. do dziś. W odróżnieniu od materiałów z Telegramu to był cios już we władzę centralną. Dlaczego się na to zdecydowałeś?

S.P.: Problemy lokalne i złe zarządzanie na szczeblu państwowym są wzajemnie powiązane. Chciałem skumulować materiały, przypomnieć różne wypowiedzi i zachowania prezydenta. Udało mi się to zrobić w jednym pięćdziesięciominutowym filmie.

M.P.: Co zdecydowało o sukcesie filmu – forma, język, nowe informacje?

S.P.: Wszystko po trochu. Sensacyjnie podane informacje, szybki nowoczesny montaż, muzyka – dzięki tym zabiegom formalnym przekaz dobrze trafił do widza. Film spotkał się z ogromnym zainteresowaniem młodzieży, dla niej przedstawione fakty były kompletnie nieznane. Starsi mieli okazję co nieco usłyszeć wcześniej lub wręcz byli naocznymi świadkami niektórych wydarzeń. Filmy Jurija Chaszczawackiego *Obyknowiennyj priezidient* (Zwyczajny prezydent) czy *Obyknowiennyje wybory* (Zwyczajne wybory) poruszają podobne jak mój tematy, ale powstały kilkanaście lat temu. Młodzi ich nie znają, nie pamiętają też spraw i polityków z lat 90.

M.P.: A co na to Łukaszenka? Czy zareagował?

S.P.: Nie wymienił mnie bezpośrednio, ale niejednokrotnie po publikacji filmu narzekał na działania „blogerów" i kilka razy odnosił się do faktów w nim przedstawionych, oczywiście po to, by im zaprzeczyć.

M.P.: Rezonans wokół filmu doprowadził 8 listopada 2019 roku na mińskim placu Wolności do protestu z udziałem młodych ludzi. Czym ta akcja różniła się od dotychczasowych demonstracji aranżowanych przez partie?

S.P.: Przede wszystkim była to inicjatywa oddolna: ludzie sami zaproponowali mi organizację akcji. Po publikacji filmu wielu widzów, a także innych blogerów, pytało, jak wykorzystamy jego popularność. Chcieli sprawdzić, czy ci, którzy oglądają nas online, będą gotowi do działania offline; zobaczyć, czy demonstrowanie swoich przekonań na ulicy ma sens.

eprasa.pl 6f35c91f82



Chcę działać w przestrzeni informacyjnej, bo to przynosi widoczne efekty: po każdej mojej publikacji w Telegramie władze panikują, próbują usunąć jakieś usterki, zamaskować.

Akcja miała być przeprowadzona w zupełnie nowym formacie, między innymi z projekcją filmu i mikrofonem dostępnym dla każdego.

M.P.: Nie mogłeś się na niej pojawić, bo mieszkasz w Warszawie. Na czym polegał Twój kontakt z obecnymi na placu?

S.P.: Nie mogę jeździć na Białoruś, bo wszczęto przeciwko mnie postępowanie karne pod zarzutem obrazy prezydenta. Moje wystąpienie miało być wyświetlone na projektorze. Akcja była zgłoszona oficjalnie, przeprowadzona legalnie w ramach spotkań przedwyborczych, jednak nie obyło się bez prowokacji i interwencji służb porządkowych. Niestety, nie udało się uruchomić sprzętu audiowizualnego. Dodatkowo, wiedząc, że planujemy spotkanie, władze zorganizowały w tym samym czasie i miejscu wiec propaństwowego zrzeszenia studentów, co doprowadziło do chaosu. Mimo wszystko zebra-

eprasa.pl 6f35c91f82

ło się około siedmiuset osób. Uczestnicy protestu byli wdzięczni za zorganizowanie tego spotkania, zadeklarowali chęć działania. Organizacja zgromadzenia publicznego wiąże się z różnymi problemami. Zgodnie z nową ustawą takie działanie wymaga na przykład wniesienia na rzecz służb komunalnych, medycznych i milicji opłaty za obsługę wydarzenia, czyli pilnowania porządku (chociaż te zadania i tak są finansowane z podatków). Kwota zmienia się w zależności od liczby uczestników i sięga nawet 2590 euro przy tysiącu osób, czyli osiemnaście minimalnych lub sześć średnich pensji na Białorusi. Nie możemy sobie pozwolić na działanie niezgodne z prawem.

J.G.: Jaki przyświeca Ci cel? Obudzić, przekazać informację, zachęcić do działania?

S.P.: Poinformować o tym, co się dzieje – bo niewiele mediów zapewnia Białorusinom informację niepoddaną cenzurze. Takiego kanału nie da się prowadzić na Białorusi. Oczywiście są niezależne media, ale nie odważą się pisać o wszystkim: jeśli będą „przeginać", czeka je los najpopularniejszej niezależnej strony tut.by, nękanej przez struktury siłowe, na przykład rewizjami w siedzibie portalu. Moim celem jest zachęcenie Białorusinów do krytycznego myślenia, do podawania oficjalnych informacji w wątpliwość. Chcę pokazać moim rodakom, że wszystko zależy od nich. Każdy z osobna żali się: „Co ja mogę?". Każdy myśli, że jest sam. Dzięki publikacjom na YouTubie i Instagramie pokazujemy, że takich ludzi jest dużo. To podnosi ogólny poziom oczekiwań i chęci zmian.

J.G.: Stereotyp przypisuje Białorusinom bierność. Podobno zawsze zaakceptują sytuację taką, jaka jest. Jak w tym kontekście oceniasz postawę młodych ludzi, którzy przyszli na Twoją akcję? Skąd się bierze ich gotowość do protestu?

S.P.: Białorusini rzeczywiście nie angażują się w politykę. Jeśli dzieje się coś, co im się nie podoba, nie zawsze reagują. Ale to efekt również aktywności władz: wmawia się Białorusinom, że są cichym i spokojnym narodem w małym, skromnym kraju, żeby nie pomyśleli, że mogą więcej. Porównuje się nas zawsze do wielkiej Rosji, pomijając fakt, że Białoruś jest solidnym pod względem terytorium państwem europejskim.

Niedawno przyjęto ustawę odbierającą studentom ochronę przed poborem do wojska. Wywołało to kontrowersje, ale zamiast protestować, młodzi decydują się na wyjazd z kraju, wybierają emigrację. To częsty temat dyskusji z moimi widzami, tyle że dużo osób pyta mnie nie o to, jak protestować przeciwko ustawie, lecz jak opuścić kraj, jak się żyje w Polsce.

J.G.: Protesty przeciwko integracji z Rosją pokazały jednak większą aktywność społeczną.

S.P.: Jeśli ludzie widzą, że nie ma milicji, potrafią wyjść na protest. Największy strach budzi brutalność służb, pobi-

eprasa.pl 6f35c91f82

cia. Łukaszenka nie tłumił tych protestów, bo – jakkolwiek dziwnie to brzmiało – były ważną kartą w negocjacjach z Putinem. Już po demonstracjach posypały się wysokie grzywny, parę osób trafiło na kilka dni do więzienia. Jak widać, Łukaszenka jednak boi się aktywności publicznej Białorusinów.

J.G.: Czy nie jest tak, że brak perspektywy sukcesu zniechęca ludzi do protestu? Młodzi nie znają przecież innej rzeczywistości niż obecna.

S.P.: Dwadzieścia lat rządów jednej osoby demoralizuje ludzi, zniechęca do działania. Szesnastolatkowie nie wyobrażają sobie już, że może być inaczej. Dla nich prezydent był od zawsze i nie warto nic z tym robić, to po prostu portret na ścianie. Może za jakiś czas zrozumieją, że to nie jest normalna, zdrowa sytuacja. Ci nieco starsi, po dwudziestce, rozumieją, że coś jest nie tak, ale nie wiedzą, co z tym zrobić. Wolą wyjechać z kraju.

J.G.: W jakich grupach społecznych widzisz potencjał na przeciwstawienie się systemowi?

S.P.: Duże nadzieje pokładam w białoruskim liceum humanistycznym. Jestem jego absolwentem. Funkcjonuje też państwowy, ale zrzeszający aktywną młodzież, Białoruski Republikański Związek Młodzieży. Działają grupy aktywistów zjednoczonych przeciwko ustawie o wojsku. Ci ludzie nie przebijają się jednak do opinii publicznej, bo nie mają dostępu do mediów, komunikują się tylko przez internet. Nie mają też dostępu do samorządu studenckiego. Nie znaczy to, że studenci pozostają bierni, ale ich działanie często spotyka się z niezrozumieniem, wewnętrznym oporem środowiska. Ostatnio w przeddzień tak zwanego wcześniejszego głosowania pewna studentka nagrała i chciała opublikować wystąpienie wykładowczyni, która wywierała presję na studentów, by szli głosować przed terminem. To znany sposób fałszerstw, wybory na Białorusi trwają zazwyczaj kilka dni. Oficjalnie chodzi o umożliwienie głosowania jak najszerszej rzeszy wyborców, w praktyce zaś rozciągnięcie wyborów w czasie utrudnia obserwację procesu wyborczego i służy zwiększeniu frekwencji legalnymi i nielegalnymi sposobami. Niestety, koledzy i koleżanki nie poparli tej dziewczyny, wręcz wystąpili przeciwko niej.

J.G.: Próby działania w pojedynkę nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Działania takie jak Twoje pokazują zarazem, że przeciwników systemu jest więcej. Czy dzięki nim może wzrosnąć nadzieja na zmianę?

S.P.: Tu mam problem. Niektórzy z odbiorców traktują moje filmy wyłącznie jak rozrywkę, a nie obiektywną, alternatywną informację. Analiza komentarzy pokazuje, że ludzie jednak rozumieją, o co chodzi, ale oburzenie online nie przekłada się na oburzenie w życiu codziennym, bo tam obowiązują inne zasady. W sieci rządzimy my – młodzi, niezależni, wolni. W „realu" tracimy moc, i to jest ta bolączka.

eprasa.pl 6f35c91f82

J.G.: Jaką rolę może odegrać opozycja polityczna?

S.P.: Opozycja jest od lat tłamszona, nie ma środków na funkcjonowanie. Ludzie nie wiedzą o jej działalności. Propaganda skupia się przede wszystkim na utwierdzaniu obywateli w przekonaniu, że nie ma alternatywy dla Łukaszenki.

M.P.: Jak odnosisz się do tezy, że to Łukaszenka jest gwarantem niepodległości Białorusi?

S.P.: Uważam ją za sprytny trik propagandowy: tylko obecny prezydent może obronić Białoruś przed Rosją. A przecież on od dwudziestu lat powtarza, że Białorusini to Rosjanie ze znakiem jakości, że jesteśmy jednym narodem. Nie wiem, czy to jest odpowiednia osoba do obrony niepodległości. On walczy o swoją władzę, nie o Białoruś. Wiele osób w tę tezę jednak wierzy. Rywala na horyzoncie nie widać, bo kontrkandydaci na prezydenta są od dawna na różne sposoby dyskredytowani i szykanowani.

M.P.: Co by się stało, gdyby Rosja wysunęła swojego kandydata?

S.P.: Moim zdaniem nie wygrałby z Łukaszenką. Ostatnie badania socjologiczne pokazują spadek poparcia dla integracji z Rosją. Białorusini mają coraz bardziej sceptyczny stosunek do wschodniego sąsiada: patrzą na ograniczenia ekonomiczne wywołane przez sankcje, boją się zaangażowania wojskowego Moskwy i wysyłania poborowych do Syrii, na Ukrainę. Rosja traci na popularności. Większe szanse miałby kandydat popierany przez Kreml zakulisowo, niewidocznie.

M.P.: Czy w administracji są ludzie, którzy chcieliby bronić niezależności Białorusi albo zmieniać system?

S.P.: Tak, nawet w milicji. To między innymi oni przysyłają mi insiderskie informacje. Zarazem jednak, podobnie jak w Rosji, są wśród rządzących osoby wyznaczone do pokazywania, że istnieje różnorodność opinii. Takim zadaniem obarczono na przykład premiera Rumasa, lansowanego na reformatora, modernizatora. W jego wypowiedziach wybrzmiewa postulat konieczności zmian. Niestety, to tylko słowa.

M.P.: Wykorzystałeś wolność internetu i nowoczesny przekaz, by zachęcać Białorusinów do aktywności społecznej. A czy białoruska władza nie próbuje zagospodarować internetu swoimi działaniami, swoimi blogerami?

S.P.: Robi to, ale nieumiejętnie. Władze wykreowały blogera, który skrytykował mój film, oskarżał, że pokazuję wyłącznie fejki. Zebrał czterysta wyświetleń. Dopiero gdy ja o nim napisałem na Instagramie, ich liczba wzrosła do dwóch tysięcy. Zamieścił jeszcze jedno wideo, ale miał dużo dislajków i nie kontynuował swojej aktywności.

M.P.: A działania represyjne?

S.P.: Nie znam żadnego blogera na Białorusi, który jakoś nie ucierpiałby przez

eprasa.pl 6f35c91f82

swoją działalność. Na przykład Marat Miński nie porusza tematów politycznych. Opowiada o tym, co warto zmienić w funkcjonowaniu miasta, a i do niego przychodzą funkcjonariusze KGB i wskazują mu granice, których nie powinien przekraczać. Zdarzają się grzywny, presja psychologiczna na rodzinę, ujawnianie szczegółów z życia prywatnego. Uładzimir Czudziancou, dziennikarz, który pomagał mi przy filmie o Łukaszence, został aresztowany. Gdy jechał do Polski, na granicy podrzucono mu narkotyki. Siedzi w więzieniu od listopada. Na Białorusi obowiązują bardzo wysokie kary za posiadanie narkotyków. Sprawa jest jednoznacznie polityczna i myślę, że ma związek z filmem.

M.P.: Wiele już osiągnąłeś jako bloger, zdobyłeś sporą popularność. Inny sposób na odczytanie Twojego pseudonimu to z angielskiego „następny". Kim „następnym" chciałbyś być w Białorusi?

S.P.: Nie mam ambicji politycznych, jeśli o to Ci chodzi, chociaż dużo ludzi zachęca mnie, żebym startował w wyborach prezydenckich. Uważam, że to bez sensu, bo polityki na Białorusi nie ma, jedna osoba decyduje o każdej dziedzinie życia. Ale chciałbym robić pożyteczne rzeczy, pomagać ludziom. Chcę działać w przestrzeni informacyjnej, bo to przynosi widoczne efekty. Po każdej mojej publikacji w Telegramie władze panikują, próbują usunąć jakieś usterki, zamaskować. Przez te drobiazgi dzieje się coś lepszego.

M.P.: Coś swoim działaniem zmieniasz, masz wpływ, czyli władzę. Jesteś już więc w polityce.

S.P.: Oczywiście, blog to czwarta władza. Jak w każdym kraju.

Sciapan Puciła – bloger i dziennikarz. Prowadzi autorskie kanały w YouTubie i Telegramie oraz program „Subiektyw" w Telewizji Biełsat.

Maciej Piotrowski – ekspert ds. Ukrainy w Instytucie Wolności, działacz Stowarzyszenia Folkowisko, w którego ramach współtworzy portal translatorski Rozstaje.art.

Joanna Getka – białorutenistka, rusycystka. Językoznawczyni, literaturoznawczyni, kulturoznawczyni. Autorka prac z zakresu kultury piśmienniczej białoruskiego i ukraińskiego obszaru kulturowego oraz kształtowania się nowoczesnej tożsamości kulturowej Białorusinów i Ukraińców.

eprasa.pl 6f35c91f82

Recenzje

Kraina miodu – podwójny macedoński kandydat do Oscara



Kraina Miodu (*Medena Zemja*), reżyseria: Tamara Kotevska, Ljubomir Stefanov, produkcja: Północna Macedonia, 2019.

Wybitny macedoński reżyser i scenarzysta Stołe Popov spróbował określić, co decyduje o powodzeniu produkcji filmowej. „Przejawia się ono w tym, jak silne dany film potrafi wzbudzić w widzach emocje" – powiedział. Jeśli mielibyśmy przyłożyć tę miarę do wyprodukowanego w 2019 roku macedońskiego filmu *Kraina miodu* w reżyserii Tamary Kotevskiej i Ljubomira Stefanova, bez wątpienia możemy mówić o wielkim osiągnięciu. Należy również zwrócić uwagę, że dzieło to nie tylko zmusza odbiorców do myślenia, ale też prowokuje do wyrażania swoich opinii oraz do aktywności społecznej, przez co dało asumpt do podjęcia dialogu. W odbiorze tego obrazu mamy zatem do czynienia ze zjawiskiem zgodnym z ustaleniami nieżyjącego już brytyjskiego teoretyka kultury Stuarta Halla: odbiorca tekstu kultury – w tym filmu – nie pozostaje jego biernym konsumentem, lecz interpretuje dzieło przez pryzmat swoich doświadczeń oraz wartości i nabiera do niego osobistego stosunku.

Recenzowany film przez trzy lata nagrywano w odległej górskiej macedońskiej wsi Bekirlija. Zdjęcia (ponad czterysta godzin materiału filmowego!) planowano wykorzystać w innej produkcji. Po raz pierwszy skupił na sobie uwagę szerokiej publiczności po tym, jak jego twórcy zostali trzykrotnie nagrodzeni na zeszłorocznym Sundance Film Festival. Od tego momentu zainteresowanie filmem znacząco wzrosło. Dzieło, które w pierwszej kolejności doceniły głównie branżowe magazyny, zostało dostrzeżone również przez gigantów medialnych: „Los Angeles Times" określił je mianem „łamiącego serce", a „The New Yorker" napisał, że film jest „porywający". Dzięki zdobytej popularności chwilę później film zaczęto pokazywać na całym świecie. W Polsce był promowany pod pozornie bardziej medialnym teaserem „gdy jeden łamie zasady, wszyscy płacą cenę", a nie prostszą miodową filozofią „pół dla mnie, pół dla pszczół" – uderzającą formułą odwołującą się do aktualnych globalnych wyzwań środowiskowych.

Co ciekawe, i podkreślają to autorzy filmu, *Kraina miodu* stałaby się „tylko" kolejnym ekologicznym filmem dokumentalnym, gdyby w spokojnej wiosce

eprasa.pl 6f35c91f82

Bekirlija – w środkowej części Macedonii Północnej – zamieszkanej wyłącznie przez macedońską nomadyczną pszczelarkę oraz jej matkę, nie pojawiła się będąca ich kompletnym przeciwieństwem rodzina. Warto podkreślić, że Bekirlija to miejsce niemal prehistoryczne. Nie ma w niej wodociągów ani elektryczności. Niczym w kapsule czasu zachowały się tu Bałkany z początków XX wieku, z czasów osmańskich. Twórcy filmu zbudowali niezwykle autentyczny obraz głównej bohaterki, czarującej Hatidże Muratovej – „ostatniej" europejskiej pszczelarki. Jej opieka nad ciężko schorowaną matką budzi w widzach zarówno podziw, jak i współczucie, ale przede wszystkim rozczula.

Równolegle z produkcją filmową twórcy przygotowali kampanię społeczną, której celem jest pomoc bohaterom filmu. Uczestnicy akcji mogą na przykład dokonać internetowego zakupu „trzydziestogramowego słoika najlepszego miodu z Krainy Miodu". Szczególną uwagę w analizie odbioru tego filmu zwraca właśnie reakcja macedońskiego społeczeństwa. Jak można było oczekiwać, masowa euforia osiągnęła apogeum w wieczór dziewięćdziesiątej drugiej edycji rozdania nagród Akademii Filmowej. Bez wątpienia podwójna nominacja do Oscara, w kategoriach „najlepszy film dokumentalny" oraz „najlepszy film zagraniczny" (sytuacja bez precedensu), wpisały *Krainę miodu*, jak odnotował „The New York Times", na trwałe w historię światowej kinematografii. W reakcji na sukces rząd Macedonii Północnej ogłosił wsparcie materialne dla bohaterów filmu, a także ekipy filmowej za jej wysiłek w promowaniu „podstawowych i szlachetnych wartości".

Warto zaznaczyć, że przed nominacją film był przedmiotem wielu krytycznych dyskusji. Toczyły się one w macedońskich mediach i na portalach społecznościowych. Ich uczestnicy często kierowali pod adresem *Krainy miodu* wysłużony zarzut samoorientalizacji i autostygmatyzacji, a także wytykali obrazowi pokazywanie Macedonii Północnej i jej mieszkańców jako zacofanych. Zrozumieniu tych negatywnych komentarzy może pomóc spojrzenie na historię macedońskiej kinematografii. Jej początków należy szukać w dziełach pionierów bałkańskiego filmu, słynnych braci Manaki, a także po zakończeniu II wojny światowej, gdy powstała socjalistyczna republika Macedonii w obrębie Jugosławii. Pierwszą ówczesną macedońską produkcją filmową było jeszcze czarno-białe dzieło Voislava Nanoviḱa *Frosina* (1952). W 1958 roku na ekrany weszła pierwsza produkcja kolorowa – *Miss Stone* Živorada Mitroviḱa.

Niedługo potem macedońsko-jugosłowiańska kinematografia dokonała zasadniczego politycznego zwrotu. Rozwój kina narodowo-historycznego trwał do połowy lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. W tym okresie powstało wiele filmów, jeszcze skromnych, które wyraźnie odzwierciedlały społeczno-polityczne oczekiwanie stworzenia narodowego kinematograficznego panteonu, między innymi *Republikata vo plamen* (Republi-

eprasa.pl 6f35c91f82

ka w płomieniach) z 1969 roku w reżyserii Ljubiša Georgievskiego oraz *Najdolgiot pat* (Najdłuższa podróż) z 1976 roku wyreżyserowana przez Branka Gapo. Motywem przewodnim obu tych obrazów było powstanie ilindeńskie z 1903 roku przeciw Imperium Osmańskiemu. Wydarzenie to miało szczególne znaczenie w procesie narodotwórczym Macedończyków, rocznica jego wybuchu jest świętem narodowym od momentu powstania republiki jugosłowiańskiej, a następnie niepodległej Macedonii. Z drugiej strony ostentacyjne faworyzowanie jugosłowiańskich aktorów i tematyki na niekorzyść Macedonii w czasach socjalizmu wytworzyło z czasem potrzebę ponownego przeanalizowania i odniesienia się do macedońskich produkcji w Jugosławii. Chodziło szczególnie o sprawę aktora Rista Šiškova, w późnych latach siedemdziesiątych aresztowanego za nacjonalizm.

Państwo macedońskie uzyskało niepodległość w 1991 roku. Od razu doświadczyło poważnych napięć z sąsiadami i borykało się z problemami wewnętrznymi. Ta sytuacja stała się dla Macedończyków szansą na symboliczną rekonstrukcję rzeczywistości społecznej. Jako przykład takiego przedsięwzięcia należy wymienić film Milča Mančevskiego *Przed deszczem*, w 1994 roku nominowany do Złotych Lwów i Oscara. Był to drugi wielki sukces macedońskiego artysty, po nominacji do Oscara w 1974 roku krótkiego dokumentu *Dae* w reżyserii Stołego Popova. Mančevski ma na koncie jeszcze jedno wielkie osiągnięcie międzynarodowe. Wyreżyserowany przez niego film *Proch i pył* z 2001 roku został wyprodukowany w połowie siedmiomiesięcznej wojny domowej między Albańczykami i Macedończykami, toczącej się wówczas w Macedonii Północnej.

W 2006 roku do władzy w Macedonii Północnej doszła prawica. Pod jej dziesięcioletnimi rządami urzeczywistnił się postulat „nacjonalistycznego zwrotu", również w odniesieniu do macedońskiej produkcji filmowej. Finansowana wówczas ze środków publicznych promocja heroicznych opowieści o narodowej historii, wraz z postkolonialnym dyskursem wokół filmu *Proch i pył*, była często przedstawiana jako odejście od prób tworzenia sztuki odpowiadającej stereotypowemu zapotrzebowaniu widzów zachodnich na zorientalizowany obraz Bałkanów. Do grona negatywnie ocenianych twórców, którzy tego typu filmy produkowali dla zachodniego odbiorcy, zaliczano na przykład Emira Kusturicę. Tak samo krytycznie oceniano ambitne macedońskie produkcje z lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady XXI wieku, które pokazywały ciemne strony codziennego życia w Macedonii.

Wracając do *Krainy miodu*, należy zdecydowanie stwierdzić, że krytykowanie tego obrazu na podstawie argumentu samoorientalizacji i autostygmatyzacji było nieuzasadnione, wręcz zupełnie nietrafione. Film ten pokazuje najbardziej progresywny wymiar współczesnej macedońskiej rzeczywistości artystycznej. Poruszany w nim temat jest jak najbar-

eprasa.pl 6f35c91f82

dziej aktualny i, co najważniejsze, osadzony w globalnej debacie o stanie planety i środowiska. Dzieło wzbogaca kampania społeczna oraz wieloetniczny zespół młodych artystów, którzy postrzegają współczesne zagrożenia w radykalnie odmienny sposób. Są wyraźnie wolni od starych schematów i nie powielają dotychczasowych kalek. Trajče Stojanov twierdzi, że w *Krainie miodu* nie ma „Zachodu jako normatywnego punktu odniesienia", a poprzez „celebrowanie różnic" obraz ten wręcz udziela Zachodowi bardzo ważnej lekcji.

Ostatnio w jednym z programów telewizyjnych Kotevska upubliczniła ciekawą informację związaną z *Krainą miodu*. Artystka postanowiła się nią podzielić po odbytym światowym tournée. Film został pokazany między innymi w Nowej Kaledonii na festiwalu filmowym Le Festival de La Foa. Lokalna społeczność melanezyjska odebrała *Krainę miodu* niezwykle pozytywnie. Zdaniem Kotevskiej „bez względu na to, czy mieszkamy w Nowym Jorku czy w Nowej Kaledonii, ludzie wszędzie czują tak samo".

Słowa te wprost prowadzą do myśli reżysera Popova, że sukces filmu fabularnego jest proporcjonalny do emocji, jakie budzi on wśród publiczności. Stąd wniosek, że *Kraina miodu* jest niewątpliwie wielkim sukcesem macedońskiej kinematografii.

Naum Trajanovski

Dekalog zła

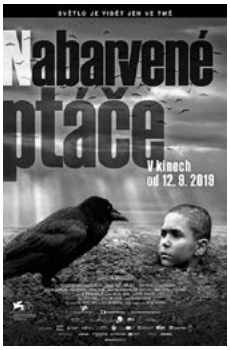

Malowany Ptak (*Nabarvené ptáče*), reżyseria: Václav Marhoul, produkcja: Czechy, Słowacja, Ukraina, 2019.

Opowieść Jerzego Kosińskiego o losach chłopca, którego w czasie II wojny światowej rodzice chcieli uratować, wysyłając go do wschodnioeuropejskiego miasteczka, powstała w 1965 roku i do dziś wywołuje liczne kontrowersje. Doczekała się nawet odpowiedzi w postaci opracowania Joanny Siedleckiej *Czarny ptasior*. Ekranizacja książki *Malowany ptak* w reżyserii Václava Marhoula była czeskim kandydatem do Oscara w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny" za 2019 rok i znalazła się na krótkiej liście (dziesięć filmów).

Co ciekawe, już w 2013 roku scenariusz do tego filmu otrzymał nagrodę specjalną przyznawaną przez jury Nagrody Scrip-Teast im. Krzysztofa Kieślowskiego za najlepszy scenariusz z Europy Środkowej i Wschodniej. W 2019 roku dzieło Marhoula było również czeskim kandydatem do weneckiego Złotego Lwa. W 2020 roku Czeska Akademia Filmowa i Telewizyjna przyznała mu aż osiem statuetek Czeskiego Lwa.

Marhoul, scenarzysta, reżyser oraz producent filmu *Malowany ptak*, przyznaje, że książka Kosińskiego go zafascynowała, dlatego wbrew przeciwnościom

eprasa.pl 6f35c91f82

natury finansowej i artystycznej postanowił ją zekranizować. Przygotowania zajęły mu jedenaście lat. W tym czasie podejmował między innymi próby realizacji filmu we współpracy z wytwórniami polskimi i izraelskimi. Ostatecznie udało mu się doprowadzić do koprodukcji czesko-słowacko-ukraińskiej, jednej z najkosztowniejszych w historii czeskiej kinematografii. W *Malowanym ptaku* występują gwiazdy światowego kina: Stellan Skarsgård, Harvey Keitel, Julian Sands i Udo Kier. Reżyser mówi, że jego marzeniem było zrobienie filmu, który pozostałby w pamięci widzów. Aby osiągnąć ten cel, zaoferował im ponad trzy godziny przekraczania wszelkich granic, poczynając od długości filmu, a kończąc na testowaniu ich odporności na zło, emocje i przemoc.

Film rzeczywiście zaistniał w publicznej debacie. W znaczących czasopismach rozprawiali o nim wybitni europejscy i amerykańscy krytycy. Podobnie jak książkę jedni uznali go za arcydzieło, inni za „pornografię przemocy". Marhoul prowokuje bowiem do granic wytrzymałości. Nie bez przyczyny na pokazach filmowych w Wenecji i Toronto widzowie opuszczali salę kinową. W Czechach film cieszy się natomiast dużą popularnością.

Spiralę przemocy wobec tułającego się chłopca, wyglądającego inaczej niż miejscowi, słowiańscy wieśniacy, reżyser tworzy według następującego schematu: przyjście chłopca, horror przemocy, ucieczka chłopca. W ten sposób buduje swoisty niepełny dekalog zła, którego poszczególne części nazwane są imionami sprawców gwałtów na ciele i duszy głównego bohatera. Bestialstwa dorosłych czynione dziecku i w obecności dziecka zwielokrotniają swoje rozmiary. Reżyser twierdzi jednak, że „przemoc jest projekcją fantazji widza", gdyż kamera zatrzymuje się przed najokrutniejszymi scenami. Mimo to film epatuje przemocą, jakby twórcy eksperymentowali na widzu, zostawiając go sam na sam z pozbawionym podkładu muzycznego czarno-białym obrazem.

Ostatnią scenę może sobie dopisać każdy we własnej wyobraźni. Reżyser otwiera przestrzeń dla brutalności i bestialstwa, lecz to widz poddany jest próbie. On ma zdecydować, gdzie postawić granice przemocy wobec Innego. Inność w filmie, podobnie jak w książce, może być jednocześnie bliska i daleka, egzotyczna i tutejsza, zależy od interpretacji. Innym może być każdy, kto jest słabszy. Dziesiąty rozdział może zostać napisany również przez chłopca – jego postępowanie po horrorze tułaczki stanie się projekcją działań jego ciemiężycieli.

Zdjęcia do *Malowanego ptaka* kręcono w Czechach, na Słowacji, w Polsce i na Ukrainie. Zgodnie z umiejscowieniem wydarzeń w książce Kosińskiego akcja filmu rozgrywa się gdzieś na słowiańskich „skrwawionych ziemiach". Europejskie słowiańskie peryferie funkcjonują jako laboratorium przemocy nie tylko wobec Innego, ale wobec bliźniego w ogóle. Reżyser zadbał o przestrzenną, niemal prasłowiańską nieokreśloność, ale

eprasa.pl 6f35c91f82

również o słowiański uniwersalizm językowy. Uderza brak dialogów. W nielicznych sytuacjach protagoniści posługują się mało naturalnym słowiańskim esperanto. Nagradzany czarno-biały obraz przyczynia się do uniwersalizacji przekazu: czarne jest czarne, zło jest złem. Taka kolorystyka pozwala interpretować film w kilku liniach czasowych: w mitycznej bezczasowości, w historycznym kontekście II wojny światowej lub w odniesieniu do współczesnego kryzysu imigracyjnego.

Książkę Kosińskiego czytałam po raz pierwszy w klasie maturalnej, około roku 1990. Nowy polonista wprowadził nam lektury spoza obowiązującej listy. Zawarte w powieści sceny okrucieństw wywarły na mnie duże wrażenie, jednak zapamiętałam również piękne baśniowo-balladowe opisy. Tych zabrakło mi w ekranizacji Marhoula, powstaje więc pytanie czemu, poza odwzorowaniem książkowego pierwowzoru, ma służyć taka artykulacja przemocy. Czeski reżyser przyznaje, że jego zamiarem było stworzenie z przemilczanej, zakłamywanej historii, która wciąż wzbudza duże emocje, uniwersalnej opowieści, paraboli o strachu przed innością i stosowaniu w kontakcie z nią przemocy.

W filmie brakuje również odniesień do związanego z książką wątku żydowskiego. Innym może być każdy, kto nie jest swój pod względem narodowości, koloru skóry, religii. Główną rolę gra dziewięcioletni Rom Petr Kotlár. W tym kontekście rodzi się pytanie, kim jest dziecko, które niesie w sobie taką pamięć. Moim zdaniem Marhoul proponuje widzowi wyprawę w kierunku kulturowych i historycznych korzeni współczesnego słowiańskiego środkowowschodniego Europejczyka i dochodzi aż do zapoznanego „jądra ciemności". Nie znajduję w filmie skojarzeń z Polską, uważam natomiast, że można go odczytać jako dyskusję z pokutującym i kulturowo mocno zakorzenionym mitem słowiańskiej sielskości. Marhoul widzi w mieszkańcach słowiańskich peryferii Europy Środkowo-Wschodniej nie lud „miłujący sielanki", lecz ucieleśnienie prymitywnej formy kultury przemocy i strachu.

Twórcom filmu udało się zuniwersalizować przekaz książki Kosińskiego. Katalog przemocy zaproponowany przez czeskiego reżysera można odczytywać jako zwierciadło środkowoeuropejskich fobii i lęków. Film wstrząsa i nie daje żadnej nadziei, niektóre sceny powodują wręcz ból. *Malowany ptak*, zgodnie z oczekiwaniami jego twórców, zaistniał nie tylko w kontekście europejskim, ale również światowym. Czy tyle wystarczy, żeby film nie popadł w zapomnienie? To zależy, w jakim stopniu odbiorcy zechcą jeszcze brać udział w dyskusji o winie i ofierze i czy będą gotowi na burzenie własnego indywidualnego i zbiorowego dobrostanu.

Irena Bilińska

eprasa.pl 6f35c91f82

Na przekór węgierskiej pamięci o Holokauście



Ci którzy pozostali (*Akik maradtak*), reżyseria: Barnabás Tóth, produkcja: Węgry, 2019.

Ci, którzy pozostali, węgierski film w reżyserii Barnabása Tótha, znalazł się w 2019 roku na tak zwanej krótkiej liście kandydatów do Oscara w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny". Jak można się domyślić już po tytule, obraz ten nawiązuje do tragedii Holokaustu. Jego akcja toczy się po zakończeniu II wojny światowej, a dokładnie w początkowym okresie zakorzenienia się na Węgrzech komunizmu pod rządami Mátyása Rákosiego. W latach 1945–1956 pełnił on funkcję I sekretarza Węgierskiej Partii Komunistycznej (w 1948 roku przekształconej w Węgierską Partię Pracy).

Film jest ekranizacją powieści Zsyszany F. Várkonyi pod tym samym tytułem, wydanej w 2004 roku. Losy czterdziestodwuletniego lekarza Aladára i szesnastoletniej Kláry zostały przedstawione na tle szerszych zmian społecznych i politycznych, które dokonywały się w Europie Środkowej w połowie XX wieku. W trakcie wojny Aladár stracił żonę, jego dwaj synowie zmarli w obozie koncentracyjnym. Rodzice Kláry nie wrócili do domu z jenieckiej niewoli. Córka pod opieką babci wyczekuje ich powrotu. Jej los zaczyna się splatać z losem Aladára, między bohaterami nawiązuje się przyjaźń. Rozpoczynając wspólne życie, próbują wrócić do normalności. Ta jednak wygląda teraz inaczej niż przed wojną, gdyż na Węgrzech zakorzenia się system komunistyczny. Trudno chyba nie zgodzić się z autorem jednej z recenzji tego filmu, który zauważył, że *Ci, którzy pozostali* traktuje *de facto* o dwóch koniecznościach przetrwania – Holokaustu i komunistycznego totalitaryzmu.

Film Tótha nie jest pierwszą węgierską produkcją poruszającą temat Zagłady. W 2015 roku Oscara w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny" otrzymał *Syn Szawła* w reżyserii László Némesa. Wzbudził wiele kontrowersji, a jego krytycy argumentowali, że węgierskie instytucje rządowe nie powinny promować na świecie filmów sugerujących węgierską odpowiedzialność za Holokaust. (W rzeczywistości *Syn Szawła* w ogóle nie porusza tej kwestii, za co krytykowała go z kolei przeciwna, liberalna strona). Temat ten już od dłuższego czasu został niemal instytucjonalnie wyparty z przestrzeni publicznej, w tym ze szkolnych programów nauczania.

Na Węgrzech recenzji filmu Tótha nie opublikowano wiele, z kilku powodów. Po pierwsze, jest to film niskobudżetowy, a zatem nie był mocno promowany, co przełożyło się na niezbyt liczną widownię. Po drugie, i co ważniejsze, filmy o Holokauście i jego traumie na ogół nie są adresowane do węgierskich widzów. Ich odbiorcy mieszkają zazwyczaj poza Węgrami. Ciekawostką jest natomiast, że wy-

eprasa.pl 6f35c91f82

powiadający się o *Ci, którzy pozostali*, przedstawiciele rządu (który przeznaczył spore środki finansowe na realizację tego filmu) mieli o nim raczej pozytywne zdanie, choć ich opinie były pozbawione głębszej analizy. Węgierskie społeczeństwo nadal wyraża natomiast poważne obawy, że takie filmy utrwalają negatywne stereotypy o Węgrach jako sojusznikach Hitlera.

Niemniej prawda historyczna jest nieubłagana. Węgry w czasie II wojny światowej dołączyły do państw Osi, choć oczywiście nie należy zapominać, że uczyniły to osiemnaście lat po utracie dwóch trzecich swoich ziem i 70 procent ludności (w tym 30 procent etnicznych Węgrów) w wyniku zawartego w 1920 roku traktatu pokojowego w Trianon. W dużym uproszczeniu, przyłączając się do państw Osi, na mocy międzynarodowych arbitraży Węgry po niespełna dwóch dekadach odzyskały część utraconych ziem. Te jednak ponownie utraciły w 1945 roku. Jako państwo Osi Węgry wzięły również udział w Holokauście, a z ich terenów wywieziono do obozów zagłady, przy udziale węgierskiej administracji i policji, setki tysięcy Żydów i wielu Romów. Odpowiedzialność za te wydarzenia została rozmyta i dzisiaj jej temat na Węgrzech niemal nie istnieje. Mimo to stosunki rządu węgierskiego z Izraelem uległy w ostatnich latach znacznej poprawie. Władzom państwa, na którego terytorium jeszcze mieszkają osoby ocalone z Holokaustu, najwyraźniej nie przeszkadza brak rozliczenia z przeszłością.

Pomnik upamiętniający ofiary II wojny światowej w centrum Budapesztu, nieopodal placu Wolności (stojący zresztą w sąsiedztwie wielkiego pomnika ku czci żołnierzy radzieckich), do dzisiaj wywołuje ogromne emocje i kontrowersje. Nawiązuje kształtem do anioła ze szczytu pobliskiej wieży. Anioł na pomniku jest alegorią węgierskich ofiar II wojny światowej. Nad nim unosi się wielki złowrogi orzeł – oczywiście niemiecki. Inskrypcja wyjaśnia, że pomnik wzniesiono dla upamiętnienia ofiar niemieckiej inwazji. Nie ma tam jednak ani słowa o ofiarach węgierskiego zaangażowania w Holokaust. Od pewnego czasu na okalających pomnik łańcuchach aktywiści zamieszczają zdjęcia ofiar Holokaustu oraz inne dowody tej niechlubnej karty węgierskiej historii.

Po sukcesie *Syna Szawła* w 2015 roku przez Węgry przetoczyła się debata na temat tego, które wydarzenie w historii Węgier przyniosło większą traumę – Trianon czy Holokaust. Co ciekawe, jak pokazała nie tylko ta debata, ale również inne dyskusje i badania, oś politycznego podziału wśród Węgrów przebiega nie tylko wzdłuż linii prawica/lewica; objawia się także w ich stosunku do obydwu tragedii. Pokój w Trianon jest wydarzeniem traumatycznym dla środowisk prawicowych, natomiast Szoa z udziałem państwa węgierskiego jest zmorą liberałów i grup lewicowych. Węgierska prawica ewidentnie nie przyjmuje żadnej odpowiedzialności Węgier za Holokaust. Dlatego gdy po sukcesie filmu Né-

eprasa.pl 6f35c91f82

mesa w Cannes w 2015 roku Uniwersytet Katolicki Pétera Pázmánya zaproponował wprowadzenie obowiązkowego przedmiotu akademickiego „Holokaust i pamięć", pomysł ten został stanowczo skrytykowany przez środowiska związane z partią Jobbik. Jednolitego stanowiska nie zajęli także historycy. Sprawę dodatkowo skomplikował brak możliwości ukończenia studiów i uzyskania odpowiednich tytułów – czy to licencjata, czy magistra – bez zaliczenia tego przedmiotu. Co ciekawe, jego założenia programowe zostały opracowane nie na Węgrzech, lecz w Izraelu. Ich autorami byli naukowcy z uniwersytetu w Tel Awiwie.

W 2018 roku, trzy lata po premierze *Syna Szawła*, na placu Bohaterów w Budapeszcie wystawiono rock operę *Trianon*, opowieść o węgierskiej historii od końca I wojny światowej po rok 2015. Temat Holokaustu został w tej produkcji ograniczony do kilkudziesięciosekundowej sekwencji, skonstruowanej w taki sposób, że nie padło w niej nawet słowo o węgierskim udziale w Zagładzie, a II wojna światowa zakończyła się sceną, w której pojawia się czerwona fala symbolizująca rządy komunistyczne.

W 2017 roku, podczas wizyty premiera Beniamina Netanjahu w Budapeszcie, premier Węgier Viktor Orbán przyznał, że Węgry kolaborowały z Niemcami podczas II wojny oraz popełniły grzech, nie zapewniając ochrony żydowskim obywatelom, nie przeprosił jednak *explicite* za współudział państwa węgierskiego w Holokauście. W 2019 roku na łamach gazety „Magyar Nemzet" ukazał się artykuł Pétera Borossa (1993–1994). Były premier napisał, że Żydzi na Węgrzech mieli większe szanse na przetrwanie aniżeli w innych krajach, rzekomo dzięki regentowi Miklósowi Horthyemu. Teza ta jest kolejnym zaprzeczeniem węgierskiej odpowiedzialności za Szoa i tragedię Żydów w czasie II wojny światowej.

Ci, którzy pozostali jest filmem ważnym również ze względu na wspomniane szersze tło. Składają się na nie węgierska polityka historyczna i pamięć o II wojnie światowej. To właśnie przez te czynniki filmy, które dotyczą Holokaustu, nie mają na Węgrzech dużej widowni. Ich produkcji zawsze towarzyszy pytanie: dlaczego nie zrobiono jeszcze filmu o Trianon lub o węgierskiej tragedii nad Donem, bitwie, w której na froncie wschodnim w 1943 roku zginęło około stu tysięcy Węgrów? W jednym z wywiadów pełnomocnik rządu ds. kultury odpowiedział, że jednym ze znaczących elementów tworzenia filmu, który decyduje o jego powodzeniu w Hollywood, jest dobór tematu. Tym samym pozostawił celowe niedopowiedzenie w kwestii stosunku władz węgierskich do trudnej przeszłości.

Dominik Héjj

eprasa.pl 6f35c91f82

Nowatorska ekranizacja klasyki

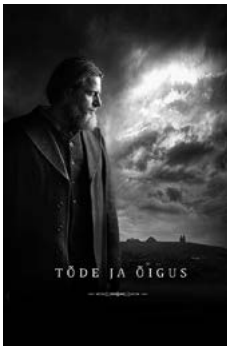

Prawda i sprawiedliwość (*Tõde ja õigus*), reżyseria: Tanel Toom, produkcja: Estonia, 2019.

Rok 2019 był dla Estończyków wyjątkowy, dzięki produkcji filmowej Tanela Tooma *Prawda i sprawiedliwość* dokonali bowiem oni ważnej autorefleksji. Film pokazano w estońskich kinach rok po tym, jak Estonia świętowała stulecie swojego powstania. Oczywiście nie zapomniano, że ogłoszona 24 lutego 1918 roku niepodległość nie doprowadziła Estończyków do natychmiastowej wolności.

Świętowanie rocznicy uzyskania przez Estonię niepodległości z różnych przyczyn nie oznacza, że państwo to od zawsze miało własną narrację tożsamościową. Zdarza się, że jakiś kraj staje się częścią narracji tożsamościowej innego narodu, czego najlepszym dowodem jest inwokacja polskiej epopei narodowej („Litwo! Ojczyzno moja!" w *Panu Tadeuszu*). W Estonii wciąż przekazujemy następnym pokoleniom średniowieczną legendę o duńskiej fladze, *Dannebrog* (biały krzyż na czerwonym tle), która spadła na nasz kraj z nieba w momencie, gdy toczyliśmy bitwę obronną z duńskim najeźdźcą. Flaga dała Duńczykom siłę do dalszej walki. I chociaż Estończycy tę bitwę przegrali, opowieść o fladze połączyła Estonię i Danię na dobre i na złe. Po zwycięstwie Dania panowała nad Estonią przez blisko sto trzydzieści lat i nawracała Estończyków na chrześcijaństwo.

Zdobyty wówczas przez Duńczyków *Taani linn*, czyli „duńskie miasto", do dzisiaj pozostał Tallinem, a *Dannebrog* nadal jest flagą narodową Danii. W czasach nowożytnych nad Estonią przez sto pięćdziesiąt lat panowała Szwecja i odcisnęła wielkie piętno na estońskiej kulturze. Nikogo więc nie dziwi, że pierwszymi właścicielami stworzonego przez estońskich programistów Skype'a byli Szwed i Duńczyk. Estończycy pozostaliby pewnie na zawsze w cieniu Skandynawów, gdyby nie pięciotomowa powieść *Tõde ja õigus* (Prawda i sprawiedliwość) estońskiego pisarza Antona Hansena Tammasaare'a (1878–1940), dzieło o narodowej tożsamości Estończyków.

Ekranizacja powieści w 2019 roku trafiła nie tylko na właściwy moment historyczno-rocznicowy, ale również na czas, w którym estońskie społeczeństwo było już wystarczająco dojrzałe, by odpowiedzieć na pytanie: „Jak udało nam stać się narodem, skoro uzyskaliśmy niepodległość zaledwie sto lat temu?". Zadając je pośrednio, Toom uczynił swoją ekranizację najważniejszym estońskim dziełem filmowym, tak samo jak powieść Tammasaare jest dla Estończyków bezdyskusyjnie najważniejszą książką.

Niektórzy z nas może jeszcze pamiętają, jak w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku amerykański prezydent Ronald Reagan przyczynił się do popularyzacji fikcyjnej postaci Johna Jamesa Rambo,

eprasa.pl 6f35c91f82

bohatera filmów akcji, które następnie stały się hitem na skalę prawie niespotykaną. Prezydent Estonii Kersti Kaljulaid nie musiała produkcji Tooma w żaden sposób reklamować. Około 20 procent społeczeństwa z własnej woli poszło do kin obejrzeć ekranizację dzieła Tammasaare'a – ten wynik bije na głowę wszelkie dotychczasowe rekordy oglądalności. Pani prezydent nawiązała jednak do filmu w swojej mowie, którą wygłosiła 24 lutego 2020 roku podczas bankietu z okazji Dnia Niepodległości Estonii.

Przemówienie stało się ważnym punktem odniesienia dla wszystkich osób zaangażowanych w dyskusję wywołaną tym filmem. Zadając kilka ogólnych pytań typu: „Co uszczęśliwia Estończyków?", „Czy jedno pokolenie musi ponieść ofiarę, żeby następnemu żyło się łatwiej?", „Stabilizacja to przekleństwo czy błogosławieństwo?", Kaljulaid przekazała radę, która dla przeciętnego Estończyka brzmi naprawdę rewolucyjnie: naród powinien się odrobinę zrelaksować. Dosłownie powiedziała: „Wiara, że możemy dokonać wielkich czynów, byłaby zabójcza, ponieważ te, których już dokonaliśmy, zostałyby stracone. Tak, teraz możemy się odrobinę zrelaksować. Nie chcemy przecież żyć tak, jak ludzie żyli na farmie, gdzie najważniejszą rzeczą była praca. Członkowie rodziny Andresa [bohaterowie powieści Tammasaare'a – przyp. A.M.N.] nie potrafili się cieszyć. Chociaż żeby być fair, trzeba przyznać, że wówczas zabawa była rodzajem tajemnicy, gdyż nie można było zbyt jawnie okazywać radości".

W duchu swoistego nordyckiego sarkazmu można przyjąć, że od 2020 roku Estończycy mają powód, aby co roku w lutym wygodnie rozciągnąć się na kanapie i przez trzy godziny oglądać na ekranie telewizora sagę o własnej tożsamości, trochę się przy tym relaksując. A na poważnie warto się jednak zastanowić, co takiego jest w tym filmie, że pomógł on 1,3 miliona Estończyków uświadomić sobie, kim naprawdę są. Przedstawione w filmie losy Andresa Paasa zdają się być łatwe do zrozumienia przez współczesnych Estończyków. Andresa „poznajemy" w 1872 roku i „przeżywamy" z nim dwadzieścia cztery lata jego egzystencji, próbując w odniesieniu do niej zrozumieć, czym dla nas są prawda i sprawiedliwość. W pierwszej kolejności okazuje się, że tak jak bohater filmu nie potrafimy uwolnić się od walki z ostrym nordyckim klimatem. Na ekranie przemijają kolejne pory roku, a my odnosimy wrażenie, że nawet życie Andresa i jego żony Krõõt, jak również ich pomocników, wygląda tak samo niezależnie od warunków atmosferycznych i nigdy nie znajdują oni czasu na odpoczynek. Kopanie rowu nigdy nie ustaje, nawet przy najgorszej pogodzie. Pracę tę należy skończyć pomimo kłótni z sąsiadami, bo nie można dopuścić do zalania pól wodą. To wyzwanie sprawia, że trzeba nieustannie pracować…

Drugim ważnym tematem poruszanym w filmie jest brak wyrozumiałości dla siebie i ludzi, na których powinno nam zależeć. Kiedy Mari i Juss, pracownicy Andresa, zaczynają plotkować

eprasa.pl 6f35c91f82

o tym, jak bezlitosny jest ich pracodawca, widzowie dostrzegają również drugą stronę medalu, a mianowicie brak litości Andresa dla siebie i Krõõt. Dla tego człowieka nie liczy się nic poza farmą. Za życia żony Andres bezrefleksyjnie obstaje przy swojej prawdzie, ignoruje potrzeby własnej rodziny. Krõõt, jak na posłuszną żonę przystało, próbowała przekierować uwagę męża na dzieci; jej zdaniem powinny zapamiętać go jako kochającego ojca, szczególnie jeśli Andres faktycznie chciałby, żeby w przyszłości zostały na rodzinnej farmie i pomogły mu przy pracy. Krõõt jednak umiera przedwcześnie, a zimne słowa jej męża, że przed śmiercią „pracowała tyle, ile chciała", odbijają się echem aż końca filmu. Można powiedzieć, że to najczarniejsza wersja równouprawnienia… Ostateczny cios nadchodzi jednak szybko – biorąc pod uwagę krótkie życie głównego bohatera – a mianowicie w trakcie jedynej uczciwej i poufnej rozmowy Andresa z dziećmi. Najstarszy syn oznajmia, że w mieście, z dala od rodzinnej farmy, znalazł lepsze życie.

Trzeci filar filmu dotyczy relacji człowieka z Bogiem. Dla współczesnego estońskiego, bardzo zsekularyzowanego społeczeństwa jest to kolejne ironiczne przesłanie, a reżyser wydobył je niczym skamielinę zakonserwowaną w kapsule czasu. Pełen dobrych intencji Andres próbuje ułożyć się z Bogiem. Błaga, by Stwórca ocalił mu żonę, która dopiero co urodziła ich długo oczekiwanego syna. Jak widać, pełne desperacji czasy wymagają desperackich kroków, w tym przypadku podejmowanych przez właściciela farmy. Gdy Andres wykorzystał już w pełni życzliwość i oddanie swojej żony, przyszedł czas na Boga. Opatrzność nie okazała się jednak życzliwa. Krõõt zmarła, a jej męża nic już nie mogło uchronić przed upadkiem moralnym. Jak zauważa jeden z bohaterów filmu, Andres poszukując tytułowej prawdy i sprawiedliwości, bezrefleksyjnie odwołuje się do słów Boga. Jego droga do sprawiedliwości to udowadnianie swojej racji, za wszelką cenę.

Mając na uwadze wszystkie dowody uznania dla filmu *Prawda i sprawiedliwość* w Estonii i na świecie (w tym miejsce na krótkiej liście kandydatów do Oscara w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny"), trzeba szczególnie podkreślić, że dał on nowe życie powieści. Ta ostatnia wydawała się „kanonizowana", gdyż jest już od dawna dostępna w każdej estońskiej bibliotece, a zapewne także na półce w prawie każdym estońskim domu. Dzięki ekranizacji powieść zyskała jednak na realizmie, a przez to stała się również ciekawsza. W przeciwieństwie jednak do Rambo, który działał w wielu miejscach i którego sława obiegła cały świat, Andres, Juss, Krõõt czy Pearu nigdy nie opuścili Estonii, ponieważ oni są Estonią. I co najważniejsze, w ekranizacji *Prawdy i sprawiedliwości*, inaczej niż w powieści Tammasaare'a, Andres dostaje drugą szansę na nowy początek i wyciągnięcie wniosków z gorzkiej lekcji, jaką dało mu życie.

Anna-Maria Nizovtseva

eprasa.pl 6f35c91f82

Wysoka dziewczyna – o wojnie inaczej

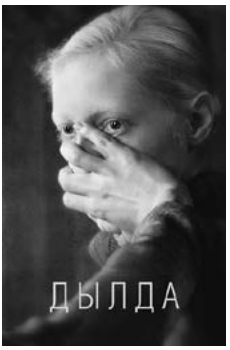

Wysoka dziewczyna, (*Dylda*), reżyseria: Kantiemir Bałagow, produkcja: Rosja, 2019.

„Współczesne rosyjskie kino boi się własnego cienia, dlatego jest nieświeże" – uważa Anton Dolin, znany krytyk filmowy piszący dla portalu meduza.io. Ostatnie lata kremlowskiej polityki kulturalnej skutkowały stagnacją, szczególnie w produkcji filmowej. Chociaż minister kultury Władimir Miedinski hojnie dofinansowywał megaprodukcje o tematyce wojennej, żadna z nich nie powtórzyła oscarowego sukcesu *Spalonych słońcem* Nikity Michałkowa z 1994 roku. Dopiero w 2019 roku pojawił się film, który zaproponował nową narrację o rosyjskim doświadczeniu wojennym.

W 2019 roku rosyjskim kandydatem do Oscara był film *Wysoka dziewczyna* Kantemira Bałagowa. Nominacji nie uzyskał (choć znalazł się na krótkiej liście), ale reżyser zdobył nagrodę Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI na festiwalu w Cannes. Po raz drugi!

Bałagow to prawdziwy outsider przemysłu filmowego w Rosji. Urodził się w 1991 roku w Nalczyku, stolicy Kabardo-Bałkarii, w rodzinie Kabardyjczyków (lud kaukaski spokrewniony z Czerkiesami – Adyge). Nie pochodzi z wpływowej rodziny z Moskwy ani Petersburga, nie ukończył stołecznych szkół artystycznych. Jego kariera stała się możliwa dzięki niecodziennej inicjatywie Aleksandra Sokurowa, który w 2010 roku w kaukaskiej stolicy założył pracownię reżyserską. Już w 2017 roku Kantemir Bałagow, absolwent pracowni Sokurowa, zdobył laury w Cannes za swój debiut *Tiesnota* (Bliskość). *Wysoka dziewczyna* to jego drugi film i ponowny sukces. Akcja dzieje się w Leningradzie tuż po wojnie, mieście straumatyzowanym wielomiesięczną blokadą. I chociaż film dotyka tematyki wojennej, robi to w nieoczekiwany dla współczesnego rosyjskiego kina sposób.

Oryginalny tytuł brzmi *Dylda*. Tak mówi się w Rosji na tyczkowatą młodą osobę. Filmową tyczką jest Ija, nadnaturalnie wysoka dziewczyna, była żołnierka, obecnie pielęgniarka w szpitalu dla weteranów. Na froncie została ranna w głowę, a następnie zdemobilizowana. Wraz z trzyletnim synem Paszką zajmuje pokój w przepełnionej komunałce. Nieoczekiwanie odwiedza ją frontowa przyjaciółka Masza, powracająca z marszu na Berlin. Obie kobiety łączy bojowa przyjaźń oraz tajemnica wykraczająca daleko poza przyjacielską więź. Nieszczęśliwy wypadek powoduje cały szereg zdarzeń pomiędzy kobietami, w który wciągnięte zostają osoby postronne. Pierwsza scena filmu to ujęcie twarzy Iji w stuporze, będącym nawracającym efektem traumy. Podczas tych ataków bohaterka na krótki czas traci świadomość i wydaje dychawiczne piski.

eprasa.pl 6f35c91f82

Rosyjskie produkcje wojenne, takie jak *Stalingrad* czy *T-34*, przyzwyczaiły widza do patetycznych ujęć scen batalistycznych, natomiast Bałagow ogranicza akcję do dwóch miejsc: pokoju w komunałce, gdzie wyraźnie dominuje kolor zielony, oraz szpitala, w którym powietrze ma odcień ochry. Świeżość narracji bierze się przede wszystkim z pokazania wojennej traumy z kobiecej perspektywy. Bałagow przyznaje, że pomysł na scenariusz zaczerpnął z lektury *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* białoruskiej noblistki Swietłany Aleksijewicz. Kiedy do pisania włączył się Aleksandr Tieriechow, wojenne historie kobiet spisane przez Aleksijewicz stały się daleką inspiracją, a scenariusz uzyskał autorski kształt. Reżyser przyznaje się także do inspiracji Andriejem Płatonowem, szczególnie widocznej w warstwie językowej.

Konstrukcja filmu opiera się na prostej, opozycyjnej strukturze. Zieleń symbolizuje życie i płodność. To kolor swetrów Iji, ścian jej mieszkania, naczyń, sukienki szytej przez sąsiadkę z komunałki. W przestrzeni poza domem, przede wszystkim w szpitalu wypełnionym pokancerowanymi żołnierzami, dominuje ochra. Jak mówi producent filmu Aleksandr Rodnianski, ten kolor dla Bałagowa oznaczał korozję życia. W opozycyjną strukturę wpisują się dwie bohaterki: z jednej strony prawie albinotyczna Ija, wyalienowana, oddana wychowaniu dziecka i powściągliwa seksualnie; z drugiej Masza – urodziwa, zdecydowana sanitariuszka, która pozostała w wojsku, żeby pomścić śmierć męża, po rewolucyjnemu egzekwująca potrzeby seksualne. Schematyczna jest też relacja obu postaci. Wiemy, że łączy je siostrzeństwo wyniesione z armii, ale z czasem ich relacja staje się silnie ambiwalentna. Widz śledzi rozwijającą się intymność seksualną pomiędzy bohaterkami, mutującą w zmaganie o dominację i kontrolę nad drugą osobą.

Pomimo deklarowanych inspiracji prozą Aleksijewicz łatwo dostrzec, że konstrukcja filmu reprodukuje archetypiczne wzorce kulturowe. Postać Iji opiera się na wyobrażeniach antycznych bogiń wegetacji i płodności, na przykład egipskiej Hathor/Izydy, zwanej Turkusową Panią. To ona, jako uosobienie Wielkiej Macierzy, zaopiekowała się Anubisem porzuconym przez Neftydę. Masza to z kolei Sechmet, bogini zemsty i wojny, atrybutami powiązana z Hathor. Mimo podobieństwa fabuły filmu do egipskiego mitu nie chodzi tutaj o proste kopiowanie; to raczej kolaż wizerunku pramatki, z wpisanymi w niego także bóstwami z folkloru słowiańskiego, takimi jak długoręka Mokosz czy Paraskiewa – pomocna, ale mogąca też udusić. Reżyser wydaje się puszczać oko do widza także w warstwie wizualnej. Wystarczy porównać egipskie wyobrażenia Hathor i Iję w dziwnej czapce z długimi uszami, żeby utwierdzić się w analogii. Podobnych kulturowych kalek jest w filmie dużo, co nie świadczy bynajmniej o jego słabości. Przeciwnie, oparcie konstrukcji na mitycznym schemacie czyni obraz bardziej sugestywnym.

eprasa.pl 6f35c91f82

Po rosyjskich pokazach *Wysokiej dziewczyny* dało się słyszeć głosy, że film nie epatuje odwołaniami do stalinizmu ani do polityki w ogóle. Faktycznie, nie zobaczymy w nim pochodów, oficerów w skórzanych płaszczach, a fragmenty propagandowych plakatów są tylko dalekim tłem. Polityczność obrazu, choć nienachalnie, sączy się jednak z kolejnych kadrów. Stalin, wspomniany z nazwiska bodaj tylko raz, jest obecny w filmie jako ostateczna groźba. To przecież szantaż donosem do NKWD zmusza przełożonego Iji do przekroczenia granicy przyzwoitości, a tak naprawdę człowieczeństwa. Jednym z silniejszych obrazów jest wątek wizytacji szpitala przez reprezentantkę władzy. Kobieta przyjeżdża do inwalidów wojennych z dobrym słowem i pajką w podziękowaniu za zwycięstwo. Młody pacjent, jak uwarunkowany pies Pawłowa, na widok przedstawicielki władzy zaczyna bić brawo. W pewnym momencie na jego białej piżamie, na wysokości serca, pojawia się plama krwi. Lekarz uspokaja, że to tylko puściły szwy.

Może właśnie w tej scenie dochodzimy do istoty filmu. Reżyser nazywa *Wysoką dziewczynę* antywojennym manifestem, w którym ważne jest pokazanie traumy. Tyle że film pokazuje nie traumę, a pustkę. W tym świecie trauma nie jest już możliwa. To raczej świat moralnego obłędu. Wszystkie sceny seksu ukazują seks zwierzęcy lub akty gwałtu. Lekarz leczy, zabijając, a dym papierosa służy za kadzidło. Ludzkie życie jest traktowane jak dług, który można oddać, lub nieskuteczny lek. Ważne są dźwięk i słowo. W trakcie zabawy z synem Iji inwalidzi jak w transie zaczynają szczekać – słowo redukuje się do psiej onomatopei. Szczekaniem można się zarazić niczym wirusem – podekscytowany Paszka też zaczyna szczekać. Dźwięk w filmie powtarza się jak zacięta płyta, aż w końcu zmienia się w jednorodny sygnał. W tym sensie postaci przypominają mumie, działają nie w świecie realnym, lecz fantazmatycznym. Najpełniej widać to w finałowej scenie pojednania Iji i Maszy: dziewczyny odrzucają istnienie świata zewnętrznego wraz z rządzącymi nim prawami i godzą się na życie w iluzji.

Bałagow, artystycznie ukształtowany przez Sokurowa, w jednym z wywiadów powiedział, że w filmie ważna jest trauma, bo dzięki niej z produktu masowego przekształca się on w sztukę. Sztuczność, szczególnie postaci, jest dla niego najistotniejsza, może ze względu na efekt emocjonalny, jaki wywiera na widzu. To dramaturgiczna prawda rozpoznawana od zarania dziejów: w mitologii egipskiej Izyda wskrzesiła swojego brata Ozyrysa, a on stał się pierwowzorem mumii. Film *Wysoka dziewczyna*, jako część mitologii II wojny światowej, pokazuje, że efektem wojennej traumy jest mumijna pustka etyczna i osobowościowa.

Wojciech Siegeń

eprasa.pl 6f35c91f82

REKLAMA















Zamek Wojnowice

NOCLEGI - RESTAURACJA - SALE KONFERENCYJNE - KONCERTY

www.zamekwojnowice.com.pl

eprasa.pl 6f35c91f82

W numerze między innymi:

„Pierwsze ćwierćwiecze po odzyskaniu niepodległości przez Polskę i Ukrainę to najlepszy okres w historii relacji polsko-ukraińskich. Nie ma sensu szukanie w zamierzchłej przeszłości złotego wieku, a jeśli już go szukamy, wystarczy obejrzeć się za siebie. Właśnie minął" – mówi **Ola Hnatiuk**.

Dariusz Szymczycha nie kocha Marksa, ale „parafraza jego teorii trafnie opisuje relacje Ukraińców i Polaków: baza wyprzedziła nadbudowę. Obywatele Ukrainy pracują razem z nami, obsługują nas w sklepach, kawiarniach i restauracjach, budują nasze drogi i mieszkania, zaczynają kupować mieszkania w naszym sąsiedztwie, ratują Polaków w katastrofach drogowych. Innymi słowy, stają się częścią naszej codzienności i normalności w momencie, gdy znaczna część Polaków nadal hołduje stereotypom historycznym i kulturowym".

O demokracji liberalnej, bierności społecznej i sztuce zastąpionej przez rozrywkę z „polskim pisarzem na uchodźstwie" **Etgarem Keretem** rozmawia Nikodem Szczygłowski. **Jarosław Kociszewski** rozwija temat bliskowschodni i zauważa, że „izraelskich polityków i wojskowych, także tych z sowieckimi korzeniami, nie cieszy powrót Rosji na Bliski Wschód. Chłodno akceptują jednak fakty, dostosowują się do nich, a tam, gdzie mogą – korzystają".

Kolegium
Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego
we Wrocławiu

eprasa.pl 6f35c91f82